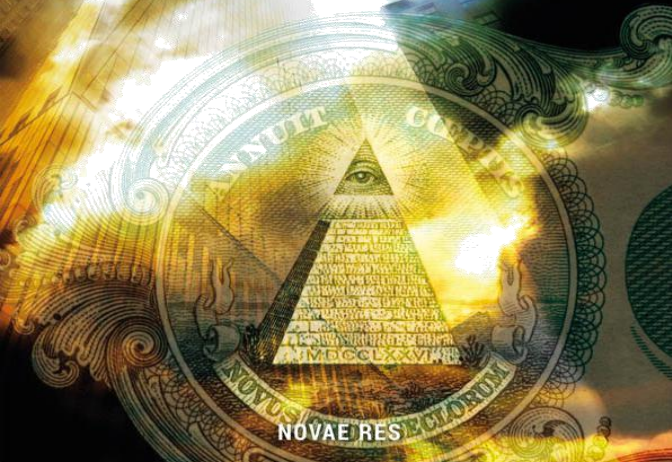


MARCIN P. ZACHARIASZ

ADDENDUM

AD 9/11



NOVAE RES

MARCIN P. ZACHARIASZ

ADDENDUM

AD 9/11



NOVAE RES

Małgosi

Ciąg wydarzeń i postaci występujące w książce są wytworem umysłu autora. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób lub rzeczywistych zdarzeń jest zupełnie przypadkowe. Miejsca takie jak jeziora, góry, kopalnie, ulice, drogi czy budynki są wymysłem Boga i ludzi. Były lub są na świecie.

Książkę dedykuję ofiarom 11 września 2001 r.

Ale Jezus, przywoławszy ich, rzekł:
Wiecie, iż książęta narodów nadużywają
swojej władzy nad nimi,
a ich możni rządzą nimi samowolnie.

Nie tak ma być między wami;
ale ktokolwiek by chciał między wami być wielki,
niech będzie sługą waszym.
Ewangelia św. Mateusza

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ZAKOŃCZENIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nikt nie jest tak beznadziejnie zniewolony jak ktoś,
kto błędnie wierzy, że jest wolny.

Johann Wolfgang von Goethe

Hrabstwo Sonoma w północnej Kalifornii, Behemian

Grove ^[1], sala Kuźni

Pan i Rada

– Jeśli nasze działania nie nabiorą rozpędu, wszystko, co przez tyle lat wypracowaliśmy, może zostać zaprzepaszczone. – Jego głos, spotęgowany systemem nagłaśniającym, niósł się po sali, wypełniając ją groźnie brzmiącym echem. – Osiedliśmy na laurach, usatysfakcjonowani dotychczasowymi sukcesami! Zadawała nas ta część władzy, którą odziedziczyliśmy po naszych wielkich poprzednikach. Każdy prowadzi jakieś małe gierki, które w żaden sposób nie służą całości. Tak dalej, panowie, być nie może! Czas zacząć działać! Czas wymusić na społeczeństwie zachowania, które są dla nas pożądane, ale musimy to zrobić w taki sposób, aby ludzie uwierzyli, że sami tego chcieli!

Opadł na fotel. Zawsze, kiedy się denerwował, brakowało mu powietrza w płucach. Spojrzył po zebranych. Dwudziestu sześciu moźnych tego świata siedziało za okrągłym, mahoniowym stołem, wpatrując się w niego. Nie byli prezydentami czy premierami, każdy z nich był kimś o wiele potężniejszym. Większą część gremium stanowili szefowie wywiadów, sześciu było generałami, pozostali to przedstawiciele najbardziej wpływowych i zamoźnych rodzin tego globu.

– Co pan proponuje? – zapytał jeden z generałów.

– To, co członek tej Rady, a mianowicie Lyman Lemnitzer, zaproponował

już kiedyś McNamarze. Coś na kształt Operacji Northwoods ^[2] z 1962 roku.

– Wszyscy dobrze wiemy, że żaden z naszych, nazwijmy to, zaprzyjaźnionych prezydentów nie zgodzi się na takie działania. Odrzucą plan, jak to zrobił Kennedy – odparł szach.

– Teraz już nie potrzebujemy ich zgody. Jesteśmy dużo potężniejsi niż trzydzieści lat temu. Musicie zdać sobie sprawę, że jeśli proces przemian, który tak dawno zapoczątkowaliśmy, pozbawiony zostanie katastroficznego zdarzenia o charakterze katalizatora, takiego jak ponowne zatopienie Lusitanii^[3] czy nowe Pearl Harbor, nawet jeśli przyniesie rewolucyjne zmiany, będzie procesem długotrwałym, powoli wytracającym swój impet, a na to nie możemy się zgodzić!^[4] – Uderzył pięścią w mahoniowy blat stołu.

– Zresztą nie czas tu na akademickie dyskusje – powiedział spokojniejszym głosem. – Przed każdym z was leży teczka z zarysem przyszłych działań. Zapoznajcie się szczegółowo z zawartością i zastanówcie,

w jaki sposób możecie wesprzeć realizację akcji. Waszym zadaniem i powinnością jako członków Rady Kuźni jest dopracowanie szczegółów całości planu.

Wstał z fotela, uniósł ręce w górę.

– Jako pierwszy spośród równych ogłaszam wam, że nadszedł czas ponownie rozpalic piece Kuźni i wykuć w ich żarze Novus Ordo Mundi!

15 maja 1996 r.,

sztuczny zbiornik wodny Kuchurhan, pogranicze ukraińsko- mołdawskie

Papier

Yeonrin stała na brzegu, wpatrzona w promienie zachodzącego słońca. Fale z cichym pluskiem uderzały w burtę pontonu. W gałęziach drzew lekki wiatr grał na liściach ostatnie melodie dnia. Powietrze przepelniał zapach pobliskiego lasu. Przypominało to krajobraz jej rodzinnych stron, jeziora Samilpo, położonego w Górach Diamentowych.

To tam spędziła najszcześniejsze, choć krótkie lata swojego dzieciństwa. Właśnie o takiej porze dnia siadali wraz z bratem na brzegu jeziora, rozpalali ognisko, piekli ryby, wyglądali się, opowiadali historie o duchach i mrocznych potworach zamieszkujących okoliczne lasy i jeziora. Czasami przychodził do nich ojciec. Te chwile lubiła najbardziej. Zawsze czekała z nadzieją, że przyjdzie. Ale zdarzało się to bardzo rzadko. Życie nie dawało mu szansy odpoczynku. Kiedy już przychodził, opowiadał, jak podczas wojny poznał matkę, jak razem walczyli, jak się nim opiekowała, gdy został ranny. Mogła słuchać tych historii bez końca. Były pełne miłości, wzajemnego oddania i troski. Właśnie podczas jednego z takich wieczorów do wioski przyszli oni, źli ludzie w ciemnozielonych mundurach. Ojca, który próbował bronić swojej rodziny, jeden z nich uderzył kolbą karabinu w głowę, obalając na ziemię, i zastrzelił. Krzyki protestu i rozpacz Yeonrin ginęły wśród trzasków płonących domów, lamentów i strzałów karabinowych. Wrzucili ją na ciężarówkę, słyszała, jak ktoś wykrzykuje jej imię, ale charkot silnika zagłuszał inne dźwięki.

- Tu jedynka – głos w słuchawce mikroodbiornika przerwał wspomnienia
- widzimy ludzi generała. Trzy pojazdy jadą wzdłuż brzegu.
 - Przyjęłam. Pozostali potwierdzić gotowość!
 - Dwójka gotowa.
 - Trójka gotowa.
 - Nurek na stanowisku.

– Pamiętajcie! Jak będę przy pontonie, nurek zaczyna. Nikt nie może przeżyć! Ich zleceniodawca nie życzy sobie świadków. Bez odbioru.

Samochód prowadzący kolumnę zahamował tuż przed nią, ryjąc głębokie ślady w miękkim, mokrym żwirze. Z jego wnętrza, jak z pudełka z niespodzianką, wyskoczyło czterech ochroniarzy uzbrojonych w karabiny. Ze środkowego pojazdu wysiadło tylko dwóch ludzi, szybkim krokiem zmierzały w jej stronę. Mężczyzna będący po prawej niósł dwie niewielkie walizki, rozmiarami przypominające teczki dyplomatów. Ostatni samochód zatrzymał się nieco dalej od pozostałych, miał za zadanie ubezpieczać poprzedzające go pojazdy.

– Miło panią poznać, panno Yeonrin – powiedział mężczyzna po lewej. – Muszę przyznać, że pani głos w słuchawce wzbudzał we mnie...

– Darujmy sobie tę kurtuazję! – przerwała mu. – Oboje dobrze wiemy, co nas tu sprowadza. W pontonie znajdziecie dwie skrzynie, ich zawartość powinna odpowiadać ambicjom waszego generała. Racz tam posłać swoich ludzi, aby je załadowali na samochody.

– Powoli, przeliczenie takiej ilości pieniędzy wymaga czasu. Oczywiście, moi ludzie zaraz zajmą się skrzyniami i sprawdzeniem ich zawartości. Pani chyba też pragnie potwierdzić autentyczność mojego towaru? – Po jego słowach dwóch ochroniarzy stojących przy pierwszym pojeździe ruszyło w stronę pontonu celem zabrania skrzyń.

– Autentyczność pańskiego towaru mnie nie interesuje, że tak powiem, nie wchodzi to w zakres moich obowiązków. Jeśli towar okaże się fałszywy lub wybrakowany, każde z nas poniesie konsekwencje. A już z całą pewnością pański generał. Jak chcecie, to sprawdzajcie zawartość skrzyń.

Życzę szczęścia. Zaraz zapadnie zmrok i nici z liczenia. Ja biorę swoje i odpływam. Niech pański człowiek położy towar na masce samochodu – powiedziała i ruszyła w stronę pojazdu.

Sądziła, że walizki będą większe i cięższe.

Więc tak wygląda ładunek SADM ^[5], pomyślała.

Podnosząc jedną z nich, była zaskoczona jej lekkością. Wierzch walizek był obity ciemnym, porowatym materiałem imitującym skórę, każda miała na środku małą, złotą blaszkę, przypominającą logo producenta, z wygrawerowanymi literami i cyframi RA115 i RA116. Do ich rączek dopięte były na łańcuszkach zalakowane koperty. Kątem oka spostrzegła, że

ochroniarze niosą do bagażnika samochodu kolejną skrzynię. Wzięła obie walizki i ruszyła w stronę pontonu. Jej rozmówca wydawał się zakłopotany beztrąską, z jaką je niosła. Nerwowo przestępował z nogi na nogę.

Podmuch wybuchu rzucił ją na burtę.

Nurek się pośpieszył, pomyślała, upadając.

Dwie kolejne eksplozje targnęły powietrzem, wciskając ją w kuloodporny materiał pontonu; to jedynka i dwójka zniszczyli pozostałe pojazdy. Podniosła się, szumiało jej w głowie, nos i usta wypełniał zapach kordytu, wokół unosiły się płonące pieniądze. Spojrzała na plażę. Siła eksplozji wrzuciła dwa pierwsze pojazdy do jeziora, trzeci dopalał się przy brzegu. Nadpalone zwłoki ochroniarzy, skwiercząc, unosiły się na wodzie. Schyliła się, podniosła walizki i położyła je na dnie pontonu. Usiadła na jego burcie. Tuż za nią wynurzył się z jeziora nurek.

Już ja z nim porozmawiam, pomyślała, przekładając nogi przez burtę.

14 sierpnia 2000 r.,
Morze Barentsa, pozycja 69°37'00"N i 37°34'25"E,
godzina 3.14 rano

Grani t

Przeplnięcie ostatnich czterech mil zajęło im trzy godziny. Podejście i przycumowanie pod odpowiednim kątem do leżącego na dnie wraku – kolejne dwie. Musieli z daleka omijać okręty ochrony i lawirować pomiędzy podwodnymi polami minowymi. Pancierz Nosiciela, zrobiony ze stali o wysokiej zawartości niklu i chromu, mając słabe właściwości magnetyczne, utrudniał wykrycie go przez MAD-y ^[6] oraz czujniki min magnetycznych. Gdyby nie najnowsze technologie zamontowane na Nosicielu, to prawdopodobnie nigdy by nie osiągnęli celu misji.

Sterben wpatrywał się w ekran monitora. Obraz przekazywany z zewnętrznych kamer Nosiciela był wyraźny. W części dziobowej okrętu dostrzegł ogromną dziurę o średnicy około dwóch metrów, którą wyrwała amerykańska torpeda. Fala uderzeniowa wybuchu zniszczyła wszystko na swojej drodze i zatrzymała się dopiero na przedziale reaktorów atomowych. Nikt nie miał szans na przeżycie.

– Jest sygnał od Sea Wind, pozostało nam dwadzieścia sześć minut na wykonanie zadania – zameldował Sterbenowi radiooperator.

– Ile wyrzutni opróżnionych? – zapytał, wyciągając papierosa i postukując nim o złoty wierzch papierośnicy.

– Cztery. Po dwie z każdej burty okrętu. Ładne cacko – powiedział kapitan Nosiciela, zerkając na papierośnicę.

– Ta... i bardzo przydatne. Myślałem, że do tej pory mamy radę opróżnić przynajmniej sześć.

– Gdyby ten drugi niszczyciel nie przyplął, dalibyśmy – odparł kapitan, nerwowo drapiąc się po głowie.

– Wszystkich nie zdążyliśmy kupić, a i ci, którzy są z nami, myślą, że pomagają, kapitanie.

– Ciekawi mnie, jaką bajeczkę sprzedaliście tym na górze, panie

Sterben, że uwierzyli.

– Piąta rakieta na pokładzie Nosiciela, szósta w drodze – zameldował radiooperator.

Sześć, o trzy więcej niż potrzeba. Powinno wystarczyć, żeby byli zadowoleni, pomyślał Sterben.

– Nietrudno było znaleźć odpowiednią, jak pan to nazwał, kapitanie, bajkę, zwłaszcza jeśli ktoś zarabia pięćdziesiąt siedem dolarów miesięcznie i jest przekonany, że ratuje kumplom życie.

– Słyszę ludzkie głosy we wraku – przerwał im radiooperator, ściągając słuchawki z jednego ucha.

– Więc jednak ktoś przeżył. Ile głosów jesteś w stanie rozróżnić?

– Na razie dwa.

– Dwóch pechowców, a może farciarzy, ze stu osiemnastu – Sterben pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jak ostatnia rakieta będzie w ładowni, detonujecie sejf. Nie mogą mieć pewności, że coś nam umknęło. Będę w swojej kabynie oczekiwał na pana raport, kapitanie – powiedział, opuszczając mostek.

Widok rozerwanego kadłuba wraku wywarł na nim przerażające wrażenie. Widział wiele okropności w swoim życiu, sam wielu się dopuścił, ale świadomość, że są tam żywi ludzie, i myśl, na jaką śmierć są skazani, odebrała mu resztę zimnej krwi. Musiał opuścić mostek, jeśli nie chciał, żeby jego słabość została zauważona. Wąski, owalny korytarz doprowadził go do kabiny.

Starzejesz się, drogi Aleksie, może czas się wycofać, pomyślał, kładąc się na koi.

Nosicielem lekko zatrzęsło. Fala uderzeniowa spowodowana wybuchem sejfu na wraku dotarła do poszycia okrętu.

Rytmiczny stukot wrzynał się w mózg Siergieja. Nie chciał go słyszeć, nie chciał już nic słyszeć. Kiedy zamykał oczy, miał nadzieję, że robi to po raz ostatni. Tyle się namęczył, żeby zasnąć, odsunąć ból, a teraz ten hałas wyrwał go ze snu, przywracał do tej cholernej, lodowatej rzeczywistości. Uciekał od niego, udawał, że go nie ma, że go nie słyszy, chciał ponownie zasnąć. Tam była Masza i była polana, na której urządzali letnie pikniki,

były też zapach jej skóry i oczy w kolorze nieba, o którym wiedział, że już go więcej nie zobaczy. Ale huk był silniejszy od marzeń, wdzierał się coraz głębiej, szarpał jego poparzoną skórę, zdierał skórę pod mundurem. Uniósł się na rękach. W ciemności dostrzegł tylko białka oczu Lochy.

– Siergiej, obudź się! Słyszysz? Wstawaj! Mówiłem ci, że nas znajdują... Już są! No, w końcu, już myślałem... że nie żyjesz. O Boże, o Boże, znaleźli nas. Jeszcze trochę i to wszystko się skończy. Dzięki ci, święty Judo, wielkie dzięki.

– Ty zawsze tyle gadasz, Locha – odparł. – Mówiłem ci: mniej gadania, więcej tlenu. Tak dobrze śniłem, były Masza, Łąka, słońce, a ty, tak szarpiąc, o mało mnie ze skóry nie obdarłeś.

– Całować cię miałem, żeby obudzić, Śpiąca Królowo? Cholera, przestali...

– Co przestali?

– Nie słyszałeś? Nawet przez sen? Przecież waliło, dudniło, jakby sto czartów tańczyło po pokładzie. Ekipa ratunkowa, brachu! Ekipa przybyła!

– Trochę im to zajęło. – Drżącą ręką podciągnął nadpalony rękaw bluzy. Spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka. – Czterdzieści dwie godziny minęły, odkąd ten skurwiel nas trafił. Tlenu zostało na mniej niż jedną godzinę, jak nas w tym czasie nie...

– Przestań krakać! Ważne, że nas znaleźli. Tylko czemu przestali i gdzie się podziali?

– Locha, może ty też śniłeś? Pewny jesteś, że nad nami te czarty tańczyły?

– Hmm..., nie nad nami. Po obu stronach kadłuba i z boku. Tak jakby przy kiosku i za nim. Pewnie wydobywali chłopaków z dziobu i śródokręcia, a teraz nasza kolej.

– Chyba z byka spadłeś! Na dziobie nikt nie przeżył! Eksplozja i pożar zabiły ich na miejscu, a śródokręcie całe zalane, wszystko pod wodą.

– To na jaką cholerę tam walili, a nie do nas, na rufę, przecież tu są włazy awaryjne! Nic prostszego jak przystawić rękawy ratownicze, wpompować powietrze i... po robocie, przecież to tylko sto dziesięć metrów, nie, kurwa, Bóg wie ile. Jakby postawił naszego na dziobie, toby jeszcze ze czterdzieści metrów wystawało nad wodę.

– Mówisz, Loszka, że czarty z boku kadłuba tańczyły?

– Ta.

– Długo to trwało?

– Nie patrzyłem na zegarek, i tak bym gówno zobaczył. Jak się obudziłem, to już walili i dudnili. Jeśli spałem tak mocno jak ty, to chłopaki już chwilę musieli działać. Potem ciebie szarpałem, otworzyłeś oczy i wszystko ucichło.

– Oni nie chłopaków ratowali, bo i po co, tam wszyscy martwi. Oni nasze „granity”^[7] z wyrzutni wydobywali, one droższe niż życie rosyjskiego żołdaka.

– Co ty, Siergiej, przecież byli od nas parę metrów! Wróć, zobaczysz, nie zostawią. Pewnie tlen i paliwo uzupełniają i zaraz będą, zobaczysz!

– Loszka, Loszka, mój miły przyjacielu, my nikomu niepotrzebni, a wręcz szkodliwi dla tych, jak ich nazwałeś, czartów.

– Coś ty, stary, przecież nie zostawią. Wiedzą, że tu jesteśmy. Andriej, zanim zmarł, świeć, Panie, nad jego duszą, walił w burtę i nadał, że żyjemy, że czekamy!

– Pomyśl, na co nas ratować. Dwóch farciarzy, którzy mogą o wszystkim opowiedzieć? Komu to na rękę, hę? Co opowiedziałbyś matce albo ja Maszy? A dziennikarzom, że co...? Że, kurwa, jedna amerykańska pierdoła w nas walnęła, a druga, osłaniając kumpla, storpedowała? Andriejowi i reszcie chłopaków możemy tylko zazdrościć, oni już umarli, a nasze umieranie przed nami. Przysuń się, Locha, przytul się, ciepłej będzie... umierać.

Wrakiem okrętu wstrząsnęła eksplozja.

Granica izraelsko-syryjska, na południe od miasta Daraa

Urządzenia rolnicze

Pociski wystrzelone przez izraelskich żołnierzy dziurawiły murek, za którym Omar i jego ludzie znaleźli schronienie. Kule przy uderzeniu w skalisty, suchy grunt wzniecały gejzery pyłu, zasypując ich kawałkami kamieni. Jeden z jego ludzi wychylił się zza muru i wystrzelił z RPG ^[8], krzycząc: Allahu Akbar. Odrzut spowodowany wystrzałem wzniecił tuman kurzu, który całkowicie zakrył ich pozycję. Omar, korzystając z okazji, wybiegł zza osłony i ruszył w stronę stojącej nieopodal ciężarówki. Biegł, ile miał sił w nogach. Kule dźwięczały wokół niego. Odruchowo pochylił głowę. Sahir, który podążał za nim, nie miał tyle szczęścia. Zdążył przebiec parę metrów i padł, skoszony długą serią. Dopadł do kabiny pojazdu, ale nie zdołał wdrapać się na stopień i otworzyć drzwiczek. Wcisnął się pod pojazd, znajdując schronienie za skreconymi przednimi kołami wozu. Rykoszet trafił go w dłoń, boleśnie raniąc.

To się nie może tak skończyć, pomyślał.

Sześć długich miesięcy zajęło mu finalizowanie umowy. Ta cholerna ruchoma wyrzutnia kosztowała go życie trzech jego ludzi. Za wszelką cenę musi odjechać stąd ciężarówką, zanim Izraelczycy wystrzelają ich jak kaczkę. Wychylił się zza koła i krzyknął do swoich bojowników, aby go osłaniali. Szybko wyczołgał się, wskoczył na stopień, otworzył drzwi kabiny i wdrapał się na fotel kierowcy. Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Wcisnął pedał gazu. Tylne koła buksowały chwilę, zanim gruby bieżnik opon wgrzyzł się w ziemię. Pojazd szarpnęła i ruszyła. Pociski dzwoniły o burtę naczepy, kiedy nawracał. Dodał gazu i ruszył w stronę miasta Daraa, położonego na północy.

Po drodze minęła go kolumna ciężarówek, po brzegi wyładowanych syryjskimi żołnierzami. „Lepiej późno niż wcale”, powiedział sam do siebie. Teraz byle do portu, tam w warsztatach przerobią jego ładunek, upodabniając go do opisu zawartego w dokumentach przewozu. Tam też skończy się pierwsza część jego zadania. Wziął z przegródki plik papierów, otworzył konosament ^[9] i głośno się roześmiał, myśląc: kto wpadł na pomysł, aby ruchomą wyrzutnię S-300W ^[10] nazwać urządzeniem rolniczym?

Kozioł

-Co z nim?

- Operacja przebiegła pomyślnie. Będzie musiał tu zostać minimum dziesięć dni, tak powiedział lekarz.

- Nie może tu być tak długo. Prasa i media już coś węszą. Na korytarzu, przy recepcji, minąłem jednego z plakietką „Le Figaro”. Pod budynkiem szpitala stoi wóz z logo RFI ^[11]. Musimy go stąd zabrać.

- Niby jak mamy to zrobić?! Może mi powiesz?

- Wiesz, kurwa, co nam zrobią, jak wyjdzie na jaw, że ochramiamy gościa poszukiwanego międzynarodowym listem gończym?! Wiesz? Nasi go ścigają za zamachy w Kenii i Tanzanii, a on tu sobie leży jak na Mahometa łonie. Może jeszcze każą nam przysłać hurysy temu Ali Babie?

- Odpieprz się! Nie ja to wymyśliłem. Przede wszystkim nie chronimy go, tylko pilnujemy, a to różnica.

- Może dla ciebie.

- Nie wiem już, co o tym myśleć.

- Ty nie jesteś od myślenia, to nie jest twoja najmocniejsza strona. Stary jest od myślenia, on tym wszystkim kręci. Widziałeś jego minę? Jaki wyszedł zadowolony po rozmowie z naszym Saudyjczykiem?

- Widziałem. Morda mu się śmiała od ucha do ucha.

- Znaczy się dogadali. Tak swoją drogą, ciekawe, co stary z nim załatwił.

- Pewnie wysadzenie kolejnej naszej ambasady – roześmiali się.

Hrabstwo Sonoma w północnej Kalifornii, Behemian Grove

Pan

Ścieżka wijąca się pośród starych sekwoi doprowadziła Sterbena do budynku zwanego przez bywalców klubu „chatką”. Przystanął na pierwszym stopniu kamiennych schodów i zapalił papierosa. Miał jeszcze czas. Zaciągnął się głęboko, powoli wypuszczając dym. Patrzył na stare drzewa, które znały niejedną tajemnicę.

Gdybyście umiały mówić, pomyślał, pewnie świat byłby inny, a tak stoicie tu jak niemi świadkowie i pniecie się ku niebu... niczym moi szefowie. Uśmiechnął się.

Nie szanował ich. Nie lubił. Byli tak samo gruboskórni i dumni jak te sekwoje. Ich macki jak korzenie drzewa opłatały ludzi, krusząc ich niezależność, łamiąc wolną wolę. Dla tych, którzy się nie ugięli, nie pochylili głowy w geście poddaństwa, zawsze mieli wolną gałąź. On, dzięki losowi, na jednej z tych gałęzi miał wygodne gniazdko. Po udanej akcji na Morzu Barentsa ludzie z Rady nazywali go człowiekiem do specjalnych poruczeń. Wiedział, że jest im potrzebny i będzie potrzebny do zakończenia całej akcji. Bycie potrzebnym znaczyło również bycie bezpiecznym.

Nie znosił rozmów w chatce, nie wiedział, jak się ma zwracać do współrozmówcy. Nikt mu nie podał jego imienia, nazwiska, tytułu czy czegokolwiek, co uprościłoby konwersację. Jednakże jego współrozmówca, wiedziony instynktem lub doświadczeniem, wyczuł tę niezręczność i sam zaproponował zwrot per pan. Żartując przy tym, że on jest Pan pisany dużą literą, jak w Biblii, a Sterben – pan małą literą. Wytłumaczył mu także cel tych spotkań. Zawsze osobiście poznawał tych, którym Rada zlecała najważniejsze zadanie. Oczywiście, mógłby się z nim kontaktować za pomocą środków najnowocześniejszej techniki, ale to pozbawiłoby go możliwości, jak to ujął, „poczucia w nim człowieka”. Widząc mowę jego ciała, słysząc głos, upewniał się, że dokonał prawidłowego wyboru, samemu pozostając anonimowym.

Sterben rzucił papierosa na ziemię, zgniótł obcasem żar i powoli ruszył po schodach. Przed wejściem do chatki ruchem ręki zatrzymał go jeden z dwóch strażników.

Pasują do tego miejsca, pomyślał, przyglądając się osiłkom jakby wyciosanym z pnia potężnej sekwoi.

– Zna pan procedury?

Sterben skinął głową.

– W razie usłyszenia sygnału ma pan natychmiast się cofnąć, w innym przypadku...

– Tak, wiem! – przerwał mu rozdrażniony Sterben. – Będziecie strzelać bez ostrzeżenia.

– Dokładnie! Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby – odparł strażnik z ironicznym przekąsem.

Automatyczne drzwi do chatki otworzyły się. Przez niewielki hol wszedł do pokoju, a właściwie do dyskretnie przyciemnionej sali. Na ścianach

wisiałoby obrazy przedstawiające, w skali jeden do jednego, mężczyzn w dziwacznych szatach. Na wprost niego świeciła mosiężna lampa

z abażurem, który nie pozwalał przebić się światłu żarówki. W narożnym kominku z cichym trzaskiem płonął ogień, wypełniając wnętrze miłym zapachem drewna sandałowego. Na podłodze stały cztery rzędy krzeseł, po osiem w każdym szeregu. Lubił liczyć. Liczył schody, kiedy po nich wchodził. Policzył okna frontowe i leżaki wraz z parasolami, stojące przed wejściem do chatki. Liczenie nieraz zabijało mu długi czas oczekiwania i po prostu sprawiało przyjemność.

Cichy szum otwieranych automatycznie drzwi zwrócił jego uwagę. Nie zauważył ich wcześniej, były doskonale wpasowane w drewnianą ścianę.

– Proszę spocząć, panie Sterben. Wybór krzesła nie gra roli. Pewnie jest pan zmęczony po tak długiej podróży. Czy kazać podać coś do picia? – zapytał lekko przygarbiony mężczyzna, stojący w poświacie domykających się za nim drzwi.

Aleks odmówił i usiadł w pierwszym rzędzie, parę metrów od swego rozmówcy, ale mimo tak niewielkiej odległości półmrok w sali nie pozwalał mu dostrzec jego twarzy. Siadając, zdał sobie sprawę, że słyszał ten głos wiele razy i jego tembr za każdym razem wydawał mu się inny. Nigdy nie widział twarzy i nie liczył, że teraz ją zobaczy, ale miał nadzieję, prowadząc

liczne rozmowy z bywalcami klubu, że może uda mu się dopasować głos do osoby. Nie było wzajemnych uścisków dłoni. W przypadku gdyby Sterben znalazł się za blisko swego rozmówcy, mógłby usłyszeć dźwięk alarmu i odgłos strzałów.

– Chętnie bym pana uściskał, Sterben, za to, co pan robi dla sprawy – mówiąc to, roześmiał się. – Zdobycie tych trzech ponadlimitowych rakiet – kontynuował, rozbawiony – otworzyło przed nami nowe możliwości, które już, może mi pan wierzyć, wiemy, jak wykorzystać. Jak mi wiadomo z wcześniejszych raportów, kwestia przeniesienia rakiet oraz dostarczenia ich w miejsce, hmm... nazwijmy je „ostatecznym”, jest prawie zakończona. Pozostaje tylko sprawa wynagrodzenia dla naszej azjatyckiej przyjaciółki, tak?

– Dokładnie. Pięć rakiet jest w naszym posiadaniu. Chodzi o dostarczenie szóstej w miejsce, jak Pan to nazwał, „ostateczne”. Generałowa nie chce jednorazowego wynagrodzenia, chce partycypować procentowo w zyskach z całego przedsięwzięcia.

– Czy wyjaśnił jej pan, że operacja może nie zakończyć się pełnym sukcesem i profitów może nie być?

– Jak najbardziej. Ona mimo to uparła się i zagroziła niewysłaniem Nosiciela z rakieta, która jest na jego pokładzie.

– Mała szantażystka. Zmienia reguły podczas gry. Spodziewałem się tego po niej. Zbyt długo ją znam. Jaki procent by ją zadowolił?

– Trzydzieści procent, jak to określiła, byłoby satysfakcjonujące. Pozwoliłoby to na pokrycie kosztów przeróbki Nosiciela i późniejsze zniszczenie celem zatarcia śladów.

– Hmm... – zamruczał rozmówca Sterbena i wspierając się na lasce ze złotym uchwytem w kształcie pyska lwa, wolnym krokiem, wzdłuż ściany, przemierzył salę. – Za przeróbkę Nosiciela oraz jego przystosowanie do zadań już dawno zapłacono. Inaczej nie nadawałby się do akcji „Granit” ani późniejszych, które z nim wiążemy. O technologiach, które tam wykorzystaliśmy, ona mogłaby marzyć przez pięćdziesiąt następnych lat. Zniszczenie Nosiciela to jej problem – powiedział, przystając w rogu sali. – Musi zostać zniszczony. Jeśli nie, Azjatka napiętnuje swój naród do końca świata. Proszę jej powiedzieć, że dostanie swoje trzydzieści srebrników, ale niech pan się z nią potarguje. Nie może się zorientować, że pieniądze nie są

tu ważne. Głupia, pewnie myśli, że chce pan obrabować Fort Knox. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że w całym planie pieniądze są tylko środkiem, a nie celem.

– Rozumiem – odpowiedział Sterben, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Proszę tego nie robić. To pana zabije, a przy okazji zaszkodzi starcowi. Palenie już dawno wyszło z mody. Gdyby pan wiedział, co kiedyś dodawało się do papierosów...

Sterben schował papierośnicę z powrotem do kieszeni, zapalniczkę kładąc na krześle obok.

– Załatwił pan sprawę ciężarówek?

– Tak jest. Przystosowałem je zgodnie z wytycznymi, jakie otrzymałem. Waga ich została zmieniona, a wymiary zmniejszone. Każda jest w stanie przewieźć trzy tony ładunku i każda zmieści się do kontenera.

– Tak jest, tak jest – powtórzył wypowiedź Sterbena, trzaskając obcasami butów. – Lubię, jak odzywa się w panu stary żołnierz. Daje mi to pewność, że nasz plan się powiedzie. Ciężarówki są tylko dodatkiem, jak dla mnie niepotrzebnie komplikują sprawę. No cóż, nawet ja muszę słuchać próśb swego ludu. W związku z powyższym liczba ciężarówek powinna ulec zwiększeniu. Na tę chwilę ani ja, ani Rada nie możemy podać panu ostatecznej liczby odpowiednio przystosowanych pojazdów, gdyż towar, który mają przewieźć, a właściwie jego waga, codziennie ulega zmianie. Mam nadzieję, że nie sprawi to panu kłopotu.

– Zmiana liczby ciężarówek wymusi zwiększenie stanu osobowego. Nie ja werbuję ludzi do grupy transportowej – odpowiedział Sterben, zakładając nogę na nogę.

– Tak, wiem, pan ma tylko zwiększyć liczbę furgonetek, a ich załogi to faktycznie nie pana zmartwienie. Widzi pan, panie Sterben, jak się pan już zapewne domyślił, pańskie działania dotyczą tylko pewnego wycinka całości planu. Ważnego, ale jednak wycinka.

– Rozumiem.

– Doskonale, doskonale. Koszty oczywiście nie grają roli. Czy jest coś, co pragnąłby pan ze mną jeszcze przedyskutować?

– Jeśli mam pana pełnomocnictwo do dalszych rozmów z generałową, to raczej nie.

Tylko ta jedna sprawa wymagała pana zatwierdzenia. Resztę

planu będą realizował zgodnie z wytyczonym przez Radę harmonogramem – powiedział Sterben, wolno wstając z krzesła.

– Tak, ma pan. Współpraca z Radą układa się pomyślnie, jak miemam?

– Jak najbardziej.

– To są fachowcy. Wszędzie mają oczy i uszy. Może pan na nich liczyć.

Jednakże jakby były jakieś problemy, proszę mi natychmiast meldować w uzgodnionym trybie. To, co robi pan, to, co my robimy, jest w tej chwili najważniejsze, jest priorytetem dla nas wszystkich. Ach... zapomniałbym, do Chongjin poleci z panem jeszcze jedna osoba. Pana zadanie będzie polegało na poznaniu jej z naszą skośnooką przyjaciółką. Pana nowy znajomy, a właściwie znajoma, ma dostać się na Nosiciela i zamontować tam pewne urządzenie. Da nam to pewność, że w razie kolejnej próby szantażu ze strony generałowej będziemy zabezpieczeni. Potem wróćcie do Nowego Jorku. Jest wtajemniczona i doskonale rozumie rolę, jaką ma odegrać. Zapewniam pana, że jej obecność uprzyjemni pańskie zadanie. Poproście pannę Yeonrin!

Sterben spojrział w stronę, w którą Pan wskazał ręką, wypowiadając orientalne imię. Ramy obrazu rozsunęły się, spomiędzy nich wyszła smukła kobieta, pewnym krokiem zmierzając w jego stronę.

Nie słyszała rozmowy toczącej się za ścianą. Jej treść zupełnie jej nie interesowała. Teczka nowego partnera, ze zdjęciem podpisanym „Aleksander Starker vel Sterben”, leżała przed nią.

Nawet przystojny, pomyślała, przyglądając się fotografii.

Podobnie jak on była tylko częścią większej całości. Już dawno przestała sobie zaprzątać głowę, o co w tym wszystkim chodzi i kim jest tajemniczy Pan. Kiedyś był dla niej wybawcą, teraz stał się mroczną tajemnicą. Po prostu robiła to, co poleciła jej Rada lub on sam. Położyła rękę na joysticku sterującym kamerą. Skierowała ją na narożny kominek w sali. Wpatrywała się w wesolo skaczące na palenisku płomienie, zaczęła wspominać.

Dziesięć lat spędziła w obozie, zanim trafiła do Pana. Dziesięć długich lat szkoleń i poniżeń. Przez pierwsze półtora roku była w zwykłym obozie pracy, stanowiąc zabawkę strażników, którzy regularnie ją bili, gwałcili i nią pomiatali, jak należało czynić z wrogiem ludu. Od mężczyzn strażników gorsze były kobiety strażniczki. Najokrutniejszą z nich była porucznik Kim

Kyong. Zapamiętała tę sukę. Jej ulubioną zabawą było obcinanie piersi ciężarnym więźniarkom. „To tak na wszelki wypadek – mówiła. – Jeśli przeżyjesz i urodzisz, to nie wykarmisz kolejnego wroga ludu”. Większość jej współwięźniarek nie wytrzymała trzech, czterech miesięcy. Podcinały sobie żyły lub próbowały uciec. Te, co miały szczęście, ginęły na obozowym ogrodzeniu, zastrzelone przez strażników. Te, co szczęścia nie miały, były zabierane do ostatniego baraku. Żadna stamtąd nie wracała.

Rankiem, kiedy miała dyżur w obozowej kuchni, przyszło do niej trzech: sierżant i dwóch świeżaków. Pamiętała to bardzo dobrze. Co noc, od tamtego dnia, zasypiając, słyszała słowa żołdaka:

– Klękaj, szmato, i otwieraj mordę! – krzyczał, opuszczając spodnie.

– Teraz, panowie – powiedział sierżant, opierając karabin o szafkę, tuż przy niej – dostaniecie krótki, darmowy kurs gnębienia wroga ludu.

Pozostali chichotali, szczerząc poźółkłe zęby.

– No już, nie mam całego dnia. – Uderzył ją pięścią w twarz.

Poleciała na stojącą obok kuchenną szafkę i zsunęła się po drzwiczkach. Z nosa i warg ciekła jej krew. Przez załzawione oczy dostrzegła leżący tuż przy ręce karabin, chwyciła go i wstała. Sierżant próbował się cofnąć, ale spodnie, opuszczone do kolan, blokowały mu nogi. Yeonrin, trzymając oburącz karabin, pchnęła wojskowego z całej siły, wciskając mu lufę w brzuch. Odbezpieczyła broń. Wiedziała, jak to zrobić, była dzieckiem swoich czasów. Nacisnęła spust. Odgłos wystrzałów zagłuszył wycie sierżanta. Kule, które rozerwały mu plecy, trafiły stojących za nim żołnierzy. Poczula swąd palonej skóry i zapach gotującej się krwi. Patrzyła mu w twarz, oczy pełne przerażenia pomału zachodziły mgłą, z ust wydobywała się spieniona krew. Powoli zaczął się przechylać w stronę szafki, ale każdy kolejny wystrzał podrzucał go do góry, utrzymując w pionie. Żalowała, że w magazynku skończyły się naboje – mogłaby tak w nieskończoność. Upuściła karabin. Truchło sierżanta, dymiąc z rany na brzuchu i plecach, groteskowo zawisło na szafce. Dwaj żołnierze wili się z bólu na podłodze pełnej jelit i krwi. Zemdląta.

Ocknęła się w świeżo zastanym łóżku. Była umyta, z jej nosa i ust wystawały gumowe rurki.

Prawa noga tkwiła aż po biodro w gipsie.

W brzuch wrzynał się elastyczny bandaż. Rana pod nim piekla. Próbowwała unieść głowę, ale ostry ból przeszył jej szyję.

– Nie robiłbym tego. Poleżysz w łóżku jeszcze dobre dwa, trzy miesiące. Spojrzała w stronę, z której dochodził głos. W rogu pokoju, na drewnianym, rozkładanym krześle siedział żołnierz w stopniu majora. Promienie słońca wpadające przez uchylone okno migotały w złotych gwiazdkach naramiennika.

– Pierwszy raz w mojej karierze, a wierz mi, długo służę, zdarza się, żeby piętnastolatka zabiła dwóch wyszkolonych żołnierzy, trzeciego ciężko raniąc – powiedział, wstając z krzesła i podchodząc do łóżka. – Masz dużo szczęścia, dziecko, że komendant obozu nie pozwolił cię zakatować reszcie strażników. Co prawda nie uniknęłaś paru zadrapań i siniaków, ale przecież nie możesz ich za to winić. – Uśmiechnął się do niej. – Dostrześliśmy w tobie potencjał. Od dziś będziesz miała szansę lepiej przysłużyć się swojemu narodowi.

Chciała mu powiedzieć, gdzie ma naród i jego, ale z gardła wydobył się tylko cichy gwizd.

– Tak, wiem. Nie musisz nas kochać. Powiem krótko – wyjął z kabury pistolet i przystawił jej do brody – jesteś młoda, całe życie przed tobą. Wiem, że jest w tobie pragnienie życia. W przeciwnym razie tak jak inne zabiłabyś się po paru miesiącach. Ty jednak podjęłaś walkę, choć znałaś jej wynik. Damy ci szansę. Po wyjściu ze szpitala przejdiesz cykl szkoleń. Jeśli podczas nich spostrzeżemy, że twój stosunek do nas zmienia się na lepsze, będziesz żyć. Jeśli na którymś z etapów ćwiczeń wykażesz choć cień nieposłuszeństwa, zginiesz.

Przycisnął mocniej pistolet do jej brody, poczuła smak krwi w ustach.

– Ale już teraz musisz dokonać wyboru. Wystarczy, że skiniesz głową, a nowy świat, nowe możliwości będą ci dane.

Odbezpieczył pistolet. Patrzyła w jego oczy, uśmiechały się do niej. Zrozumiała, jakim jest skurwysynem. Wiedziała, że odmowa znaczy śmierć. Skinęła obolałą głową.

– Ciesz się moją decyzją.

– A zatem do zobaczenia, moje dziecko. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia – powiedział, wychodząc z pokoju.

Szpital opuściła po trzech miesiącach. Eskortowana przez żołnierzy, trafiła do obozu szkoleniowego. Uczyli ją tam języków obcych, tańca, zasad savoir-vivre'u, obsługi broni i sztuki walki. Jednym słowem, wszystkiego, co potrzebne jest agentowi, aby wykonał zadanie. Lata wypełnione czternastogodzinnymi dniami zajęć miały szybko. Często wraz z innymi dziewczynami obsługiwała bankiety dla zagranicznych oficjeli. Były one miłą odskocznią od codziennych ćwiczeń i zadań. Prawdopodobnie na jednym z takich przyjęć Pan ją sobie upatrzył i jej sobie zażyczył. Nie wiedziała, czy za nią zapłacił, czy dostał ją w prezencie. Następnego dnia po prostu zapakowali ją do samolotu i odesłali do niego.

Przez całe osiem lat szkoleń nie dała po sobie poznać, co tak naprawdę nią kierowało. Była posłuszna, szybko robiła postępy w każdej dziedzinie. Po pierwszym roku stała się dla innych uczestników przykładem wytrwałości i zaangażowania. Major, który ją odwiedził w szpitalu, nawet się nie domyślał, jak bardzo się mylił. To nie pragnienie życia zmusiło ją do skinięcia głową, tylko żądza zemsty.

– Panno Yeonrin, jest pani proszona – oznajmił strażnik stojący za jej plecami.

Wstała, ramy obrazu rozsunęły się przed nią. Pewnym krokiem, mijając krzesła, ruszyła w stronę Sterbena.

– W końcu się poznajemy – powiedziała, podając mu rękę.

Pochylił się i pocałował ją w dłoń. Zapadło niezręczne milczenie. Stali naprzeciw siebie, taksując się wzajemnie wzrokiem.

Jest piękną kobietą, pomyślał.

Długie, kruczoczarne włosy spadały jej na ramiona. Czerwona apaszka wokół szyi kontrastowała z niebieską sukienką, która podkreślała zgrabną figurę. Jak na Azjatkę była wysoka, choć może nieco za drobna. Ich spojrzenia spotkały się. Dostrzegł w zielonych oczach iskierki rozbawienia. Figlarnie uniosła brew.

– Pana zażenowanie jest dla mnie komplementem – powiedziała uśmiechnięta.

– Aleksander – przedstawił się, puszcżając jej dłoń. – Mnie również miło panią poznać, panno...?

– Yeonrin, mam na imię Yeonrin – odparła, nie przestając się uśmiechać.
– Znajomi wolą do mnie mówić Yeo. Jak widzę, pana rozmówca opuścił nas tak samo tajemniczo, jak się pojawił.

Sterben przytaknął skinieniem głowy.

– Nic tu po nas. – Schyliła się po zapalniczkę leżącą na krześle i wsunęła mu ją do kieszeni marynarki. Poczł delikatny zapach perfum.

– Zapraszam na spacer. – Wzięła go pod ramię i ruszyli w stronę wyjścia.

Szli alejką, którą wcześniej Sterben dotarł do chatki.

– Pewnie nie wiesz, Aleksandrze, ale spotkaliśmy się już.

– Niemożliwe, zapamiętałbym cię. – Przystanął, zaciekawiony.

– Spotkanie to może zbyt wiele powiedziane. W Argun, na początku 1999 roku. Uświadomiłam to sobie dzisiaj, jak oglądałam twoje akta. W celowniku lepiej wyglądałeś niż na tym zdjęciu.

– Nie było cię wśród ludzi Chattaby [12], więc musiałaś być z Szamilem [13].

– Tak. Zabezpieczałam rozmowy z dachu budynku.

– Było tam gorąco. Rokowania zakończyły się rzezią.

– Mudżahedini Chattaba [14] zawsze byli w gorącej wodzie kąpani.

– Mówisz, że miałaś mnie na celowniku. Mogłaś mnie zabić. Czemu nie strzeliłaś? – zapytał, odpalając papierosa.

– Nie stanowiłaś zagrożenia dla Basajewa. Miałeś w rękach tylko kamerę. Gdybyś zamiast niej miał broń, pewnie byśmy teraz nie rozmawiali

– odparła, uśmiechając się. – Chodźmy, zaczyna się robić chłodno.

Sterben zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona. Ruszyli wolnym krokiem w stronę bungalowów. Intrygowała go coraz bardziej. Wzbudzała w nim niepokój. Podświadomie wiedział, że ta piękna kobieta może stanowić dla niego śmiertelne zagrożenie. Jednocześnie coś go do niej ciągnęło. Przypomniał sobie Argun. Sześciu bojowników Chattaba padło w parę sekund. Na świecie niewiele jest snajperów, którzy potrafią celnie strzelać

z taką szybkością. Jego też miała na celowniku i to na pewno nie kamera ocaliła mu życie.

Tylko po co to powiedziała i dlaczego skłamała, zastanawiał się.

1 sierpnia 2001 r.,
X remiza straży pożarnej w Nowym Jorku, Liberty Street,
Manhattan

Pożegnanie

Wchodząc do garażu, domyślał się, że chłopaki coś kombinują, a poranny telefon kapitana, wzywający go do remizy pod pretekstem podpisania zaległych raportów, tylko go w tym utwierdził. Greg z Johanem kręcili się przy wozie, polerując jego chromowane elementy. Spostrzegli go, zaczęli szeptać do siebie, podśmiewając się.

– Cześć, chłopaki! – krzyknął w ich stronę. Obaj odpowiedzieli mu jak na komendę, machając rękami i coraz głośniejsze rechocząc.

Złośliwe bliźniaki, pomyślał. Zawsze wszystko robią razem.

W rzeczywistości nie byli bliźniakami. Byli dobrymi, zżytymi z sobą partnerami, którzy bez słowa, czy to w akcji, czy w wolnej chwili, doskonale się rozumieli, zresztą jak wszystkie chłopaki w dziesiątce. Żałował, że ich opuszcza. Będzie mu brakowało tej rodzinnej atmosfery i jego braci strażaków.

Otworzył drzwi szatni, rzucił torbę na ławkę przy szafce, usiadł i zaczął rozsznurowywać but.

„Co ja robię?” – klepnął się w czoło, zły na siebie.

Związał buta, wstał, wyszedł na wąski korytarz prowadzący do jadalni.

– O... jest nasz odstępcza, innowierca, apostata! – Sky powitał go w drzwiach z szeroko rozpostartymi ramionami. – No chodź, niech cię uściskam! – Mocarne ręce oploty go wokół pasa i uniosły w górę.

– Puść, ty polski niedźwiedziu! Wracaj do lasu, z którego uciekłeś –

Sky, potrząsając nim, krzyczał głośno jak konferansjer na hali bokserskiej:

– Oto przed państwem Cathal Tasuil, wczorajszy dzielny strażak, jutrzejszy nie mniej dzielny agent DIA ¹⁵. Wybacz, jeśli źle wymówiłem twoje irlandzkie nazwisko.

– Ty wszystko źle wymawiasz. Postaw go, zanim się udusi w tych miłosnych objęciach – powiedział Jonathan, podchodząc z wyciągniętą ręką w geście powitania. – Będzie nam ciebie brakowało – kontynuował. – Jedynym pocieszeniem jest dla nas to, że Stany będą dzięki tobie bezpieczne

– roześmiał się, puszczając oczko do reszty.

– Szyderca – odparł.

– Dajcie mu potrzymać wąż, niech ostatni raz ma w ręce coś grubego – krzyknęła Susan, wyłaniając się zza barczystych pleców Skya.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– I ty tutaj? – Spojrzał na nią, udając zdziwienie. – Że ci coś kombinują, domyśliłem się. Ale że nawet ciebie ściągną?

– Musiałam pożegnać mojego ulubionego pacjenta – powiedziała, trzymając w dłoniach jego twarz. – Powodzenia – szepnęła mu do ucha, a odwracając się do reszty, oznajmiła: – Jako psycholog po wstępnym, pobieżnym badaniu stwierdzam, że Cathal Tasuil jest zdrowy na umyśle, choć dziwię się, że przebywając cztery lata w takim towarzystwie, nie zwariował.

Śmiechy ponownie wypełniły jadalnię.

Wiedział, że takich ich właśnie zapamięta. Radosnych, żartujących, przyjaznych. To ci ludzie przez cztery lata pomagali mu dojść do siebie po tym, jak opuścił armię. Dzielili z nim swoje troski i radości. Dali mu szansę zacząć od nowa.

– Tudut, tudut... – Sky naśladował fanfary. – Czas zacząć oficjalną część. Przy okazji informuję, że część nieoficjalna odbędzie się wieczorem w barze „Pod Wyjącym Kojotem”. Obecność oczywista, oczywistość obowiązkowa. Tylko mający służbę są usprawiedliwieni.

Przez szeroko otwarte drzwi Greg z Johanem wnieśli tort w kształcie wozu strażackiego. Za nimi, w galowym mundurze, szedł kapitan.

– Wiem, że to mnie winisz za całe to zamieszanie – zaczął kapitan, wręczając mu niewielkie pudełko owinięte wstążką. – Mamy nadzieję, że ten

prezent będzie ci nas przypominał, ilekroć na niego spojrzysz. Chcę też, żebyś wiedział, że nie moim pomysłem było oddelegowanie cię do ministerstwa jako analityka i koordynatora wspólnych akcji. Niestety, twoja teczka i dotychczasowy przebieg służby, zarówno w SEAL ^[16], jak i w straży, wybrały za nas. Ja nigdy nie pozbyłbym się żadnego z was – mówiąc to, odwrócił się do pozostałych. Wszyscy bili brawo.

Jeszcze nie przebrzmiał pierwszy krótki sygnał syreny alarmowej, gdy tort wylądował na podłodze. Sky pewnym ruchem odsunął Cathala od drzwi i pobiegł korytarzem. Za nim wybiegła reszta drużyny, przewracając krzesła i przesuwając stoły w jadalni. Zostali z Susan sami. Wisienki, imitujące światła tortowego wozu strażackiego, turlały się po podłodze. Podeszli do okna, zobaczyli, jak z garażu wyjeżdża pierwsza jednostka. Dźwięk syreny ucichł tak nagle, jak nagle się włączył.

– Wiesz już, którego zaczynasz? – zapytała, opierając głowę na jego ramieniu.

– Pierwszego przyszłego miesiąca. Ósmego czy dziewiątego mają przyjechać Francuzi. Będą kręcić film o współpracy jednostek ratownictwa z policją. Mam się nimi zająć.

– Wieczór spędzamy u mnie czy u ciebie?

– Wieczorem, skarbie, idziemy do baru „Pod Wyjącym Kojotem” – powiedział, całując ją – a potem się zobaczy.

Oddalił zoom, ale i tak mogła nie mieścić się w obiektywie. Żeby objąć ją całą, musiałby zmienić swoje położenie, a to było zbyt ryzykowne. Miał już cztery udokumentowane zdjęciami zbiorowe mogiły, ale ta była największa i nieukończona. Widział zwłoki z nienaturalnie powykęcanyymi członkami wystającymi z ziemi. Jacyś ludzie, chyba jeńcy, posypywali je wapnem. Do jednej z grup, stojącej przy ciężarówce wypchanej do połowy ludzkimi zwłokami, podszedł strażnik. Gestykulując i głośno krzycząc, tłumaczył coś. Popchnął najbliższego mężczyznę, przewracając go na ziemię. Przeladował karabin i wystrzelił. Odgłos strzału rozdarł ciszę poranka. Pozostali mężczyźni wskoczyli na pakę pojazdu. Depcząc po zwłokach, zaczęli spychać je na ziemię. Bośniacy nie mieli litości dla nikogo. Nie liczyło się wyznanie, płeć czy wiek ofiary. Z morza lez i krwi wyłaniała się nowa

republika, a w niej było miejsce tylko dla Bośniaków.

Usłyszał ruch na korytarzu, odłożył aparat na parapet okna i odbezpieczył broń. Od strony wejścia poleciała seria z automatu. Jedna z kul wbiła się w ścianę tuż obok jego głowy. Odłamki betonu zraniły mu twarz. Cathal przeturlał się po podłodze w kierunku stołu. Nie wiedział, ilu jest napastników ani gdzie są.

Byle dostać się do wyjścia, pomyślał.

Wychylił głowę, szybko omiótł spojrzeniem pomieszczenie. Od drzwi prowadzących na korytarz dzieliło go niespełna pięć metrów. Jeśli na niego czekają, to na pewno w korytarzu, po obu stronach. Sprawdził magazynek – był pełny, przy sobie miał jeszcze trzy. Wskoczył zza stołu, puścił dwie krótkie serie, po jednej w każdą ścianę. Jęki i przekleństwa upewniły go, że trafił. Do pokoju wtoczył się po podłodze granat, podskakując na kawałkach gruzu. Siła eksplozji odrzuciła go pod okno. Kawałki blatu wbiły mu się w brzuch, boleśnie raniąc. Z uszu i nosa ciekła krew. Usiadł, opierając się o ścianę, wymierzył karabin w stronę drzwi i czekał. Jednak nikt nie

nadchodził. W korytarzu wywiązała się walka, słyszał odgłosy strzałów i głucho eksplozje granatów oslepiających. To jego ubezpieczenie likwidowało napastników. Czuł, że traci przytomność.

– Tu Boom, Cathal, słyszysz? Nie strzelaj, wchodzimy!

Opuścił karabin. I tak nie miał siły dłużej go trzymać. Powoli ogarniała go ciemność.

– Stracił dużo krwi – powiedział Socjo. – Opatrzyłem rany i wyciągnąłem resztki stołu z jego brzucha. Potrzebuje transfuzji, inaczej nie przeżyje.

Otworzył oczy.

– Lepiej późno niż wcale – stwierdził.

– Nie marudź, ledwie cię drasnęło – odparł Socjo, zmieniając magazynek.

– Już wezwałem ptaszki, będą za piętnaście minut. Musimy go wnieść na dach. Idź pierwszy i osłaniaj – powiedział do Socja Boom. – Ja go wezmę.

Okropny ból rozdzierał mu wnętrzności przy każdej próbie podniesienia się. Krzyczał, coraz mocniej zaciskając pięści. Ból stawał się nie do wytrzymania...

– Już dobrze, Cathal, słyszysz? To tylko sen, zły sen – powiedziała Susan, zapalając nocną lampkę. Wypuścił z zaciśniętych dłoni prześcieradło.

– To nigdy się nie skończy – odpowiedział.

– Skończy się, tylko potrzebujesz czasu. Oboje go potrzebujemy – odparła, biorąc go za rękę. – Zobaczysz, wszystko się ułoży.

– Nic się nie ułoży. Tego nie da się zapomnieć, kochanie. Nie wymażesz z pamięci stosów trupów, odgłosu salw plutonów egzekucyjnych, widoku wypatroszonych ludzkich ciał leżących na ulicach, płaczu dzieci i jęków rozpaczony matek. Czemu ludzie robią takie rzeczy i kogo to bawi?

– Połóżmy się już – przerwała mu Susan. – Takie gadanie w niczym nam nie pomoże. Tylko na nowo otworzy zabliznione rany. – Pocałowała go i zgasiła światło.

Przekręcił się na bok. Wiedział, że już nie zaśnie. Myśli i obrazy kłębiące się w jego głowie nie pozwolą mu na to. Musiał pomyśleć o czymś innym, może to odpędzi demony przeszłości. Sięgnął ręką po pudełeczko stojące na szafce, otworzył je i wyciągnął zegarek. Na środku cyferblatu widniała rzymska liczba dziesięć. „Będzie ci nas przypominał, ilekroć na niego spojrzysz” – przywołał w pamięci słowa kapitana. Dzisiejszy dzień był taki miły, jeden z piękniejszych w jego życiu. Najpierw pożegnanie w remizie, potem huczna impreza w barze. Później powrotny spacer z jego kochaną Su nocnymi ulicami miasta. Wszystko było takie poukładane, takie dobre, przepelnione śmiechem i radością. Przynął się do niej i pocałował ją. Czuł jaśminowy zapach jej włosów, zamknął oczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rozpoczęte zadanie jest łatwe – połowa pracy już zrobiona. Horacy

Przyjęcie

Podłączyła zasilanie, szybkim ruchem ręki wpisała cyfry kodu zabezpieczającego. Musiała jeszcze wpiąć kabel do nadajnika satelitarnego Nosiciela, ale nie mogła osiągnąć wtyczki w wąskiej szczelinie. Wyciągnęła szpilkę z włosów. Wsunęła ją w szparę między ściankami schowka. Udało się, podciągnęła zwitek kabli nieco wyżej i drugą ręką podłączyła wtyczkę.

– Pośpiesz się – powiedział Aleks stojący w korytarzu. – Nie zostało zbyt wiele czasu, nim kapitan zacznie coś podejrzewać.

– Już kończę – odparła, zamykając pokrywę schowka. – Gotowe, teraz można wysadzić Nosiciela z dowolnego miejsca na ziemi.

– Co jeśli znajdą niespodziankę, zanim trzeba będzie go zniszczyć?

– Nie znajdą, a jeśli nawet, to nie będą mieli czasu zastanowić się, na co wpadli.

Pokrywa schowka zamyka obwód. Kupki popiołu nie myślą.

Stanęła naprzeciw Sterbena tak, że ich ciała zetknęły się ze sobą w wąskim, owalnym korytarzu.

– Znowu to robisz – powiedział, przeciskając się między nią a ścianą.

– Co niby robię?

– Już dobrze wiesz co – odparł zirytowanym głosem i ruszył w stronę mostka kapitańskiego.

Chodzenie korytarzem na pokładzie okrętu podwodnego przypomina dziwny taniec, pomyślała Yeonrin, patrząc na oddalającego się Aleksa. Dziesięć kroków i podskok nad progiem wodoszczelnej grodzi.

– Idziesz czy mam cię tu zamknąć?

Udała, że go nie słyszy. Cicho pogwizdując, z głową zadartą do góry, ruszyła za nim.

– Już myślałem, że państwo zabłądzili – powiedział kapitan na ich widok.

– Panna Yeonrin kończyła poranną toaletę włosów – odparł Sterben.

– Och, rzeczywiście, w rozpuszczonych jest pani jeszcze piękniejsza.

– Dziękuję, kapitanie. Niektórzy mogliby się od pana uczyć, jak postępować z

kobietami – powiedziała, patrząc na Aleksa.

– Jak pani ogłędziny? Pani zdaniem uda się ulepszyć wyrzutnie torped?

– Uda się, kapitanie, ale po powrocie okrętu z rejsu. To poważna przeróbka. Wiąże się z przebudową dziobu okrętu i burt. Nosiciela przystosowano do wyrzelenia standardowych torped, typu Mark 48 [17]. Torpedy Szkwiał [18], które otrzymaliście z Iranu, są dużo większe i cięższe.

– Przekażę pani wnioski generałowej – odparł kapitan.

– Nie będzie takiej potrzeby – wtrącił Sterben. – Wieczorem jesteśmy do niej [19] i zaproszeni na przyjęcie. Yeonrin będzie miała okazję poznać generałową Kim Kyong i zapewniam pana, kapitanie, że porozmawia z nią osobiście.

O tak, pomyślała Yeo, już ja z nią porozmawiam.

Stał w holu willi, czekając na Yeonrin. Posiadłość stanowiła własność Rady Kuźni i jako taka podlegała całkowitemu wyłączeniu z dozoru północnokoreańskich służb. Po powrocie z bazy przesłał raport do Behemian Grove. Meldunek, zgodnie z jego zwyczajem, był lakoniczny. W paru słowach poinformował o udanym podłożeniu ładunku SADM na pokładzie Nosiciela. Spojrzał na zegarek. Powinna być piętnaście minut temu.

Yeonrin nie śpieszyła się. Zrobienie makijażu i przebranie się w wieczorową suknię zajęło jej kwadrans. Małą rurkę z irydu i platyny, imitującą pomadkę, wsadziła do kopertówki, do przegródki z kosmetykami. Zbiorniczek ze śmiertcionośnym ładunkiem, wyglądem przypominający e-papierosa, wrzuciła do głównej kieszeni torebki. Zastanawiała się, jak i kiedy to zrobi, ale była pewna, że zrobi. Musiała zabić generałową, taka okazja może się więcej nie powtórzyć. Wiedziała, jak wiele ryzykuje i co się

z nią stanie, jeśli zostanie złapana.

Szybko awansowała, suka, z porucznika w łagrze na generała, pomyślała, poprawiając pomadką usta.

Odstawiła ją na stolik toaletki, przy lustrze. Podniosła z niego dwie szklanki wypełnione brunatnym płynem i wyszła z pokoju.

Schodząc po schodach, przyglądała się Aleksowi, krążącemu wokół stołu ulokowanego w jasno oświetlonym holu willi. Był mężczyzną o wysportowanej sylwetce. Krótkie, szpakowate włosy dobrze współgrały z czarnymi brwiami i krótkim zarostem. Szeroka szczęka i nos, niczym u boksera, nadawały groźny wyraz jego twarzy. Ruchy charakteryzowała

pewność siebie. Nie przypuszczała, że Niemcy mogą być tak przystojni. Zawsze kojarzyli się jej ze świńskimi blondynami o małych, bezbarwnych oczkach.

Może podobać się kobietom, pomyślała z nutką zazdrości.

Zamierzał być niemiły. Chciał jej powiedzieć coś w stylu: „No w końcu jesteś, hrabino”, ale nie mógł tego zrobić. Jej widok, to, jak wyglądała w wieczorowej sukni, po prostu mu na to nie pozwolił.

– Proszę. – Podała mu szklanę z drinkiem.

– A to z jakiej okazji?

– Za nasze spotkanie – powiedziała, stukając delikatnie w jego szklanę.

– Do dna, Aleksie!

Wziął od niej szklanę i postawił na stole obok swojej pustej.

– Pięknie wyglądasz – odparł, podając jej ramię.

– Wiem.

Na przyjęcie dotarli jako ostatni goście. Powitała ich gospodyni w asyście swojego adiutanta.

– Miło mi państwa gościć w moich skromnych progach – mówiąc to, wyciągnęła rękę na powitanie. – Aleksa miałam okazję poznać w Behemian Grove. A kim jest twoja piękna przyjaciółka, Aleksie?

– To panna Yeonrin – odparł. – Jak pani zapewne wiadomo, przyjechała ze mną na polecenie Rady.

– Tak, tak słyszałam, kolejna modernizacja Nosiciela. Dostałam po południu raport od kapitana. Szkoda, że Nosiciel niedługo wypływa. Korea zyskałaby kolejnego jokera do swojej...

Sterben nie słuchał reszty słów, patrzył na Yeo. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że wyraz jej twarzy zmienił się na widok generałowej. Pobladła, nie uśmiechnęła się, jak to miała w zwyczaju, nie śpieszyła się też z uściśnięciem ręki. Jakby celowo chciała upokorzyć generałową, odwlekając powitanie. Domyślił się, że obie kobiety coś łączy.

– ...czujcie się jak w Behemian Grove. Szkoda, że nie spotkaliśmy się właśnie tam. Wówczas nasze spotkanie miałoby pewnie mniej oficjalny charakter. Mój adiutant zaprowadzi was do stolika. Jest blisko mojego, więc nadarzy się nam jeszcze okazja porozmawiać. Teraz przepraszam najmocniej,

obowiązki wzywają.

– Powiesz mi? – zapytał, odsuwając krzesło od stołu, aby usiadła.

– Co mam ci powiedzieć? – odparła.

– Pewnie wszyscy goście słyszeli zgrzyt twoich zębów na widok generałowej.

– Stare dzieje – odparła, patrząc mu w oczy. Chciała mu powiedzieć, przez co przeszła w obozie i co robiła Kim, ale wiedziała, że nie może. Nie ufała mu aż tak bardzo, chociaż naprawdę tego pragnęła. Sterben wziął ją za rękę. Dwie łzy spłynęły z jej oczu, pozostawiając jaśniejsze ślady na policzkach.

– Lepiej będzie, jak szybko znajdziesz łazienkę – powiedział, pomagając jej wstać z za stołu.

O co tu chodzi? – pomyślał, wiodąc wzrokiem za odchodzącą Yeo.

Nie znał jej długo, ale wiedział, że potrafi doskonale grać swoją rolę. Ta na pewno nie należała do najtrudniejszych, jakie przyszło jej odegrać. Jednak wydarzyło się coś, co mocno nią wstrząsnęło i wytrąciło ją z równowagi. Coś, co wiązało się z osobą generałowej. Wiedział, że nie może tego tak zostawić. Wiedział też, po czyjej stronie stanie w razie czego.

Patrzyła w lustro, była zła na siebie. Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji. Myślała, że jest twardą kobietą, radzącą sobie ze wszystkimi i wszystkim. Życie jednak zweryfikowało jej wiedzę na ten temat. Nie mogła opanować myśli, gdy zobaczyła Kim Kyong. Wspomnienia same wróciły, wyświetlając się w mózgu jak pojedyncze klatki filmu. Położyła torebkę na marmurowej płycie okalającej umywalkę. Wyjęła rurkę i przybliżając twarz do lustra, udawała, że maluje usta pomadką. Odłożyła ją do torebki, wsadziła drugą rękę i markując, że czegoś szuka, połączyła ją ze zbiorniczkiem. Obie skręcone ze sobą części ledwie zmieściły się w kopertówce.

Nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre, pomyślała, wzięła głęboki oddech i wyszła z łazienki.

Sterben siedział przy stoliku z Kim. Podeszła do nich, siadając naprzeciw niej.

– Wybacz, Aleksie, że zostawiłam cię samego na tak długo. Dzięki Bogu nasza gospodyni dotrzymała ci towarzystwa – powiedziała, uśmiechając się do niej.

– Tak – odparł Sterben.

Ty, dzięki Bogu, znowu jesteś Yeonrin, a nie małą dziewczynką z zasmarkanym noskiem, pomyślał i udając rozbawienie, dodał:

– I tak to się skończyło, generałowo.

– Historia godna zapamiętania – powiedziała Kim, wpatrując się w Yeo. – Czy my nie spotkałyśmy się już kiedyś? Może w Behemian Grove?

– Niemożliwe, generałowo. W klubie byłam tylko raz. W czasie tej wizyty poznałam przystojniaka, który siedzi obok pani – mówiąc to, otworzyła torebkę, którą trzymała na kolanach. Wyciągnęła irydowo-platynową rurkę i skierowała ją pod stołem w stronę generałowej, naciskając chropowaty przycisk spustu. Wąski, bezgłośny strumień promieniowania jonizującego dosięgnął Kim Kyong.

Ugotujesz się we własnym ciele, pomyślała Yeo, uśmiechając się do niej.

– No cóż, pozostało mi życzyć państwu dobrej zabawy. Aleksie – spojrzała

na niego, wstając – przekaz proszę Panu moje wyrazy podziękowania i szacunku. Skoro doszliśmy do porozumienia, okręt wypłynie zgodnie z planem.

– Dziękuję – odparł, również wstając.

– Jak mi wiadomo, rano opuszczacie mój kraj.

– Jeszcze dzisiaj w nocy – poprawił ją Sterben.

– To do zobaczenia – powiedziała generałowa, odchodząc do swojego stolika.

Chyba w piekle, stara suko, pomyślała Yeo.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Nie teraz, Aleksie, nie teraz. Chodźmy zatańczyć... proszę.

8 września 2001 r.,

Nowy Jork, Madison Street, Manhattan, siedziba Defense Intelligence Agency, DIA – Agencji Wywiadu Obronnego

Niezliczeni ludzie zniechęcą „Nowy Porządek Świata” i zginą, protestując przeciwko niemu. H. G. Wells

W nowej pracy dobrze go przyjęli. Dostał narożny gabinet z widokiem na James Madison Plaza, miejsce parkingowe, no i na drzwiach tabliczkę „Dział Analiz i Koordynacji – kpt. Cathal Tasuil”. Z pracy był zadowolony. Polegała głównie na czytaniu i analizowaniu raportów przesłanych z podległych mu placówek ratownictwa i bezpieczeństwa publicznego. Drugiego dnia pracy odwiedził go Sky. Pogratił awansu na kapitana. Potem powspominali stare dzieje. Lubił tego dobrodusznego siłacza. W straży pożarnej stanowili zgrany zespół. W nowym miejscu pracy brakowało mu śmiechów dochodzących z jadalni i głupich prysznicowych żartów, jakie miały miejsce w remizie. Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

– Proszę!

– Kapitanie, przyniosłam raporty z ostatniego miesiąca – powiedziała Grace, kładąc dysk na biurku.

– Dziękuję, Grace. Przepraszam, pani porucznik.

– Nic nie szkodzi, kapitanie, nie przeszkadza mi to. Mówiąc szczerze, wolałabym, jakby zwracał się pan do mnie po imieniu.

– Pozwolę sobie na to tylko wtedy, kiedy będziemy sami – odparł Cathal, podając jej rękę.

– Miło mi, kapitanie Cathal – ucisnęła jego dłoń i wyszła z pokoju, cicho zamykając drzwi.

Inteligentna kobieta, pomyślał, siadając z powrotem na krześle. Podpiął dysk do komputera. Na ekranie monitora pojawiły się tabele z raportami, pogrupowanymi według daty i miejsca.

Po trzech godzinach czytania i robienia notatek stwierdził, że czas na

przerwę. Poprosił Grace o kawę i zadzwonił do Su.

– Jak się ma mój kapitan? – usłyszał jej głos w słuchawce.

– Twój kapitan siedzi wygodnie w fotelu i czeka na kawę, którą zaraz mu poda młoda, seksowna pani porucznik.

– Niech ci zrobi od razu kolację, bo w domu jej nie dostaniesz – powiedziała, śmiejąc się. – Tak na poważnie, nie mogę teraz rozmawiać. Jestem już spóźniona na sesję terapeutyczną z młodymi, seksownym żołnierzami. Złapałeś mnie wychodzącą z windy, w której tkwiłam uwięziona przez dziesięć minut.

– Serio? Windy w WTC się zacinają? Jaja sobie ze mnie robisz?

– To swoją drogą, a z windami są problemy od czasu tego remontu, który miał miejsce miesiąc temu. Naprawdę muszą już kończyć. Pa, kochanie – powiedziała, rozłączając się.

Do pokoju weszła Grace, niosąc na tacy filiżankę kawy, cukier i mleczko. Postawiła tacę na biurku.

– Na przyszłość radzę wciskać zielony przycisk na aparacie, a nie czerwony.

Cathal spojrzął na telefon.

– Kiedy chcesz się połączyć z miastem, tak aby rozmowę było słycać w sekretariacie, wciskasz czerwony. Podyktowane jest to względami bezpieczeństwa. Jeśli nie chcesz, aby młoda, seksowna porucznik słyszała treść rozmowy, wciskasz...

– Zielony – dokończył za nią Cathal.

– Właśnie. Ponadto wszystkie połączenia, zarówno wychodzące, jak i przychodzące, są nagrywane w centrali. Z cukrem i ze śmietanką?

– Chyba odeszła mi ochota na kawę.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Cathal dostrzegł w raportach dziwną rzecz. Parę załóg meldowało o zauważeniu „obcych” karetek i pojazdów ratownictwa drogowego. Wiedział z doświadczenia, że strażacy potrafią rozpoznać wozy pochodzące z innych jednostek straży. Dla laika niczym się nie różnią, dla strażaka są całkiem inne. Nie widział więc powodu, dla którego obsługujący karetki mieliby tego nie potrafić. Wcisnął przycisk interkomu.

– Grace, sprawdź, proszę, w rejestrze, czy na przestrzeni ostatnich dwóch, trzech miesięcy na terenie Manhattanu zostały zarejestrowane nowe

firmy zajmujące się ratownictwem. Jeśli są takowe, podaj mi ich adres, administracyjne rewiry działania i wykaz pojazdów, którymi dysponują.

– Tak jest – usłyszał w odpowiedzi.

Wszystkie tajemnicze pojazdy były widziane w godzinach porannych, w czasie największego natężenia ruchu i późnych godzinach nocnych. Żaden nie został zauważony w południe lub wieczorem. To właśnie wtedy zdarzało się na Manhattanie najwięcej stłuczek, kolizji i potrażeń.

Może nie pracują w tych godzinach? – pomyślał z ironią.

Jeszcze raz spojrzął na wykaz miejsc, w których były widziane. Nie pokrywały się, dzieliła je odległość kilkunastu kilometrów. Powoli przewijał na monitorze kolejne strony raportów. Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się. Grace, pukając we framugę, zapytała:

– Można?

– Tak, wejdź.

– W ciągu ostatniego kwartału nie została zarejestrowana żadna nowa firma. Postanowiłam pokopać nieco głębiej i znalazłam jedną. Zarejestrowaną niecałe siedem miesięcy temu. Co jest dziwne, do dziś nie zwrócili się do nas z prośbą o przeprowadzenie kontroli pojazdów ani systemów informacji czy atestów. Od wyniku takiej inspekcji uzależnione jest wydanie zezwolenia na działalność. Nie wiem, czemu nikt tego wcześniej nie zauważył.

– Bo nikt wcześniej nie czytał dokładnie raportów. Z tego, co powiedziałaś, wnioskuję, że ich samochody nie powinny zostać dopuszczone do ruchu, tak?

– Do ruchu mogły zostać dopuszczone, to kwestia badań technicznych. Nie mogą poruszać się po drodze jako pojazdy ratownictwa drogowego. Dotyczy ich bezwzględny zakaz używania oznaczeń zarezerwowanych dla naszych pojazdów, syren alarmowych itp.

Szybko przewijał strony raportów i znalazł to, czego szukał. Zaczął czytać na głos:

– „...jadący na sygnale, nierozpoznany przeze mnie wóz ratownictwa drogowego...”.
O, i tu „...obca karetka z włączoną syreną oraz sygnałem świetlnym minęła nas...”, i jeszcze tu „...pędząca na sygnale karetka przejechała obok nas. Zdziwiło mnie to, bo nie odebraliśmy żadnego wezwania, a nasłuch mamy zawsze włączony...”.

– Powoli, kapitanie – przerwała mu. – Przecież piszący raporty mogli się pomylić.

– Owszem, mogli, ale nie zrobili tego. To tak, Grace, jakbym ja po czterech latach służby nie potrafił rozróżnić wozów z innych remiz.

– Nawet jeśli się nie pomylili, to i tak nie mamy pewności, że te pędzące, mknące karetki należą do firmy, którą znalazłam.

– Pewności nie mamy. Za to mamy obowiązek to sprawdzić. Daj mi ich namiary.

– Firma zarejestrowana jest na Omara Falima, obywatela Arabii Saudyjskiej, a mieści się przy South Street 22a.

– Jak tam dojechać?

– Nie mam pojęcia. Włącz mapę i sprawdź.

– Właśnie, że też na to nie wpadłem!

Dokładnie nanosił na mapę punkty oznaczające miejsca, gdzie były widziane pojazdy. Wszystko zaczynało pasować.

– Spójrz – powiedział, przekręcając monitor w stronę Grace.

– Kulminacja punktów jest wokół WTC Plaza – powiedziała zaskoczona. – Żadnego nie zaznaczyłeś na północy. Wszystkie pozostałe zmiierają jakby gęsiego na południe, w stronę zatoki.

– Pan Omar Homar, czy jak mu tam, coś planuje i nie jest to otwarcie nowej firmy na Dolnym Manhattanie.

– A ja powiedziałam mamie, że mam nudną pracę.

Podjechał pod dom Skya, ten już czekał, stojąc na werandzie. Spojrzał na zegarek, dochodziła trzecia w nocy. Otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wskakuj – powiedział. Sky wsiadł do samochodu.

– Masz szczęście, że cię lubię, irlandzka mordo. Inaczej nigdy bym nie...

– Wylazł z jaskini – to chciałeś powiedzieć? – dokończył zdanie za Skya.

– Nie, nie to.

– Sprawa jest poważna, przynajmniej na taką wygląda – powiedział Cathal, ruszając.

– Parę tygodni po twoim odejściu rozmawialiśmy z chłopakami o tym, co mi dziś powiedziałeś przez telefon.

– I do czego doszliście?

– Że wszyscy o tym wiedzą, a nic z tym nie robią. Sam wiesz, jacy są ludzie. Jeden napisze w raporcie, drugi nie, bojąc się, że wyślą go do okulisty albo, co gorsza, do psychiatry. A właśnie, co u Susan?

– Tysiąc razy ci mówiłem, że ona jest psychologiem, a nie psychiatrą.

– Teraz już wiem, czemu powiedziała w remizie, że jesteś zdrowy na umyśle. Powinien cię zbadać psychiatra, a nie narzeczona psycholog. Co jej nakłamałeś o tym, gdzie wychodzisz o trzeciej w nocy?

– Nie musiałem kłamać. Nie widzieliśmy się dzisiaj. W pracy zeszło mi do wieczora. Zadzwoniłem i powiedziałem, że wracam do siebie, że jutro mam ciężki dzień... takie tam.

– Rozumiem. Co ustaliłeś?

– Myślę, że ludzie Omara ćwiczyli trasę. Nie wiem, może trasę dojazdu albo ewakuacji.

– Na Manhattanie nie brakuje banków, jubilerów. Nigdy się nie dowiemy, co chcą obrabować.

– Oni nic nie obrabują.

– Co masz na myśli?

– Punkty na mapie koncentrowały się wokół WTC Plaza. Tam ich było najwięcej.

– Zaraz, zaraz, myślisz więc, że chcą powtórzyć zamach z 1993 roku?

– Nie wiem, Sky, co oni chcą zrobić. Jakbym wiedział, to już bym tam na nich czekał z setką policjantów. To tu, South Street 22a – powiedział, zawracając samochód. – Objedziemy budynek dokoła, miej oczy szeroko otwarte.

– Zauważyłeś? Nie ma szyldu firmy.

– Ani żadnej tabliczki przy drodze, wskazującej miejsce wyjazdu dla pojazdów uprzywilejowanych – odparł Cathal, parkując samochód na tyłach budynku.

– Nie widzę kamer na ścianach.

– To, że ich nie widzisz, nie znaczy, że ich nie ma.

– Masz jakiś plan, mądralo? – zapytał Sky, wysiadając.

– Jasne, że mam. Przeskoczmy ogrodzenie, a potem się zobaczy.

– Naprawdę powinien cię zbadać psychiatra.

Pokonali siatkę i szybko dobiegli do ściany budynku. Okna były

zamazane farbą, nie mogli dostrzec, co kryje wewnątrz. Sunąc powoli wzdłuż ściany, dotarli do przybudówki.

– Podesadź mnie – powiedział Cathal.

– Zegnij ręce w łokciach i przyłóż do ciała.

– Że co?

– Rób, co każe – odparł i przykucnął, chwytając go pod łokcie. – Gotowy? Na trzy.

Raz, dwa, trzy.

Sky, prostując się, wyrzucił go w górę niczym plażową piłkę. Cathal złapał się krawędzi daszku i podciągnął na dach przybudówki. Okna pierwszego piętra nie były zamalowane, ale przez mrok panujący wewnątrz budynku nie mógł nic dojrzeć. Po kolei sprawdzał okna. Trafił na jedno niedomknięte. Delikatnie sprawdził szczelinę między metalową ramą a parapetem. Nic nie znalazł. Spróbował je podnieść, ani drgnęło. Mocniej zaparł się nogami, naprężył mięśnie i ponowił próbę. Zardzewiała rama okna nie poruszyła się w prowadnicy ani o milimetr. Już wiedział, dlaczego jest niedomknięte.

– Przesuń się, cherlaku. Dupa z ciebie, a nie agent DIA. Nawet nie usłyszałeś, jak cię zaszedłem. Oprócz badań psychiatrycznych czekają cię też laryngologiczne.

– Byłem pewny, że pilnujesz tyłów.

– Bo pilnuję. Nie bojaż, jesteś pod opieką dorosłego.

Sky wsunął rękę w szparę. Okno z cichym zgrzytem zaczęło się powoli podnosić.

– Wystarczy ci tyle, żeby przejść? – Otrząsał rękę z rdzy i kurzu. – Naprawdę nie mogłeś tego otworzyć? – zapytał z udawanym zdziwieniem.

Cathal przeszedł na drugą stronę. Znalazł się w pomieszczeniu przypominającym halę. Wzdłuż wewnętrznej ściany, dookoła budynku, wił się wąski balkonik. Podeszedł do balustrady i spojrzał w dół. Przy ścianach, zaraz pod balkonem, dostrzegł sześć zaparkowanych furgonetek. Przeszedł przez poręcz balustrady, opuścił się na rękach i zeskoczył na dach jednego z samochodów. Pod jego ciężarem płyta imitująca dach ciężarówki załamała się. Z łoskotem wpadł do jej wnętrza.

Jestem w dupie, zdążył pomyśleć, zanim jasne światło lamp jarzeniowych wdarło się przez dziurę, którą wybił.

Usłyszał dźwięk opuszczanej hydraulicznie rampy. To tylne drzwi

furgonetki zaczęły się rozchyłać, powoli opadając na dół. Rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Było puste. Cienkie, boczne burty pojazdu wspierały się na sześciu prostownikach, przyspawanych do solidnej podłogi. Między prostownikami rozciągały się mocno naciągnięte metalowe sieci. Drzwi pojazdu stuknęły o podłogę. Jediną drogą ucieczki stanowiła opuszczona rampa. Zagradzało mu ją trzech mężczyzn, stojących na niej i mierzących do niego z pistoletów.

– Wyjdiesz sam czy mamy ci pomóc? – zapytał jeden z nich.

– Wyjdę.

Szarpiąc i kopiąc, zapędzili go pod ścianę.

– Ręce trzymaj wysoko, nogi w rozkroku. Przeszukaj go.

To była jedyna okazja, która dawała mu chociaż cień szansy. Kiedy przeszukujący go położył dłonie na jego plecach, Tasuil szybko się odwrócił, opuszczając jednocześnie ręce. Ramiona oplótł wokół szyi przeciwnika.

– Rzućcie broń, inaczej skręcę mu kark! – krzyknął.

– Skręcaj, zasłużył na to. Gówno mnie ta pierdoła obchodzi. Masz wybór, albo...

Nie dokończył. Z góry, za ich plecami, zeskoczył Sky, łapiąc dwóch mężczyzn za głowy i waląc nimi o siebie. Niczym szmaciane kukły osunęli się na podłogę.

– Mówiłem ci, że jesteś pod opieką dorosłego. – Odgłos wystrzału zagłuszył ostatnie słowa Skya. Cathal zobaczył, jak kula przelatuje przez ciało jego przyjaciela, rozrywając mu koszulę na piersiach. Ten stał jeszcze chwilę, kołysząc się na nogach. Potem klęknął, rozłożył ramiona i upadł na podłogę. Następny strzał roztrzaskał głowę mężczyzny trzymanego przez Tasuila. Krew i kawałki mózgu obryzgały twarz Cathala. Podbiegł do ciała Skya i przewrócił je na plecy, biorąc głowę na kolana.

– Wybacz, przyjacielu – zdążył wyszeptać, zanim potężny cios w tył głowy odebrał mu przytomność.

Nieproszeni goście

Minął równo tydzień, odkąd wrócili z Korei do Nowego Jorku. W ciągu trzech dni Sterben zakończył sprawę z ciężarówkami. Zwiększył ich liczbę

z czterech do sześciu. Tak jak życzył sobie tego Pan.

Przyjmując to zlecenie, postanowił, że będzie to ostatnia jego robota. Instykt podpowiadał mu, że projekt Rady Kuźni po blisko pięciu latach powoli zmierza ku końcowi. Nie ufał ludziom z Behemian Grove. Znał ich i wiedział, że może okazać się niepotrzebny. A dla nich „niepotrzebny” oznaczało „martwy”. Ponadto miał dosyć życia najemnika i związanej z tym poniewierki po świecie. Pragnął stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa. Tego samego chciała Yeonrin. Wynioskował to z ich długiej rozmowy podczas lotu z Korei do Stanów. Opowiedziała mu o swojej przeszłości i wyjaśniła, czemu się rozplakała. Nie dziwił się jej, w końcu przede wszystkim była kobietą, a dopiero potem agentką z przymusu. Kobietą, która wiele przeszła w swoim życiu, którą poniżano, bito i gwałcono. Istotą pragnącą, podobnie jak on, zacząć wszystko od nowa.

Poprawił zagłówek w fotelu kierowcy i oparł głowę.

Teraz dużo wygodniej, pomyślał.

Spojrzał w lusterko. Na długiej, prostej drodze był sam. Włączył radio i mocniej docisnął pedał gazu. Samochodem delikatnie szarpnęło przy automatycznej zmianie biegu.

Trzydzieści długich lat trwała jego podróż po świecie. Doskonale pamiętał, jak się zaczęła. Pewnego dnia do domu dziecka – trafił tam po śmierci babci, która go wychowywała, rodziców nie znał – przyszedł elegancko ubrany mężczyzna. Dyrektor domu najpierw wezwał do siebie chłopców i dziewczęta w jego wieku. Przedstawił im elegancko ubranego jegomościa, mówiąc, że ten chce zamienić z nimi parę zdań. Wtedy Sterben nie nazywał się jeszcze Sterben, swoje nowe nazwisko wybrał dużo później. Był najstarszy w tej grupie i jako pierwszy został poproszony na rozmowę. Nie trwała długo. Nieznajomy powiedział mu, że został przysłany do nich na polecenie władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej, że szuka chłopców i dziewczyn, którzy są gotowi pomóc w budowie ich młodej, dwudziestopięcioletniej ojczyzny.

Budowa czegokolwiek w wieku dziesięciu lat wydała mu się wtedy niczym ciekawym. Wolął wraz z rówieśnikami biegać po okolicznych polach i lasach, bawiąc się wojnę i w chowanego. Jednak na wszelki wypadek odparł „tak”, bojąc się, że pan dyrektor za „nie” każe go zamknąć w komórcie, jak to czynił ze wszystkimi nieposłusznymi dziećmi. Wtedy

jeszcze nie wiedział, że cokolwiek by odpowiedział, to i tak nie miało znaczenia.

Po niespełna miesiącu od feralnego „tak” znalazł się w nowym domu dziecka, który bardziej mu się podobał od starego. Mieścił się nad rozległym, ponad stuhektarowym jeziorem. Z pozostałych trzech stron otaczał go iglasty las. Wszystkie dzieci chodziły w granatowych mundurkach. Na rękawach bluz niczym żołnierze miały naszywki informujące o ich stopniu i zdobytych sprawnościach. Jak w wojsku dzieci składały przysięgę. Każda grupka chłopców miała swój pokój. Za utrzymanie go w ładzie i porządku byli odpowiedzialni wszyscy. Razem stanowili oddział o groźnej brzmiącej nazwie „Osy”. Właśnie w tym oddziale zaczął stawiać pierwsze kroki jako przyszły agent nowo

powstałego Stasi ^[20]. Dopiero po kilkunastu latach pracy w jego strukturach zdał sobie sprawę z tego, że ów elegancki pan, który odwiedził go w domu dziecka, nie szukał ochotników, tylko młodych ludzi, którzy nie byli związani z przeszłością, a przyszłość była dla nich wielką niewiadomą, jak dla każdego dziecka z takiego domu. Sam wielokrotnie, zgodnie z wytycznymi otrzymanymi od dowództwa, odwiedzał przytułki dla sierot, szukając tam młodego narybku, z którego po odpowiednim ukształtowaniu miały wyrosnąć groźne szczupaki Stasi.

Sterben wiedziony instynktem, który nigdy go nie zawiódł, postanowił uprzedzić kolejny krok zleceńodawców. Zlikwidował fałszywe konta w bankach, przenosząc wszystkie pieniądze do skrytki na jachcie. Jacht zatankował i wyposażył na długą podróż. W kapitanacie portu przedłożył fałszywą trasę rejsu. Pozostało mu odebrać wieczorem paszporty i prawo jazdy od Brunna. Z jego usług korzystał jeszcze, gdy był w Stasi, i mógł mu ufać. To w ich fachu było najważniejsze.

Zatrzymał samochód na podjeździe domu Brunna. Trochę się zagadali, wspominając dawne dzieje. Dopiero zegar wybijający ósmą wieczorem wygonił go z domu starego towarzysza. Był w połowie drogi do hotelu, gdy w kieszeni jego spodni zadzwoniła komórka. Zanim zdążył ją wyciągnąć i odebrać, dźwięk dzwonka umilkł. Przez uchylone okno samochodu wyrzucił telefon na chodnik. Nie musiał patrzeć na numer telefonu. Znała go tylko jedna osoba. Nacisnął mocniej pedał gazu.

Szedł hotelowym korytarzem, pogwizdując. W prawej ręce trzymał butelkę owiniętą w papierową torbę. Co parę kroków przystawał, unosząc torbę do ust i udając, że pije. Pierwszych skośnookich dostrzegł zaraz przy wyjściu z windy. Grali czule żegnającą się parę. Kolejnych dwóch stało przy drzwiach do pokoju Yeonrin.

Czworo na korytarzu, ciekawe, ilu w pokoju, pomyślał, klepiąc się po kieszeniach.

– O, są – powiedział na głos i upuścił klucze na podłogę. Schylając się, sięgnął do kabury, ale dostrzegł, że jeden ze strażników przyłożył rękę do ust, mówiąc do ukrytego w rękawie mikrofonu. Cofnął rękę spod marynarki. Nie zdążył całkiem się wyprostować, kiedy drzwi od pokoju Yeo otworzyły się. Stojący w nich mężczyzna powiedział:

– Panie Sterben, zapraszamy.

– Pan to kto? I co pan robi w pokoju mojej znajomej?

– Zaraz się pan wszystkiego dowie. Proszę wejść.

Wolnym, chwiejnym krokiem przekroczył próg pokoju. W salonie na podłodze leżały trzy trupy.

Nie poszło im łatwo, pomyślał.

Yeo siedziała przywiązana do krzesła. Jej twarz, koszula nocna były zakrwawione. Sięgnął pod marynarkę. Mężczyzna, który zapraszał do pokoju, złapał go za ramię, mocno ściskając i krzycząc po koreańsku.

Chwycili przynętę, uśmiechnął się w myślach.

– To nie będzie potrzebne, panie Sterben. Obaj mamy ważniejsze cele niż walka ze sobą. Zapewniam pana, że jesteśmy po tej samej stronie. Mimo to proszę oddać broń mojemu człowiekowi. Jakby to powiedzieć... jest pan zmęczony, a człowiek zmęczony może czasami robić dziwne rzeczy – mówiąc to, wytarł kastet o pościel. Wstał i podszedł do Sterbena.

– Ja o tym zdecyduję, kto i po czyjej jest stronie – odparł Aleks, po czym powoli wyciągnął pistolet i z niechęcią podał go ochroniarzowi. – Nie wiem, co tu robicie i kto was przysłał. Nie wiem...

– Niech pan nie udaje, panie Aleksie. Nazywam się Hyon Kim Chol ^[21]. Człowiek, który ostatnio tak często bywał w Korei Północnej, musi znać to nazwisko.

– I zna. Za młodych lat był pan ochroniarzem Kim Ir Sena. Teraz jest pan

dyrektorem Biura Stałego Komisji Obrony Narodowej i prawdopodobnie członkiem Rady Kuźni.

– Wszystko się zgadza. Tylko z tym „prawdopodobnie” się pan pomylił. Widzi pan, Aleksie, chyba mogę tak do pana mówić? – Sterben skinął głową.

– Ta szmata – wskazał na Yeonrin – którą, wstyd się przyznać, sam zwerbowałem, zabiła generałową Kim Kyong i może nawet pana, tylko jeszcze pan o tym nie wie.

– Nie rozumiem, o czym pan pierdoli. Teraz ja pana zapewniam, że nie czuję się martwy. Jeśli generałowa jest tak samo martwa jak ja, to na pańskie ręce składam rządowi Korei kondolencje – roześmiał się.

– Generałowa dostała śmiertelną dawkę promieniowania. Zmarła w cztery dni po przyjęciu. Przejrzeliśmy kasety z monitoringu. Sprawdziliśmy dokładnie, co robiła i gdzie była na dwa tygodnie przed śmiercią. Wszystko wskazuje na to, że napromieniowana została na własnym bankiecie. Trzeszczenie licznika Geigera przy waszym stoliku upewniło nas, kto zaaplikował jej śmiertelną dawkę.

To dlatego Yeonrin poprosiła go do tańca, kiedy generałowa odeszła od stolika. Potem poszli do baru i tam spędzili resztę bankietu. Do stolika wróciła sama, tuż przed wyjściem z bankietu. Powiedziała, że zostawiła torebkę na krześle. Zrozumiał, że usiłowała go chronić.

– A to suka! – krzyknął i rzucił zawiniętą butelkę prosto w drzwi wejściowe. Rozbiła się, obryzgując zawartością ściany i stojącego za nim ochroniarza. Śliwki z likieru poturłały się po podłodze. Drzwi od pokoju otworzyły się, dwóch strażników z wyciągniętymi pistoletami zatrzymało się na progu, stając w kałuży.

Lepiej być nie mogło, pomyślał.

Hyon Chol machnął ręką, mówiąc coś po koreańsku. Obaj natychmiast wycofali się, zamykając drzwi. Od chwili rozbicia butelki miał pięć minut na wciśnięcie detonatora, zanim zawarte w niej łatwopalne substancje wyparują i staną się całkowicie bezużyteczne. Popatrzył, gdzie upadł korek od butelki. To on pełnił rolę zapalnika, ale nie mógł go dostrzec.

– Proszę się uspokoić. Pana była partnerka dostała zastrzyk z amobarbitalu [22]. W Stasi też chyba to stosowaliście? Kiedy narkotyki prawdy zaczął działać, wyznała nam, że pan nic o tym nie wiedział i nie wie do dziś. Nie chciała mieć pana na sumieniu i przed wyjściem na przyjęcie

podawała panu drinka z jodkiem potasu.

– Pozwoli pan, że usiądę i zapalę. Trochę dziś wypitem i kręci mi się w głowie.

– Ależ proszę.

Sterben podszedł do krzesła stojącego przy łóżku. Przechodząc obok Yeo, spojrzał na nią. Twarz miała tak opuchniętą, że ledwo widać było czubek nosa.

Umie skurwiel bić, pomyślał.

Usiadł i wyciągnął papierośnicę. Zanim ją otworzył, zapytał:

– Rozumiem, że Pan zaakceptował tę akcję?

– W całej rozciągłości. Ta szmata zrobiła już, co do niej należało, i nie jest potrzebna.

Nawet nie wie, że przysłużyła się sprawie, zabijając generałową. Nie będziemy musieli się z nią dzielić złotem. Choć to i tak sprawa drugorzędna.

Sterben wcisnął zatrzask otwierający papierośnicę. Zapalnik eksplodował pod półką na buty. W jednej chwili ściany i drzwi stanęły w białych płomieniach. Siła wybuchu powaliła ochroniarza na podłogę. Jasny płomień, o temperaturze ponad tysiąca stopni, topił jego ciało. Nawet nie krzyczał, nie miał już czym. Aleks jednym skokiem znalazł się przy Hyon Cholu. Przycisnął go do ściany, a zaostrzoną krawędź papierośnicy przyłożył mu do gardła.

– Źle wybrałeś! – wycharczał ten.

– Wiem, pomyliłem się, pracując dla was – odparł Sterben i szybkim ruchem podciął mu gardło.

W hotelu włączył się alarm systemu przeciwpożarowego. Przekręcił ciało ochroniarza. Zabrał swój pistolet. Podbiegł do drzwi, a właściwie do tego, co z nich zostało. Jeden ze strażników pilnujących pokoju nie żył, drugi wił się w agonii. Obaj mieli nogi spalone do kolan. Wyrzwał na korytarz. Ludzie w piżamach, szlafrokach wybiegali z pokoi. Część stała, gapiąc się na ciała strażników, inni biegli w stronę windy lub schodów. Nigdzie nie zauważył pary zakochanych. Szybko cofnął się i stanął przy ścianie. Śliwki zrobione z termitu ^[23] przepaliły betonowy strop pokoju, topiąc metalowe pręty zbrojenia.

Najpierw do pokoju wsunęła się ręka z pistoletem, zaraz za nią stopa. Strzelił dwa razy w kolano, kiedy tylko je zobaczył zza nadpalonej framugi.

Napastnik, tracąc oparcie, przewrócił się i wpadł do pokoju. Oddał kolejne dwa strzały w głowę i wyskoczył zza ściany. Znalazł się tuż przed Koreanką. Lewą ręką wytrącił jej pistolet, prawą, z bronią, przycisnął do brzucha. Spojrzał w jej twarz. Była młodsza od Yeo, nacisnął spust.

Korytarz opustoszał, przy jego drugim końcu trzasnęły drzwi. Goście hotelowi albo uciekli, albo schowali się w pokojach, słysząc odgłosy wystrzałów. Z dołu dochodziło wycie syren. Wrócił do pokoju. Owinął nieprzytomną Yeo kocem i przerzucił ją sobie przez ramię. Dotarł do klatki schodowej. Pokonując po dwa, trzy stopnie, zbiegł pięć pięter w dół. Kopniakiem otworzył drzwi na trzecim piętrze i wpadł na korytarz. Biegł w stronę pomieszczenia służbowego. Wiedział, że znajduje się w nim szyb na brudy, który prowadzi do magazynu. Przypomniawszy sobie, że każdego popołudnia pod jego drzwi podjeżdża furgonetka z pralni i zabiera worki pełne hotelowych nieczystości. Przestrzelił zamek i wszedł do środka. Odsunął ruchomy barek i podniósł pokrywę szybu. Przełożył Yeonrin przez krawędź. Szybkimi ruchami rąk rozwinął cienką linkę, którą miał owiniętą wokół ciała. Następnie przewiązał nią Yeo pod pachami i ją opuścił. Sam wsunął się tyłem do szybu. Ręce i nogi wsparł na jego ściankach i powoli zaczął schodzić w dół. Odrzucając worki z hotelowymi brudami, dotarł do wyjścia. Samochód zaparkował zaraz przy magazynie. Położył Yeo na tylnym siedzeniu i szybko ruszył.

Dojazd do Brunnena zajął mu dwadzieścia minut. Pod dom podjechał z wyłączonymi światłami. Podeszedł do drzwi i zapukał. Minęło parę sekund, a Brunnen nie otwierał. Zapukał jeszcze raz, teraz nieco mocniej, zaraz potem nacisnął dzwonek.

– Aleks, to ty? – usłyszał wreszcie głos Brunnena, stojącego za drzwiami.

– Ja, otwórz garaż. Tylko nie zapalaj światła.

Po chwili drzwi garażu uniosły się. Sterben wsiadł do samochodu i wjechał do środka.

Położyli Yeonrin w sypialni, na łóżku Brunnena. Ten, nic nie mówiąc, podeszedł do telefonu i wybrał numer. Chwilę z kimś rozmawiał w języku, którego Aleks nie znał. Odwrócił się do niego i powiedział:

– Medyk zaraz będzie. To dobry lekarz, choć stracił uprawnienia, ale zna się na robocie jak mało który w dzisiejszych czasach. Najważniejsze, że ma wszystko, co potrzeba. Przykryj ją, nie może się wychłodzić, bo będzie

gorzej. Chodź do salonu, czuję, że chcesz mi coś powiedzieć.

Nie miał ochoty zostawiać Yeo, ale winny był kumpłowi wyjaśnienia. W salonie, na małym okrągłym stoliku stojącym przy fotelu, czekała na niego szklaneczka whisky. Usiadł wygodnie i opróżnił ją.

– Dolać ci?

– Nie, jeszcze czeka mnie dzisiaj robota. Jednym słowem, bracie, mam przejebane...

– zaczął opowiadać Sterben.

Nerwowo chodził po pokoju, paląc papierosa. Lekarz zniknął za drzwiami sypialni ponad czterdzieści minut temu.

– Chodzenie nic tu nie pomoże – powiedział Brunnen. – Tylko się zmęczysz. Mów lepiej, co zamierzasz dalej.

– Nie wiem jeszcze, to zależy od lekarza i od tego, czego będzie potrzebowała Yeo. Na pewno jest taki dobry, jak mówisz? Może trzeba będzie ją zawieźć do szpitala?

– Przestań pieprzyć! Najlepszy, jakiego mogłem znaleźć o trzeciej w nocy. Jadąc do szpitala, skażesz ją i siebie na pewną śmierć. Jeśli ludzie, którzy was ścigają, są tymi, za których ich uważasz, to nie wiem, czy jest miejsce na świecie, gdzie moglibyście się ukryć. Jak myślisz, do czego im te rakiety z głowicami i samochody?

– Rakiety mogą detonować w dowolnym miejscu na świecie. Mogą je też wystrzelić z Nosiciela i tego właśnie się obawiam.

– Może chodzi im o materiał z głowic. Chcą go odzyskać i wykorzystać, robiąc brudną bombę.

– Może. O samochodach wiem tylko tyle, że są im potrzebne, by przewieźć złoto. Skąd chcą je ukraść, nie mam pojęcia. Ten koreański zasraniec mówił, że to drugorzędna sprawa. Pan też powiedział... Czeka, czekaj. Jak on to ujął? Mam! „Pieniądze są tylko środkiem, a nie celem”.

Podejrzewam, że chcą wywołać jakieś zamieszanie. Może coś wysadzić, a pod przykrywką służb ratowniczych wywieźć złoto, ale nie jest to ich głównym zamierzeniem. Co jest głównym targetem, zapewne wkrótce się dowiemy.

Z sypialni wyszedł lekarz. Opuszczając podwinęte rękawy koszuli, powiedział:

– Zrobiłem, co się dało. Jej życiu nic nie zagraża. Teraz musimy czekać, aż to, czym ją naszpikowali, przestanie działać. Ma połamane kości

policzkowe, nos i szczękę. Straciła też parę zębów. Konieczna będzie wizyta u chirurga twarowego. Mogę takiego polecić, jeśli są panowie zainteresowani.

- Jesteśmy – powiedział Aleks z ulgą.
- To będzie sporo kosztowało.
- Nic nie jest za darmo. Zależy nam na czasie i dyskrecji. Proszę zacząć działać.

Lekarz wrócił do sypialni. Aleks usiadł. Wyjął papierośnicę i kręcąc nią bączki na stoliku, cicho gwizdał.

- Widzę, że się z nią nie rozstajesz – powiedział Brunnen, wyciągając rękę po papierośnicę.
- Uważaj! Nie skalecz się. Coś w niej nawaliło i ostrza się zablokowały.
- Co teraz?
- Teraz ty opiekujesz się Yeonrin, a ja zaopiekuję się samochodami moich byłych pracodawców.
- Co ci to da?! Niszcząc furgony, dolejesz tylko oliwy do ognia. Obaj dobrze wiemy, że ci nie odpuszczą. Zabiliście dwoje z nich. Będą chcieli wyrównać rachunki.

– Ta... Są jak wytresowana hydra. Nie zamierzam obcinać łbów potworowi, tylko zabić tresera. Bez głowy Pana same się pozagryzają, a samochody muszą zniszczyć. Niech wiedzą, że Aleks Sterben nie będzie tylko uciekać – powiedział, wstając z fotela.

- Czegoś ci potrzeba?
- Nie, dzięki. Wszystko mam w skrytce bagażnika samochodu.
- O nią się nie martw – powiedział Brunnen, wskazując skinieniem drzwi sypialni. – Będzie pod dobrą opieką do czasu twojego powrotu.
- Wiem i dzięki za wszystko.

Wyjechał z garażu, kierując się w stronę Manhattanu. Przejazd w porannych godzinach z domu Brunnen do dziupli na South Street zajmie mu przynajmniej godzinę. Włączył radio. Z głośników rozległ się głos spikera: „Witaj, Nowy Jorku, w ten piękny, słoneczny poranek jedenastego września. Dochodzi szósta rano. Czas wypić poranną kawę i ruszać zmieniać świat na lepszy...”.

Mój świat się już zmienił, a i twój wkrótce pewnie też się zmieni, panie spikerze, i to niekoniecznie na lepszy, pomyślał Aleks.

W szczypcach Omara

Omar siedział za stołem. W świetle lampki przyglądał się dokumentom Cathala i Skya. Zastanawiało go, co agent DIA i strażak robili razem. Taki duet był co najmniej dziwny. Próbował wykoncypować, jakie tropy przywiodły ich na South Street. Wiedział na pewno, że przyszli tu sami. Nie działali na czyjeś polecenie lub rozkaz. To była ich własna inicjatywa. Ustalili to ludzie z Rady Kuźni. Początkowo myślał, że będzie musiał natychmiast ewakuować metę, a to na parę chwil przed akcją było prawie niemożliwe. Ponadto stracił człowieka, więc załoga jednej z furgonetek będzie niepełna, co też w znacznym stopniu utrudniało wykonanie zadania.

Położył dokumenty na stole, wstał i ruszył w stronę przywiązanego do krzesła, nieprzytomnego więźnia.

– Pobudka! Wstawanko! – krzyczał, policzkując go. – Ibn, polej go wodą! Silny strumień zimnej wody ze szlauchu wdzierał się do ust Cathalowi,

boleśnie ranił twarz i zatykał mu nozdrza. Nie mógł oddychać, zaczął krzyczeć i miotać się na krześle.

– Dostyc już! Ibn, przestań! Miałeś go ocucić, a nie utopić!

Śmiejąc się, Ibn zakręcił zawór. Cathal głośno dyszał, wypływając resztki wody. Rana po ciosie, jaki otrzymał w głowę, otworzyła się i na nowo zaczęła krwawić. Krew zmieszała się z wodą i wąską stróżką sphywała na podłogę.

– Mamy dwie możliwości, panie agencie – zaczął Omar, stawiając krzesło i siadając naprzeciw Cathala. – Pierwsza jest przyjemniejsza. Powiesz mi, co cię tu sprowadza i jak nas znalazłeś. To gwarantuje szybką śmierć. Druga jest mniej miła dla ciebie, za to bardzo przyjemna dla mnie i moich ludzi. Otóż ty nie będziesz nic mówić, a my będziemy się starali wydusić z ciebie informacje. Rozumiesz: bicie, obcinanie palców, miażdżenie. Jednym słowem, standardowe metody świętej inkwizycji i gestapo. Wybierając ją, będziesz umierać długo i boleśnie. Którą jesteś zainteresowany?

Cathal przyglądał się siedzącemu naprzeciw niego mężczyźnie. Był potężnie zbudowany. Sylwetką przypominał Skya. Twarz o oliwkowej karnacji nie zdradzała żadnych emocji. Słowa wypowiadał bezdusznie, jakby

każde znaczyło to samo. Jego brązowe oczy wpatrywały się w niego, zdradzając inteligencję i spryt.

– Pierwszą – odparł.

– Hm... nie cieszy mnie to. Moim ludziom umknie miła rozrywka, a rozrywka ma duży wpływ na morale. – Odwrócił się na krześle i krzyknął:

– Ibnie, Ahmedzie, nie będzie grillowania i ćwiartowania niewiernego! Głośne „uuu” niezadowolonia odpowiedziało mu z drugiego końca pokoju.

– Widzisz, są rozczarowani twoim wyborem, ale do rzeczy. Najpierw powiem ci, co ja już wiem. Zaoszczędzi nam to trochę czasu. Mamy go – popatrzył na zegarek – niespełna piętnaście minut. Wiem, że przybyliście tu sami, bez żadnego zabezpieczenia i prawdopodobnie planu. Coś zwęszyliście, nie wiedząc dokładnie co, i przyszlście to sprawdzić. Nie udało się, kumpel nie żyje, a ty będziesz martwy w ciągu tych paru minut. Nici z awansu, premii i odznaczeń. No, może wdowy coś dostaną, ale to marna pociecha. Teraz twoja kolej.

Cathal wiedział, że nie ma sensu kłamać czy kombinować. Przeciwnik był zbyt bystry i nie da się nabrać na żadne słowne sztuczki. Odchrząknął i powiedział:

– Faktycznie, przyszlśmy tu sami. Bez rozkazu czy wsparcia. Jedyнным naszym zabezpieczeniem jest notatka, leżąca na biurku pewnej porucznik w siedzibie DIA. Informuje ona, gdzie i po co się udałem. Mówi też, co należy zrobić, jeśli do jutra, czyli dziś, nie stawię się w pracy.

– Notatka, powiadasz. Jej treść, o ile dobrze zapamiętałem, była taka: „Dla porucznik Grace Arlington. Postanowiłem udać się na South Street jeszcze dziś wieczór. Zanim powiadomię górę, muszę mieć pewność, że nasz Homar coś knuje. Jeśli jutro nie stawię się w pracy, wiesz, co robić. Cathal”. Idioto, nie wiesz, w co się wpakowałeś i komu wszedłeś w drogę! Jak tylko się dowiedziałem, kim jesteś, nasi ludzie przetrząsnęli twoje biuro i dom. Twoja porucznik już pewnie gryzie ziemię albo pływa w zatoce twarzą przy dnie. Co ty sobie myślałeś?! Jakiś Homar, brudny arabus, pewnie chce coś ukraść?! Twoja ignorancja doprowadziła już do śmierci dwóch osób! Dowcipniś! Omar, ty kurwo, mam na imię! – mówiąc to, uderzył go pięścią prosto w nos.

Siła ciosu przewróciła Cathala razem z krzesłem na moką podłogę.

Arab powoli wstał i podszedł do niego. Postawił stopę na jego twarzy i coraz mocniej naciskał. Krew z rozbitego nosa i warg wypełniła usta Cathala.

– Fadi, Dzamil, weźcie resztę i ruszajcie, zaraz wszystko się zacznie. Ja z Ibnem później do was dołączymy – krzyknął do pozostałych mężczyzn, stojących w korytarzu. – Nie wiesz nic, czego ja bym już nie wiedział. Jednego żałuję, że nie będzie ci dane zobaczyć, jak Nowy Jork spłynie krwią niewiernych. Dzisiaj, za sprawą oddanych przyjaciół z Rady Kuźni, uderzymy w samo centrum Ameryki, a ludzie mojej wiary wezmą pomstę za lata mordów i poniżeń, Allahu Akbar! Dzisiaj to miasto przestanie istnieć, a dzień ten będzie początkiem nowego wieku. A dla ciebie, psie, jak i dla sześciu milionów niewiernych, będzie dniem śmierci.

Słowa Omara docierały do niego jakby spod wody. Słyszał je i rozumiał. Jednocześnie zastanawiał się, jak potężnym człowiekiem jest jego oprawca i jakich wszechwładnych ma przyjaciół. Potrafili w kilka chwil zorganizować przeszukanie jego domu i biura w DIA. Wydać zlecenie na Grace, a może i Susan. Kim lub czym była Rada Kuźni? Wiedział, że zaraz umrze, ale jeśli zdarzy się jakiś cud i wyjdzie z tego, to nie przestanie ścigać tych skurwysynów, nawet jeśli tylko jeden z nich będzie chodził po ziemi.

– Czas na nas, ale zanim odjadę, zgmiotę cię jak karalucha! – powiedział Omar. Podeszwa jego wojskowego buta coraz mocniej wrzynała się w skórę twarzy Cathala. Jeszcze chwila, a kości czaszki nie wytrzymają ciężaru potężnego cielska Omara i głowa eksploduje mu jak przebity igłą balon.

Z hali garażowej dobiegł głośny odgłos walenia w bramę.

– Ibn, idź, zobacz, który debil czego zapomniał. Ja już kończę – powiedział, mocniej naciskając na głowę Cathala.

Pierwsze spotkanie

Sterben zaparkował naprzeciw dziupli Omara. Odpalił papierosa, sprawdził pistolet, dokręcił tłumik i odbezpieczył go.

Powinno ich być dwunastu, po dwóch do każdej furgonetki, pomyślał, poprawiając granaty gazowe przy pasku.

Nie miał sprecyzowanego planu. Po prostu wejdzie tam i zobaczy, jak rozwinie się sytuacja. Miał nadzieję, że odgłosy strzelaniny zwabią policję,

a to już mu wystarczy, aby jego akcja zakończyła się sukcesem. Wolnym krokiem zmierzał na drugą stronę ulicy, kiedy kątem oka dostrzegł, że otwiera się brama garażu i wyjeżdża stamtąd ciężarówka pomalowana jak strażacki wóz ratownictwa drogowego. Za nią cztery kolejne. Przystanął na chodniku, odczekał chwilę, ale szósta furgonetka nie wyjechała. Furta garażu powoli opadła. Przyspieszył kroku. Według jego obliczeń w dziupli pozostało od dwóch do czterech gości. Jeszcze raz powtórzył w myślach rozkład pomieszczeń. Mocno zapukał w metalowe rolety bramy. Ta powoli zaczęła unosić się ku górze.

[24]
– As-salāmu `alayk – powiedział, jak tylko postać strażnika ukazała się w prześwicie.

– As-salām... – Arab nie zdążył dokończyć powitania. Aleks mocno schwyił go za gardło i przykładając pistolet do jego klatki piersiowej, pociągnął za spust. Bezwładne ciało zjechało po ścianie, zostawiając za sobą długi, krwawy fresk. Wcisnął przycisk zamykania bramy. W hali panował półmrok, przez zamalowane szyby wpadało niewiele światła. Rozejrzał się po garażu. Z pokoju obok, do którego prowadził długi na jakieś pięć metrów korytarz, dochodziły wrzaski i odgłos uderzeń.

Ktoś komuś podpadł, pomyślał i ruszył w stronę zaparkowanej ciężarówki, nie tracąc z oczu wylotu korytarza.

Nagle potknął się o coś leżącego na ziemi i upadł. Szybko przeturlał się pod furgonetkę i nasłuchiwał.

Skoro już tu jestem... – powiedział do siebie w myślach, po czym wyjął nóż i przeciął przewody hamulcowe pojazdu.

Potem powoli podczołgał się do ciemnego kształtu leżącego na ziemi. Rozwinął folię, w którą zawinięty był spory pakunek. Na podłodze leżały zwłoki potężnego mężczyzny z olbrzymią raną wylotową na piersi. Wstał i szybkim krokiem ruszył w stronę korytarza. Zatrzymał się przy ścianie. Wyjął dwa granaty, odbezpieczył je i wrzucił do pokoju na drugim końcu korytarza. Teraz już musiał tylko poczekać.

– Co jest, do ku... – Omar nie usłyszał końca własnych słów. Granat dymno-hukowy wybuchł przy jego nodze, spowijając leżącego na ziemi Cathala szarą chmurą dymu i szybko wypełniając gryzącym swądem pozostałą część

pokoju. Omar odskoczył pod okno, w uszach mu dzwoniło, nie słyszał łoskotu wybijanej przez siebie szyby. Wyciągnął pistolet i parę razy strzelił w miejsce, gdzie powinien leżeć Cathal. Zaczerpnął powietrza przez wybite okno i rzucił się w stronę korytarza. Biegając od ściany do ściany, strzelał przed siebie na oślep.

Jak tylko wybuchły granaty, Tasuil zaczął czołgać się w kąt pokoju. Nagle poczuł silne uderzenie w okolicy biodra, ból przeszył jego ciało. Przekręcił się na plecy, podniósł głowę, wypływając zakrzepniętą krew. Gryzący dym wypełniał płuca, tętniący w głowie hałas rozsadzał czaszkę. W korytarzu dojrzał dwie walczące sylwetki, które niczym splecione ze sobą cienie znikwały i pojawiały się w wąskim przejściu. Nie miał już czym oddychać. Nie wiedział, czy to, co się dzieje wokół niego, jest prawdą, czy projekcją jego niedotlenionego mózgu. W oddali usłyszał warkot silnika, a zaraz potem głośny huk rozdieranego metalu. Silny podmuch świeżego powietrza rozwiął kłęby dymu w pokoju.

Ktoś przeciął krępujące go sznury, podniósł i przerzucił sobie przez ramię. Kopniakiem otworzył drzwi prowadzące na parking, gdzie ubiegłej nocy razem ze Skyem zaparkowali samochód. Potem delikatnie położył go na ziemi, opierając o burtę samochodu.

– Jestem agentem DIA – wyszeptał Cathal prosto w zakrwawioną twarz pochylającej się nad nim postaci. Ta, nie zwracając na niego uwagi, wyciągnęła mu pasek ze spodni i mocno go zacisnęła nad raną uda.

– Będziesz żył, agencie DIA, przynajmniej na razie. Leż tu sobie grzecznie, nic ci już nie grozi. Zaraz zjawią się tu policja i cała reszta. Chociaż... patrząc na to, co się dzieje, nie jestem pewien, czy nastąpi to szybko.

Cathal spojrział w stronę, w którą wpatrywał się obcy. Cichy jęk bólu mimowolnie wydobył mu się z ust. Na północy, śląc w niebo ogromne pióropusze czarnego dymu, płonęły wieże WTC.

Susan... – pomyślał.

– Muszę natychmiast zadzwonić! – dodał na głos. – Potrzebuję telef... – Nie dokończył, nikt go nie słuchał, był sam.

Omar z impetem rozbił bramę, na pierwszej przecznicy skręcił w prawo i z włączoną syreną gnał na północ. Wciąż dzwoniło mu w uszach i głowie. Zasnęta krew z nosa i ust stworzyła brunatną skorupę na brodzie i wąsach. Z odgryzionej małżowiny ucha nadal ciekł mu po szyi strumyczek

krwi, a, co najgorsze, kule tkwiące w kamizelce boleśnie wrzynały się w ciało, ograniczając jego ruchy. Kim był ten wilkołak, który dopadł go w hali? Omar mimo przewagi wzrostu i wagi nie dał mu rady. Napastnik był wszędzie i nigdzie. Uderzenia Omara trafiały w próżnię, zaś ciosy wilkołaka były precyzyjne i mierzone tak, aby zadać jak największy ból. Gdyby nie kamizelka, która ochroniła go przed kulami, niejeden z tych ciosów mógłby się okazać śmiertelny. Jak na ironię, rany, które odniósł, uratowały go przed bestią. Krew tryskająca z jego odgryzionego ucha chlusnęła tamtemu prosto w oczy. To dało mu kilka cennych sekund na oderwanie się od napastnika i doskoczenie do szoferki furgonetki. Wiedział, że nigdy w życiu nie chce już spotkać tego człowieka, bo spotkanie z nim skończy się śmiercią.

Inni użytkownicy drogi posłusznie zjeżdżali przed nim na pobocze, jakby zdmuchnięci dźwiękiem syreny alarmowej. Czarna chmura dymu nad Manhattanem dawała wszystkim jasno do zrozumienia, że tam ktoś potrzebuje pomocy. Wziął do ręki mikrofon CB-radia, sprawdził częstotliwość

i powiedział:

– Tu Omar! Fadi, Dzamil, jesteście tam...? Odbiór! Cichy trzask poprzedził słowa Fadiego:

– Jesteśmy, szefie. Wszystko idzie zgodnie z planem. Tak jak nam obiecali.

– Musicie natychmiast przerwać akcję. Powtarzam, przerwijcie akcję.

– Ale szefie! Cztery pojazdy zapakowane do pełna. W piątym kończą już załadunek.

Tu, w tym bałaganie, nawet nikt nas nie zapytał, co robimy.

– Natychmiast przerwać akcję! – wykrzyczał do mikrofonu. – Powiedz, Fadi, ty kozi 25

synu, czego nie rozumiesz w komunikacie „przerwać”. Macie zostawić piąty samochód tam, gdzie jest, i zmywać się stamtąd.

– Tak jest, szefie. Już nas nie ma.

Omar odetchnął z ulgą. Prawie wszystko poszło zgodnie z planem. Teraz tylko zawrócić i pojechać do portu. Za parę godzin po wielkim mieście Nowy Jork nie zostanie nawet ślad na ziemi. Stąd do portu na syrenie miał mniej

niż piętnaście minut drogi. Wiedział to z wcześniejszych ćwiczebnych przejazdów. Wcisnął hamulec, ale samochód się nie zatrzymał.

Pieprzony wilkołak, a żeby go tak... – zdążył pomyśleć.

Siła uderzenia w stojący przed nim samochód rzuciła go na przednią szybę, przeleciał nad kierownicą i prosto z szoferki ambulansu spadł na bagażnik znajdującego się przed nim pojazdu. Powoli zsunął się na jezdnię. Próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na kolana. Widział nadbiegających ludzi. Tuż przy nim zatrzymał się samochód. Jedna z osób pochyliła się nad nim. Chciał krzyczeć, ale z jego gardła wydobył się tylko cichy jęk.

– Nie dokończyliśmy naszej pogawędki – powiedział Sterben, wyciągając mu pistolet zza paska i chowając go w rękawie kurtki.

Zostawił agenta DIA na parkingu. Nic mu nie groziło. Był trochę poobijany, a rana od kuli nie była taka groźna, na jaką wyglądała. Wbiegł do pokoju, w którym Omar przesłuchiwał swoją niedoszłą ofiarę. Chwycił dokumenty leżące na biurku i szybko wybiegł przed garaż. Stało tam kilka osób, ale rozbita brama budziła mniejsze zainteresowanie niż czarne chmury nad Manhattanem.

– Silnik od bramy nawalił – rzucił w stronę gapia wpatrującego się w dziurę po furcie. Przebiegł przez jezdnię i wsiadł do samochodu. Wyjął na dach magnetycznego koguta i włączył syrenę. Omar miał jakieś pięć, może siedem, minut przewagi nad nim. Wcisnął pedał gazu i ruszył na północ. Dokumenty z biurka Omara rozłożył na desce rozdzielczej.

To się może przydać, pomyślał, wpatrując się w zdjęcie w legitymacji służbowej z DIA.

Przeczytał na głos:

– „Kapitan Cathal Tasuil”. Jest mi pan coś winny, kapitanie.

Na jednej z przecznic dostrzegł furgon Omara, docisnął pedał gazu. Chciał trzymać się za nim jakieś pięćdziesiąt metrów. Taka odległość wystarczyła, aby pozostać niezauważonym. Żałował, że przeciął przewody hamulcowe w ambulansie. Omar może nie dojechać do celu.

Jak nie dojedzie, będę musiał improwizować, pomyślał.

Samochody przed nim zatrzymały się, z niektórych wysiedli ludzie,

głośno coś komentując i pokazując palcami. Ambulans Omara był rozbity, on sam próbował ustać na nogach, jednak nie dał rady i osunął się na kolana. Sterben chwycił legitymację Cathala i wysiadł z samochodu. Podszedł do klęczącego Omara i powiedział do niego szeptem, jednocześnie wyciągając mu pistolet zza paska:

– Nie dokończyliśmy naszej pogawędki.

Następnie wstał i odwracając się w stronę tłumu, pokazał legitymację DIA, głośno mówiąc:

– Jestem kapitan Cathal Tasuil z DIA. Panowie, nie stójcie tak, pomóżcie mi zapakować rannego do mojego auta. Większość karettek jest pod WTC, więc nim tu jakaś dotrze, sam szybciej przewiozę go na syrenie do szpitala. Nie, nie sadzajcie go na fotelu, tylko połóżcie go z tyłu, o tak, tak będzie dobrze.

– A co z moim samochodem i ze mną? – zapytał kierowca dodge'a, w którego wbił się Omar.

– Niech pan tu zostanie. Przecież ktoś na pewno przyjedzie po ambulans. Zaraz zgłoszę to przez radio, spokojnie, spokojnie. Ten człowiek – wskazał na Omara – chyba bardziej potrzebuje pomocy niż pan, prawda?

Nie czekał na odpowiedź poszkodowanego. Włączył syrenę i ruszył w stronę portu. Po przejechaniu stu metrów wyłączył syrenę i zdjął koguta z dachu. Odwrócił się do Omara i z całej siły uderzył go w głowę.

– To tak na wszelki wypadek, żebyś mi tu jakiegoś Allahu Akbar nie zrobił.

Przerwane połączenie

Cathal powoli dreptał wzdłuż ogrodzenia, trzymając się siatki. Po paru minutach dotarł do samochodu. Otworzył drzwiczki i usiadł bokiem w fotelu kierowcy. Pomagając sobie rękoma, przełożył nogi przez próg samochodu. Ze skrytki pod fotelem pasażera wyjął zapasowy pistolet. Przeladował go i wsadził do kieszeni kurtki. Kluczyki były w stacyjce, zostawił je tam, na wypadek gdyby ze Skyem musieli szybko się ewakuować. Włączył silnik i powoli ruszył. Wciskanie pedału gazu sprawiło mu ból w biodrze i nodze. Jechał główną drogą, rozglądając się po ulicy. Ruch na południowym

Manhattanie prawie zamarł. Sklepy były pozamykane, w powietrzu słychać było ciągłe wycie syren. Spojrzał na zegarek umieszczony w desce rozdzielczej fordą, dochodziła dziewiąta czterdzieści trzy. Susan, jeśli nie zasnęła, jeśli nie utknęła w korku przed mostem, to od prawie dwóch godzin była w pracy. W pracy, którą Omar i jemu podobni zamienili tego dnia w piekło. Jeśli jego oprawca mówił prawdę, nie zostało mu wiele czasu. Musiał jak najszybciej zadzwonić do Susan, powiedzieć jej, że ją kocha, tęskni i że z nią jest.

Zaraz przy przecznicy zobaczył otwarte drzwi marketu stacji benzynowej. Ostro skręcił. Zatrzymując samochód, uderzył w kosze na śmieci stojące na rogu budynku. Z wnętrza sklepu wybiegł sprzedawca w fartuchu.

– Jak jeździsz, baranie?! Sprzątaj to teraz!

Na widok Cathala mężczyzna zastygł w bezruchu i powoli zaczął się cofać. Odwrócił się na pięcie i biegiem wpadł do sklepu, zatraskując za sobą drzwi. Tasuil wolnym krokiem podszedł do witryny, przez szybę zobaczył, jak sprzedawca rozmawia przez telefon, odkłada słuchawkę i nerwowo szuka czegoś pod ladą. Kiedy dostrzegł swoje odbicie w brudnych oknach marketu, zrozumiał, dlaczego tamten uciekł na jego widok. Prawą nogawkę dżinsów miał całą we krwi, kurtkę podartą, lewego oka nie było widać spod opuchlizny, nos miał przekrzywiony, a dolna warga, głęboko rozcięta, zwisała mu bezwładnie, odsłaniając zęby i dziąsło. Zasnęta krew na koszuli utworzyła gruby, brunatny strup. Wyjął pistolet i przestrelił zamek w drzwiach. Przypomniał sobie słowa Ala Capone: „więcej można zdziałać dobrym słowem i pistoletem niż samym dobrym słowem”.

– Chcę tylko zadzwonić – powiedział, mierząc z pistoletu w sprzedawcę.

– Daj mi ten pieprzony telefon i cofnij się pod ścianę.

Mężczyzna podał mu słuchawkę.

– To bezprzewodówka – powiedział drżącym głosem.

Cathal szybko wybrał numer komórki Susan. Bał się, że nie podniesie telefonu, nigdy nie odbierała, gdy wyświetlał się nieznanym jej numer. To były cztery najdłuższe sygnały połączenia w jego życiu. Przez ludzkie krzyki w tle usłyszał jej głos:

– Halo, kto mówi? Czy ktoś mnie słyszy? – Susan prawie krzyczała.

– To ja, kochana, tu Cathal, gdzie jesteś?

– Jeszcze cztery piętra i dotrę do holu. Zbiegamy klatką schodową. Nic

tu nie widać, pełno kurzu, pyłu i dymu. Prowadzi nas jeden ze strażaków, zaraz będę na zewnątrz. A gdzie ty jesteś?

– Jestem cały i zdrowy. Kocham cię, Su, wszystko będzie dobrze, dacie radę. Jestem z to...

– Odwróć się i rzuć broń – krzyknął jeden z policjantów, stojących za jego plecami.

Cathal odwrócił się, upuszczając pistolet na ziemię.

– Dajcie mi z nią porozmawiać, prosz... – Dwie grube nici zakończone ostrymi strzałkami wbiły mu się w ciało. Mocny impuls elektryczny przeszył go i powalił na podłogę.

Leżał, podrzucany drgawkami, telefon wysunął mu się z ręki.

– Ja też cię kocham, Cat... – usłyszał słowa Su.

ROZDZIAŁ TRZECI

Biada tym, którzy głęboko ukrywają przed Panem swój zamysł, których działanie odbywa się w ciemności i którzy mówią:

Kto nas widzi? Kto wie o nas?

Księga Izajasza

11 września 2001 r.,
godzina 9.23, Góra Cheyenne

NORAD^[26]

– Orzeł w gnieździe, powtarzam, orzeł w gnieździe. Lecimy kursem zero, jeden, zero, przewidywany czas dotarcia – dziesiąta pięćdziesiąt cztery.

– Przyjąłem – odparł oficer koordynujący lot. – Panie wiceprezydencie, „Pierwszy” na pokładzie Air Force One. Planowany przylot z Florydy do bazy – godzina dziesiąta pięćdziesiąt cztery.

– Dziękuję – odparł Dick Shaney^[27]. – A co z sekretarzem obrony, powinien już tu być, i gdzie do cholery jest Powers^[28] z tą swoją wiecznie uśmiechniętą „asystentką”^[29]?

– Helikopter sekretarza stanu właśnie wylądował, jest z nim zespół doradców Białego Domu. Pan Donald Rumpelsfeld^[30] jest bezpieczny w Pentagonie, a pani Condoleezza Ricerson w bunkrze Białego Domu. Mamy z nimi połączenie online – poinformował wiceprezydenta oficer operacyjny.

– Natychmiast proszę o połączenie z szefami agencji i z każdym, kto może być przydatny. Za pięć minut mam mieć raport sytuacyjny i wykaz dostępnych środków zaradczych.

Shaney nerwowo chodził po sali wypełnionej biurkami. Mruganie monitorów komputerowych wyświetlających dane irytowało go i dekoncentrowało.

– Będę w centrum dowodzenia – niedbale rzucił do oficera i wyszedł z sali.

Możesz się wahać, jeżeli potem idziesz dalej.

Bertolt Brecht

– Chcicie mi powiedzieć, że do obrony całych Stanów Zjednoczonych zostało czternaście myśliwców? – wykrzyczał do monitora prezydent. – Co z odrzutowcami z bazy Andrews? To tylko piętnaście mil od Pentagonu.

– Są na ćwiczeniach w północnej Kalifornii, wyleciały wcześniej rano – poinformował prezydenta generał w mundurze lotnictwa US. – Myśliwce NORAD-u także są, hmm..., niedostępne na teraz. Odbывают misje szkoleniowe o kryptonimach – generał spojrzął na kartkę trzymaną w ręce – Vigilant Guardian [\[31\]](#) i Northern Vigilance [\[32\]](#).

– Macie natychmiast przerwać wszystkie ćwiczenia. Samoloty mają się udać nad miasta Ameryki. Marynarka, wojska lądowe, Gwardia Narodowa mają być w stanie najwyższej gotowości bojowej. Ogłaszam całkowity zakaz lotów nad Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Wszystko, co leci, a nie potrafi się określić, ma być zniszczone. Czy jest coś, co wiemy na pewno? I czy w ogóle wiemy, z czym mamy do czynienia?

– Wiemy, że w Pentagon uderzyła rakietą typu Granit, prawdopodobnie wystrzelona z okrętu podwodnego znajdującego się na oceanie. Nasze systemy ją zidentyfikowały i wykryły na pięć minut przed uderzeniem. Niestety, z przyczyn obiektywnych nie zdołaliśmy jej zestrzelić. Liczby ofiar nie znamy. Pocisk przebił się przez sześć ścian budynku i nie wybuchając, utkwiał w jednej z nich. Gdyby eksplodował, nie rozmawiałbym teraz z wami. Te pociski mają głowicę nuklearną – powiedział Rumpelsfeld.

W sali zapanowało głucho milczenie. Zebrani patrzyli po sobie, jakby zastanawiając się, kto pierwszy odważy się zabrać głos.

– Sugerujesz, Henry, że ktoś odważył się zaatakować Stany Zjednoczone Ameryki bombą atomową? – zapytał prezydent.

– Tak – odparł sekretarz obrony.

– Dlaczego pocisk nie eksplodował? – Do rozmowy włączył się Colin Powers.

– Tego jeszcze nie wiemy. Może jest wadliwy, może ma zapalnik czasowy, nie mamy bladego pojęcia, czemu nie wybuchł. Mamy tu wszystkie służby potrzebne do zabezpieczenia rakiety. Na razie trwa gaszenie pożarów i schładzanie samej głowicy celem jej wydobycia. Pocisk jest monitorowany i „otulony”, o ile można to tak nazwać, polem magnetycznym, uniemożliwiającym jego zdalne zdetonowanie. Na tę chwilę Pentagon i jego okolica są bezpieczne. Nad ocean wysłaliśmy śmigłowce z korwet USS Iowa i USS Oklahoma. Lecą kursem przeciwnym do lotu rakiety, powinny ustalić prawdopodobne miejsce wystrzelenia.

– Zapomnieliście panowie o dwóch ważnych rzeczach – powiedziała Condoleezza Ricerson. – W Nowym Jorku mamy dwa płonące drapacze chmur, a w nich tysiące ludzi. Najgo...

– Gullianer [33] już je ewakuuje – wszedł jej w zdanie asystent Jamesa Snowdena [34].

– Jamesie, naucz swojego pudła dawać głos na żądanie – powiedziała, świdrując wzrokiem sekretarza skarbu. Ten spojrzał na asystenta i kazał mu wyjść.

– Faktycznie, to dobry pomysł – oznajmił prezydent. – Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałbym, aby w centrum dowodzenia oraz na łączach online pozostali sami członkowie rządu i szefowie agencji.

Po jego słowach asystenci, doradcy i oficerowie niższego szczebla opuścili salę.

– Najgorsze jest to – kontynuowała Condoleezza – że w samolotach, które uderzyły w WTC, terroryści, czy jak ich tam nazwiemy, mogli też umieścić pociski typu Granit. Ich detonacja na tej wysokości spowoduje zagładę Nowego Jorku i okolic. To ponad sześć milionów ludzi!

– Przepraszam, że wejdem pani w słowo – powiedział szef jednej z agencji.

– Mamy potwierdzenie od służb Federacji Rosyjskiej, że ich okręt podwodny o nazwie Kursk został wydobyty z dna Morza Barentsa niekompletny. To znaczy: brakowało na nim sześciu pocisków Granit, a sejf z kodami dostępu do głowic został rozpruty. Ponadto mamy nową informację: jakiś czas temu stracono sygnał transpondera [35] kolejnego samolotu pasażerskiego. Jest to lot numer dziewięćdziesiąt trzy z New Jersey do Kalifornii z czterdziestoma pięcioma pasażerami na pokładzie.

– Co znaczy, że stracono sygnał? Kolejny samolot uderzył w wieżowiec? –

zapytał poirytowany prezydent.

– Nie, panie prezydencie. Urządzenie to zostało wyłączone specjalnie. Mamy pozycję samolotu na radarze, kieruje się na Waszyngton.

– Chce uderzyć w Biały Dom! – krzyknął Powers. – Nie możemy do tego dopuścić! Zmuscie go do lądowania! Natychmiast!

– Samolot nie odpowiada na nasze wezwania radiowe. Uparcie kontynuuje lot w stronę Waszyngtonu. Za siedemdziesiąt pięć sekund nasz myśliwiec będzie miał z nim kontakt wzrokowy.

– Musimy go zestrzelić – oświadczył Rumpelsfeld, spuszczać wzrok i udając, że zapisuje coś w notesie.

– Tylko prezydent USA może wydać taki rozkaz – odparł Powers.

W sali po raz kolejny zapanowała grobowa cisza, zmacona jedynie rytmicznym dźwiękiem łopat wentylatora.

– Mamy połączenie audio-wideo z kapitanem Vergiliem, pilotem myśliwca – powiedział szef agencji.

– Dajcie go na ekran główny – zażądał prezydent. – Proszę mi powiedzieć, co pan widzi, kapitanie.

– Tu kapitan James Vergilio z amerykańskich sił powietrznych. Lecę skrzydło w skrzydło z boeingiem 737 lotu numer dziewięćdziesiąt trzy. Okna w samolocie mają zaciągnięte żaluzje, nie widzę pasażerów. Powtarzam, nie widzę pasażerów. Okna kokpitu pilotów są także zasłonięte, nie wiem czym. Wydaje mi się, że to jakaś czarna folia. Całkowity brak kontaktu wzrokowego zarówno z załogą, jak i pasażerami. Powtarzam, brak kontaktu wzrokowego. Samolot nie odpowiada na moje sygnały radiowe oraz świetlne. Proszę o dalsze rozkazy...!

– Wszyscy wiemy, co się stanie, gdy ten samolot dotrze nad Waszyngton – powiedział Rumpelsfeld, wpatrując się w sylwetkę boeinga na monitorze. – Panie prezydencie, słyszy mnie pan?

– Słyszę, Henry – odparł prezydent po krótkiej chwili namysłu. – Ile mamy czasu, zanim samolot znajdzie się w strefie rażenia Waszyngtonu?

– Około czterech minut. Tak wynika z danych z radaru – poinformował szef agencji.

– Kapitanie, proszę puścić serię ostrzegawczą przed kabiną pilotów – wydał rozkaz prezydent.

– Zrozumiałem. Seria ostrzegawcza przed dziób boeinga 737.

Na ściennym monitorze zobaczyli, jak F16 zrobił zwrot przez skrzydło i zajął dogodną pozycję. Przez krótką chwilę słyszeli głośny terkot działek myśliwca. Pociski smugowe przeleciały tuż obok kabiny pilotów. Kolejny terkot działek i kolejne pociski przeszły powietrze przy kokpicie, mijając go o metry.

– Melduję: boeing nadal leci poprzednim kursem. Powtarzam, boeing trzyma poprzedni kurs.

Patrzyli w monitor. Myśliwiec zmienił pozycję względem lotu dziewięćdziesiąt trzy. Teraz był nad nim i nieco z tyłu.

– Panie prezydencie, zostało mniej niż dziewięćdziesiąt sekund – powiedział Rumpelsfeld, nerwowo wierząc się w fotelu.

– Zestrzelcie go – wyszeptał prezydent.

– Proszę głośno powtórzyć rozkaz, panie prezydencie – powiedział sekretarz obrony z irytacją w głosie.

– Zestrzelcie go! – prawie wykrzyczał prezydent. Już spokojniejszym głosem dodał: – I niech Bóg mi wybaczy.

– Przyjąłem! Zestrzelić boeinga 737 – potwierdził rozkaz pilot.

Pierwsza seria z trzydziestomilimetrowych działek trafiła w kokpit pilotów. Pociski przeciwpancerne niczym palnik cięły kadłub samolotu pasażerskiego, rozszarpując cienkie poszycie na setki kawałków.

– Wyłączcie to! – krzyknął wiceprezydent Shaney. Ekran ściennego monitora zgaśł.

– To jeszcze nie koniec – powiedział Rumpelsfeld.

– Panie prezydencie, na linii jest burmistrz Rudolph Gullianer.

– Dawać go natychmiast – powiedział prezydent. – Rudy, słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie, panie prezydencie.

– Mów nam szybko, jak sytuacja w Nowym Jorku, co z pożarem, ile ofiar?

– Szef nowojorskiej straży pożarnej na podstawie raportów spływających od jednostek będących w WTC na pierwszej linii twierdzi, że pożar da się ugasić. Liczba ofiar jak na razie jest nie do oszacowania. Ludzie są uwięzieni w windach, na kłatach schodowych i w pokojach. Ewakuacja przebiega sprawnie. Staramy się ograniczyć ofiary, jednak już teraz wiem, że osób, które znajdują się powyżej wysokości uderzenia, możemy nie uratować. Dostęp do nich jest utrudniony przez gruz i nadal wysoką temperaturę.

Strażacy dają z siebie wszystko, ale po prostu może im zabraknąć czasu.

– Rozumiem – odparł prezydent. – Melduj mi na bieżąco o postępach akcji. Masz priorytet w połączeniach z centrum dowodzenia.

– Dziękuję, jak sytuacja choć trochę się poprawi, natychmiast dam znać. Panie prezydencie, czy wiemy już, kto to zrobił? Znamy ich żądania?

– Niestety nie, drogi Rudolphie, i to mnie martwi najbardziej – odpowiedział prezydent, kończąc rozmowę.

– Tego pożaru nie możemy ugasić – powiedziała Condoleezza.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Powers. – Jak to nie możemy ugasić?! Słyszałaś, co powiedział Gullianer. Strażacy dają radę i na ile znam nowojorskich strażaków, zrobią to.

– Nie zrozumieliśmy się – odparła ze spokojem. – Jeśli w samolotach były rakiety Granit z głowicami jądrowymi, to za parę minut może nie być Nowego Jorku, a wraz z nim sześciu milionów mieszkańców, nie licząc ofiar, które umrą na chorobę popromienną. Teren nie będzie nadawał się do zamieszkania przez parę tysięcy lat. Nasza gospodarka stanie się ruiną. Z mocarstwowości USA zostanie to, co z Nowego Jo...

– Do czego zmierzasz? – przerwał jej prezydent.

– Musimy zniszczyć te budynki i musimy to zrobić jak najszybciej.

– Pięć minut temu kazałem zabić czterdziestu pięciu obywateli USA i załogę samolotu pasażerskiego. Tak tylko ci o tym wspominam, jakby uszło to twojej uwadze. Kto za to weźmie odpowiedzialność?

– Ciężar odpowiedzialności poniesiemy my wszyscy znajdujący się w tym pokoju. Jak to powiedział Abraham Lincoln, „drzewo wolności trzeba podlewać krwią patriotów i tyranów”.

– „Patriotyzm jest cnotą ziejących nienawiścią”, to powiedział Oscar Wilde – odrzekł Shaney.

– Panowie, to nie quiz, nie mamy czasu na te utarczki słowne – wtrąciła Condoleezza.

– Pan Henry Rumpelsfeld ma rację, odpowiedzialność za to będzie naszym wspólnym ciężarem. W myśl dobrze pojętego interesu narodowego. Ja jestem gotowa przyjąć ten ciężar na swoje barki i mam nadzieję, że dla pozostałych będę przykładem.

– Moje zdanie już znacie – odparł Rumpelsfeld i spojrzal na pozostałych.

– Rozumiem, że milczenie oznacza waszą zgodę?

Szefowie agencji skinęli głowami, przytakując.

– Jestem za – powiedział sekretarz skarbu Snowden, wstając z miejsca. – Na tę chwilę tylko takie rozwiązanie wydaje się słuszne. Wybuch tych bomb zniszczy Amerykę.

Wiceprezydent skinął głową w milczeniu.

– Panie prezydencie? – Rumpelsfeld wpatrywał się w twarz swojego pracodawcy.

– Macie moje „tak” – odparł prezydent – jeśli sekretarz stanu też zatwierdzi te działania. W tej kwestii wymagana jest jednomyślność.

– Wiem, że żadne z nas nie chce być w tej sekundzie tym, kim jest – zaczął Powers, podnosząc się z miejsca. – Ale wiem też, że jeżeli te bomby są i wybuchną, naród amerykański zażąda odwetu i zemsty. Co wtedy mu powiemy? – Spojrzał po zebranych. – Jedyna odpowiedź, jakiej będziemy w stanie udzielić, brzmi „nie wiemy”. Amerykański rząd, któremu ludzie zaufali, który wybrali w demokratycznych wyborach, rząd kraju uważającego się za największe mocarstwo w historii ludzkości, odpowie „nie wiem”. Sześć milionów ludzi zginie w kilka sekund, pozostałe ofiary będziemy liczyć już nie w milionach, ale dziesiątkach milionów. Co powiemy matce, która straciła dzieci? Co powiemy ludziom napromieniowanym i ich nienarodzonym dzieciom? Po raz kolejny „nie wiemy”? Taki rząd nie ma prawa istnieć, a taka odpowiedź nie ma prawa paść, gdyż w najlepszym przypadku doprowadzi ona do wojny domowej, która pochłonie kolejne miliony ofiar. W pełni świadomy konsekwencji tej decyzji mówię „tak”. „Tak” dla przetrwania narodu amerykańskiego i „tak” dla przetrwania ludzkości.

– I niech nam Bóg i naród amerykański wybaczą – powiedział prezydent, wstając z fotela.

Za jego przykładem zgromadzeni w sali także podnieśli się ze swoich miejsc.

– Jesteśmy więc zgodni co do decyzji zniszczenia WTC – kontynuował prezydent, siadając z powrotem. – Choć żadne z nas tego nie chce. Musimy to uczynić dla dobra Amerykanów, a być może całej ludzkości. Choć muszę szczerze przyznać, że nie mam pojęcia, jak tego dokonamy, a czas ucieka.

– Jeśli można, panie prezydencie – powiedział szef agencji, podchodząc do monitora zawieszonoego na ścianie. – Zgodnie z prawem budowlanym obowiązującym w latach sześćdziesiątych żaden wysokościowiec w Nowym Jorku czy Chicago nie mógł powstać bez wcześniejszego planu wyburzenia

go. Taki plan posiadają zarówno wieże WTC, jak i wieża Sears w Chicago, którą, tak na marginesie, też kazaliśmy ewakuować. – Prezydent z aprobatą pokiwał głową.

– Konstruktorzy WTC wiedzieli, jak stworzyć odporny budynek, ale nie mieli pojęcia, jak go wyburzyć. Dlatego zlecili to firmie Atomic Demolition Inc. [36] Firma ta zaproponowała podłożenie ładunków nuklearnych. Pomysł takiego wyburzenia został przyjęty przez Departament Budownictwa, który udzielił zezwolenia na budowę WTC.

– Chcesz powiedzieć, że w samym centrum Nowego Jorku mamy dwie bomby atomowe? – zapytał Prezydent, wpatrując się w szefa agencji i mrugając oczyma z niedowierzaniem. Ten ostatni, niezrażony, kontynuował:

– Mamy dokładnie trzy, trzecia jest pod WTC 7. Nie są to bomby sensu stricto, są to raczej ładunki wyburzeniowe, każdy o masie stu pięćdziesięciu kiloton.

– Człowieku, czyś ty z byka spadł?! Proponujesz nam odpalenie trzech, jak to nazwałś, ładunków wyburzeniowych o łącznej masie czterystu pięćdziesięciu kiloton i myślisz, że nikt tego nie zauważy? Czy ty na pewno pracujesz dla mnie? Może dla Korei Północnej? Lepszego prezentu Rosjanom nie mógłbym zrobić.

– Rosjanie wiedzą o tych bombach, my zaś wiemy o ich ładunkach w Moskwie czy Sankt Petersburgu. Na mocy porozumienia z 1974 roku [37] jesteśmy zobowiązani informować się o tym nawzajem.

– Panie prezydencie, szef agencji ma rację. Sprawa brzmi groźnie, ale w rzeczywistości taka nie jest. Od końca lat sześćdziesiątych za pomocą podziemnych wybuchów nuklearnych, o masie nie większej niż sto pięćdziesiąt kiloton, Rosja i my pozyskiwaliśmy zbiorniki na gaz ziemny – powiedział Powers.

– Nie będzie wielkiego wybuchu ani grzyba atomowego. Jedyne, co może być wyczuwalne na powierzchni, to niewielkie drgania gruntu. Budynki złożą się jak domki z kart do wnętrza podziemnego krateru, tworząc dla promieniowania sarkofag – dokończyła Condoleezza.

– Czy możecie mnie zapewnić, że jest to całkowicie bezpieczna metoda?

– Na tę chwilę jest to najbezpieczniejsza metoda. I jedyna – powiedział szef agencji.

– Jako sekretarz skarbu muszę was poinformować, że banki z całego

świata przechowują w WTC część swoich zasobów złota. Na dzień dzisiejszy nie posiadam szczegółowych danych, ile tam tego jest. Średnio w ciągu tygodnia znajduje się w skarbcu około stu sześćdziesięciu miliardów dolarów w złocie. Wiem, że życie milionów naszych obywateli nie ma ceny. Mówię to z racji powierzonego mi stanowiska. Złoto na pewno jest ubezpieczone, ale w przypadku ujawnienia tych decyzji firmy ubezpieczeniowe mogą zażądać od naszego rządu jego zwrotu. A to byłby dla USA finansowy Armagedon.

– Pewnym i oczywistym jest, że wszystkie raporty, stenogramy, pliki audio-wideo z tego posiedzenia mają zniknąć. To, co zostało powiedziane w tej sali, nigdy, ale to nigdy nie może zostać upublicznione. Skoro nic nie przedostanie się na zewnątrz, złoto pozostanie problemem firm ubezpieczeniowych i ich beneficjentów. Decyzja o zniszczeniu WTC zapadła parę minut temu i bez wątpienia nikt z nas nie ma już ochoty na ponowne jej przedyskutowanie. Pewne jest, że musimy to zrobić. W jakim czasie ładunki mogą zostać podłożone?

– Nie dłuższym niż pięć minut – odparł szef jednej z agencji.

– Teraz w Nowym Jorku jest – prezydent spojrzął na zegarek – dziewięć pięćdziesiąt.

Za pięć minut setki, a może tysiące istnień straci życie, pomyślał prezydent i powiedział na głos:

– Kaźcie Gullianerowi zabrać stamtąd jak najwięcej ludzi, powiedzcie mu, że ma na to pięć minut. Ciebie, Henry – wskazał palcem na Rumpelsfelda – czynię odpowiedzialnym za znalezienie tych drani. Masz ich wykopać choćby z piekła i postawić przed sądem. Znajdźcie przede wszystkim pozostałe trzy rakiety. Żaden rząd, żaden prezydent USA nie zgodzi się na to, aby naród amerykański stał się czymkolwiek zakładnikiem.

Niedokończona pogawędka

Sterben położył przykrywkę na gamku, ta zaczęła podskakiwać, wypuszczając spod siebie dymek pary i bąbelki powietrza. Zmniejszył płomień, przekręcając kurek turystycznego palnika.

Jeszcze moment i będą gotowe, nie mogą być za miękkie, pomyślał. Lubił tę metę.

Posiadała cechy, jakie powinna mieć „podręcznikowa”

meta. Była daleko od ludzkich osiedli, ale na tyle blisko, że z Nowego Jorku wystarczyła godzina drogi samochodem, żeby do niej dotrzeć. Prowadziła do niej jedna droga, którą można było obserwować przez bulaj, a przede wszystkim była ciepła i miała wszelkie wygody, łącznie z prysznicem. Trzeba było pokonać blisko pięćdziesięciometrowe molo, by dostać się na jej pokład. Deski pomostu i pale skrzypiały przy każdym kroku. Barkę otaczały mokradła stworzone przez ciągle opadający poziom wody w rzece. Grube burty doskonale tłumili hałasy z zewnątrz.

Spojrzał na Omara, rozebranego do naga i przywiązanego do krzesła. Schylił się, spod stołu wyjął skrzynkę z narzędziami, a z niej młotek i cęgi. Zdjął garnek z palnika, nalał wody do metalowego kubka. Powoli wstał z krzesła i ruszył w stronę Omara.

– As-salāmu `alay – powiedział, polewając go wodą z kubka. Ten otworzył oczy i zaraz je zamknął. Po paru sekundach otworzył je ponownie i wzrokiem pełnym nienawiści wpatrywał się w Aleksa, próbując wypluć knebel.

– Tak, tak, to niestety tylko ja, a nie piękna hurysa, gotowa na jedno skinienie zaspokoić twe żądze. Mam pewien pomysł, zabawimy się. Taka mała zamiana ról. Ty będziesz hurysą. – Omar miał zdziwiony wyraz twarzy.

– Nie, nie obiecuj sobie, nie jesteś w moim typie. Ja będę twoim effendim ^[38]. Wiedziałem, że ci się spodoba. Ale jest w tej zabawie pewien haczyk. Ja będę złym effendim! – mówiąc to, Sterben podszedł do stolika. Zatrzymał się przy nim na chwilę i spojrzał na Omara wpatrzonego w cęgi

i młotek.

– Nie, to nie dla ciebie. Nie jestem aż tak okrutnym panem – powiedział i założył grube kuchenne rękawice. Do jednej ręki wziął garnek, do drugiej długi widelec, pod pachę wepchnął butelkę z wodą mineralną. Przyklęknął na wprost Omara i stawiając kociołek na podłodze, zapytał:

– Zaczynamy zabawę?!

Zdjął pokrywkę, woda jeszcze bulgotała. Nabił na widelec ziemniaka, którego położył między udami Omara i mocno docisnął do ciała ręką w rękawicy. Cichy syk poparzonej skóry zniknął wśród jęków Araba. Sterben odkręcił butelkę z wodą i polał nią zranione miejsce, strzepując resztki rozgniecionego ziemniaka. Westchnienie ulgi wydobyło się z zakneblowanych ust Omara.

– Właśnie poznałeś zasady naszej zabawy. Zaraz wyjmę ci knebel i zadam parę pytań – mówiąc to, zakrył pokrywką garnek. – Nie chcemy, żeby wystygły. Ty tylko odpowiadasz na pytania. Niepytany nie odpowiadasz. Jakiegokolwiek inwektywy pod adresem moim lub mojej mamy, złorzeczenia i tym podobne oznaczają ziemniaka między udami, aż te zmieniają się w niedogotowane kawałki mięsa. I tak dojdziemy do jaj. Swoją drogą, po tym, co zrobiłeś z agentem DIA, myślałem, że masz większe. Trudno, będą się krócej gotować.

Sterben wyjął knebel. Omar głośno dyszał, łapiąc powietrze ustami. Aleks przysunął do jego warg butelkę z wodą i ją przechylił. Ten pił łapczywie. Woda ściekała mu po brodzie, kapiąc na zranione uda.

– Gdzie mieliście odstawić ciężarówkę ze złotem?

Arab przełknął ślinę, oblizał językiem spękane wargi, odchrząknął i powiedział:

– Na statek w porcie.

– Nazwa i numer nadbrzeża!

– Czternaste. Statek nazywa się MSC Francesca ^[39]. Pływa pod banderą Panamy. Miał wypłynąć zaraz po załadunku naszego towaru.

– Port docelowy?

– Nie znam.

– Naprawdę nie wiem. Nasz towar miał być wyładowany w Dakarze. Potem miała się nim zająć jakaś firma transportowa. Rola mojego zespołu

kończyła się w Senegal. Ja miałem tam zostać i czekać na kolejne wezwanie.

– Podaj nazwę firmy transportowej.

– Martin Trucks Division. Więcej nic nie wiem na temat złota. Miałem je tylko wywieźć z Nowego Jorku przed zniszczeniem miasta. Wsiąść na statek i odpłynąć, zanim odpalą bomby. Najpóźniej miałem się zameldować o dziesiątej, inaczej nie zdążylibyśmy odpłynąć na bezpieczną odległość.

– O której miały wybuchnąć bomby?

– Po co pytasz, przecież wiesz. O tej, o której wybuchły.

Aleks włączył telewizor, przekręcając go kineskopem w stronę Omara.

– Patrz! – powiedział, skacząc po kanałach, na każdym przystając na kilka sekund.

Zatrzymał się na CNN News. Arab wpatrywał się z niedowierzaniem w ekran.

– Nowy Jork, jak widzisz, stoi. Dwa wasze samoloty zniszczyły trzy budynki. Osobiście nie wierzę, że to samoloty. Byłby to pierwszy przypadek w historii świata, ale to już nie moja broszka. Kto inny będzie miał z tym problem.

– Oszukali nas – cicho powiedział Omar. – Oszukali nas, skurwysyny! Mieliśmy zniszczyć Amerykę. Mieliśmy jej zadać ból i cierpienie na następne tysiąc lat. Śmierć tylu synów Mahometa poszła na marne. Osama mnie przestrzegał. Wiedział, że nie wolno im ufać. Kozi syn jeszcze w Afganistanie im się sprzedał. Złoto pewnie też przejmą i gównem nadziei dla muzułmanów!

– Powiedzieli ci, że na co złoto będzie spożytkowane?

– Mieliśmy nim opłacić powstanie nowego państwa muzułmanów, państwa wolnego od was, niewiernych. Miało służyć kalifatowi ^[40]. Za pięć lat dzięki takim jak ja, ludziom wiernym idei, i dzięki amerykańskiemu złotu kalifat miał się odrodzić i wyznaczyć nowe granice w świecie.

– No to jak na razie dupa z kalifatu. Może w 2015 roku wam się uda. Zapomnieliście o jednym! W dzisiejszych czasach nawet idea musi się opłacać. Pan cię okłamał. Wszystko, co robiłeś, wszyscy, których zabiłeś – to było dla niego, a nie dla chwały Allacha.

– Znasz Pana?

– Czy znam? Nikt go nie zna. Pewnie on sam nie wie, kim tak naprawdę jest. To ja dostarczyłem twojej grupie przerobione furgonetki.

– Tak nas znalazłeś. Pojechałeś za nami z miejsca odbioru na South Street. Ale jak? Pilnowaliśmy się, miejsca odebrania pojazdów czy pory dnia były różne. Sam sprawdzałem, czy nikt nas nie śledzi.

– Magia – odparł Sterben, podchodząc do stolika i otwierając szufladę. Wyciągnął z niej strzykawkę z igłą i fiolkę z mlecznobiałą cieczą.

– Zabijesz mnie teraz jak laboratoryjnego szczura?

– Nie dam ci kolejnej szansy na spotkanie z hursami – odpowiedział Aleks, wbijając mu igłę w ramię. Powieki Omara stały się ciężkie, poczuł, jak serce spowalnia i stabilizuje swój rytm. Zasnął.

– Może chociaż ci się przyśnią – dodał Sterben, rozcinając mu więzy.

Jak tylko dotarł do domu Brunnen, poszedł do Yeonrin. Przez moment z nią rozmawiał. Właściwie to był bardziej monolog niż wymiana słów. Yeo nie mogła mówić, mrugała tylko powieką na „tak” lub „nie” i po chwili ponownie zasnęła.

– Śpi – powiedział Sterben, wchodząc do salonu.

– Teraz to dla niej najlepsze. Niech prześpi ból. Jeszcze go wiele przed nią. Masz – zwrócił się do niego Brunnen, podając mu papierośnicę. – Zreperowałem ją, działa jak nowa. Powinieneś wymienić baterijkę, jest już słaba. Nadajnik może nie zawsze zadziałać, ale za to ostrze masz jak nowe. Wymieniłem sprężyny. Wyskakują jak diabeł z pościeli.

Aleks schował papierośnicę do kieszeni koszuli.

– Musimy wyjechać – oświadczył, siadając w fotelu. – Nie protestuj! Obaj dobrze wiemy, że nas znajdują. To tylko kwestia czasu. Zostając tu, niepotrzebnie cię narażam.

Brunnen podszedł do barku, wyjął butelkę czystej i nalał do dwóch szklaneczek.

– Z lodem?

– Widziałem dzisiaj, do czego są zdolni. W godzinę rozpieprzyli połowę Manhattanu. Mają potężne zaplecze. Pieniądze, ludzi i władzę – powiedział Brunnen, podając Sterbenowi wódkę. – To jakieś chore skurwysyny!

– Planowali to od lat. Ha, żeby od lat! Przewidzieli wszystko – odparł Aleks, wychylając szklaneczkę. Przyjemne ciepło wypełniło mu żołądek.

Przypomniał sobie, że od kilkunastu godzin nic nie jadł.

– Jak chcesz opuścić Stany? – Brunnen podszedł i dolał mu wódki. – Porty lotnicze, morskie, nawet małe, prywatne lotniska są zablokowane. Kraj jest sparaliżowany, dworce autobusowe pełne agentów, którzy pewnie sami nie wiedzą, kogo i czego szukają.

– Powiedziałeś „morskie”? – zapytał Aleks, wypijając wódkę. – Dolej, bracie!

– Wszystkie zamknięte na cztery spusty. Nic nie ma prawa odlecieć, wypłynąć czy odjechać z Nowego Jorku. Po samym mieście możesz się poruszać wszędzie, oczywiście oprócz Strefy Zero [\[41\]](#). Nadali temu miejscu nazwę jak po eksplozji nuklearnej. Nie wiedzieć czemu.

– Potrzebujemy ludzi, przynajmniej jeszcze dwóch, może trzech. – Sterben przysunął się z fotelem do Brunnen i opowiedział mu, co usłyszał od Omara.

Szpital Mount Sinai, Manhattan, Nowy Jork, dziewięć godzin od upadku wież WTC

Feniks zemsty

Biegł ile sił w nogach po zboczu ku szczytowi góry, ale nie mógł jej dogonić. Susan, ubrana w letnią sukienkę, niczym motyl wymykała się za każdym razem, gdy miał ją schwycić. Wbiegli na szczyt wzgórza. Susan stanęła, odwróciła się do niego i uśmiechnęła się. Chciał do niej podejść, wziąć ją w ramiona i przytulić, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Słońce coraz wyżej wspięło się po horyzoncie, aż oświetliło jej postać. Jasne promienie oślepiły go. W ich blasku Susan zaczęła się rozmywać i znikać mu z oczu. Z oddali dobiegły go głosy. Żeński, podenerwowany, oraz męski, dość niski. Nie mógł zrozumieć słów, zlewały się w jeden potok. Otworzył oczy.

– Widzi pan, doktorze? Obudził się – powiedziała Grace do gościa w białym fartuchu, wciskając się między niego a wejście do pokoju.

– Ma pani dziesięć minut. – Lekarz odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

– Przynajmniej ty żyjesz – powiedział Cathal, z trudem rozklejając zaschnięte wargi.

– Więc wiesz już o Su? – zapytała, biorąc go za rękę i przysiadając na krawędzi łóżka.

– Wiem – odparł. – Właśnie się dowiedziałem. – Po policzkach pociekły mu łzy.

– Jest jeszcze nadzieja! Jej nazwisko znajduje się na liście zaginionych.

– Nie ma nadziei. Cud, że my żyjemy. Nie wiem, komu to zawdzięczamy. Nie wiem, komu to zawdzięcza cały Nowy Jork, ale z kilkoma milionami ludzi powinniśmy być wdzięczni może Bogu, może prezydentowi, rządowi, a może temu facetowi, który wyciągnął mnie ze szczypiec naszego Homara.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Ja też jeszcze nie ogarniam całości. Grace, musisz na jakiś czas zniknąć. Wyjechać gdzieś, tylko nie do matki czy siostry.

– Nie mam siostry, a u matki mieszkam od wczoraj. Zamówiłam do

domu dezynsekcję i musiałam się wynieść na dwadzieścia cztery godziny.

Cathal uśmiechnął się do niej.

– Ta dezynsekcja to znak, że Bóg nad tobą czuwa.

– Kapitanie, nie wiem, o czym pan do mnie mówi – powiedziała, wstając i salutując.

– Grace, nie wyglupiaj się. Wiem, że znamy się niespełna dwa tygodnie, ale musisz mi zaufać. Daj mi jakąś kartkę i coś do pisania.

Wyjęła z torebki długopis i mały notes. Cathal nerwowym ruchem zapisał w nim coś szybko. Wyciągnął rękę i podał go jej, wrywając sobie wenflon z nadgarstka. Krótki dźwięk alarmu nad drzwiami przywołał lekarza.

– Proszę stąd wyjść, natychmiast – powiedział doktor zirytowanym głosem.

Tasuil przyciągnął ją do siebie i wyszeptał do ucha:

– Zadzwoń do nich, oni ci pomogą. Powiedz, że Irlandczyk ich potrzebuje. Zrób to zaraz, jak wyjdiesz ze szpitala. Grace, stawką w tej grze jest twoje życie.

– Proszę – naciskał lekarz.

Grace, przestraszona, wyszła z pokoju i szybkim krokiem doszła do windy. Wcisnęła przycisk przywołania i otworzyła notes. Na kartce było zapisane: Socjo i Boom. Przy każdym nicku widniał numer telefonu.

Doktor podał mu środek nasenny. Zасыpiając, Cathal miał nadzieję, że znowu ujrzy Su.

Sprawca

Nosiciel po odpaleniu rakiety wycelowanej w Pentagon przez ponad dwie godziny wymykał się helikopterem US Navy. Musiał zejść na głębokość poniżej trzystu metrów, aby uniknąć wykrycia. Teraz już bezpieczny, z prędkością czterech węzłów poruszał się po ortodromie [42] w stronę Dakaru.

Nosiciela czekało jeszcze jedno zadanie. U wybrzeży Afryki doborowa grupa komandosów miała przejąć statek MSC Francesca, pozorując atak liberyjskich piratów. Zabrać ładunek z sześciu specjalnie oznakowanych kontenerów, zabić ochronę i załogę. Rozkaz brzmiał jasno: nikt nie może przeżyć na kontenerowcu. Nosiciel po zakończeniu przeładunku miał się udać do bazy macierzystej w Chongjin.

Kapitan był z siebie dumny. Wiedział, że przejdzie do historii Korei Północnej jako bohater. Jako człowiek, który prawie w pięćdziesiątą rocznicę powstania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej [43] zadał jej największemu wrogowi bolesny cios. Co prawda nie znał skutków ataku Nosiciela na Pentagon, obowiązywała go bezwzględna cisza w eterze aż do powrotu do bazy, ale wiedział, że muszą być one ogromne. Rozkazy misji przekazał mu sam Jang So'ng-Phalek [44], opiekun syna Kim Dzong Ila, podając mu rękę i przyjacielsko klepiąc go po ramieniu.

Nakazał pierwszemu zwiększyć prędkość do piętnastu węzłów. Nie musiał się spieszyć, ale wołał w ukryciu zaczekać na swoją ofiarę.

Złoty feniks

Celem akcji Sterbena w porcie była chęć osłabienia Rady Kuźni, a nie próba przejęcia ładunku złota. Nie mieliby co zrobić z tak dużą ilością kruszcu. Każda sztaba miała swój numer ewidencyjny, próbę i historię transferową. Sprzedaż tylu tysięcy kilogramów na czarnym rynku nie pozostałaby niezauważona. Przetopienie go przekraczało ich możliwości. Chcieli jedynie podłożyć ładunki wybuchowe pod furgonetki, prawdopodobnie ukryte w kontenerach. Odgłos eksplozji i pożar niewątpliwie zwróciłyby uwagę władz portowych, a co za tym idzie, policji.

Brunnen i Sterben obserwowali jasno oświetlone czternaste nadbrzeże z zacumowanym przy nim kontenerowcem. Przy trapie na statek stało dwóch strażników. Trzech patrolowało teren kei, na której stały cztery równo ułożone obok siebie kontenery.

– Brakuje jednego szmatogłowego – powiedział Sterben, odwracając się do Brunneny.

– Skąd wiesz, że akurat jednego?

– Dostarczyłem sześć ciężarówek. Do obsługi każdej z nich skierowano po dwóch ludzi. Łącznie daje to dwunastu chłopów. Tak?

– No – odparł Brunnen.

– Jednego zlikwidowałem w garażu, drugim członkiem tego zespołu był Omar. To już dwóch mniej.

– Właśnie, co z nim zrobiłeś?

– Smacznie śpi w objęciach siedemdziesięciu dwóch hurys. Jak się obudzi, będzie nieco rozczarowany.

– Trzeba było zabić skurwiela!

– Może być jeszcze przydatny. Zaszczepiłem w nim ziarno braku zaufania do Pana. Mam nadzieję, że wykiełkuje w tej jego brodzie.

– Chyba miałeś na myśli głowę.

– Ta, bracie, miałem na myśli głowę – odpowiedział Aleks, przyglądając

się towarzyszowi.

– Nie gap się tak, bo mnie zęby bolą. Jak myślisz, gdzie może być ten jeden?

– Hmm... – zamruczał Sterben. – Myślę, że śpi w ciężarówce, a ta, jak i pozostałe, jest w jednym z czterech kontenerów, stojących jakieś sto, może sto dwadzieścia metrów od nas.

– Powinno ich być pięć – zauważył Brunnen. – Skąd pewność, że furgonetki są w kontenerach?

– Powinno być pięć, ale nie jest. Może pod WTC coś poszło nie tak, może nie zdążyli załadować piątej? Nie wiem. Nie mam też pewności, że ciężarówki znajdują się w kontenerach. Pomyśl, Brunnen! Kapitan statku wie, że dziś nie wypłynie. Manhattan płonie, dokerzy nie mają pojęcia, co się dzieje, pędzą do rodzin. I w porcie, i w mieście panuje totalny chaos. Ludzie widzą płonące wieże. Jedyne, co im chodzi po głowie, to pytanie, gdzie są ich bliscy. Myślę, że rano nie miał kto załadować tych czterech kontenerów i zostały na kei.

– To, co mówisz, ma sens. Sprawa wygląda na łatwą. We dwóch mogliśmy załatwić tych szmaciarzy. Niepotrzebnie zwołałem tylu chłopą.

– Zebrałeś dwóch ludzi, i to synów swojej świętej pamięci siostry. Pamiętam jeszcze, jak parę lat temu trzymałem ich na kolanach.

– W wojsku bliźniacy byli snajperami. Zestrzelał ci muchę z ucha.

– Podejdę nieco bliżej – powiedział Sterben, dociskając mocniej taśmę od

laryngofonu **[45]** i słuchawek. Dokręcił tłumik do pistoletu, horolezkę z ładunkami C4 przewiesił przez ramię. – Na mój znak niech bliźniaki najpierw zdejmą tych przy trapie. Ja zajmę się trzema przy kontenerach. Ty osłaniasz tyły.

– Co z załogą statku?

– Marynarze i kapitan pewnie nic nie wiedzą o zlocie. Śpią albo są w przyportowych burdelach, korzystając z dodatkowego dnia wolnego. Jak się włączają, będziemy improwizować.

Sterben przeskoczył drewniane pudła, za którymi się ukrywali. Lekko pochylony, z pistoletem w dłoni, dotarł do jednego z filarów, stanowiącego część konstrukcji portowego dźwigu. Przyklęknął przy jego betonowej podmurówce i odwrócił się w stronę Brunnen. Przyłożył dłoń do laryngofonu, delikatnie dociskając go do szyi.

– Pamiętajcie, na mój znak. Krótki, zdejmiesz tego na lewo od trapu – wydał polecenie jednemu z braci. – Potem złaź z dachu i biegiem po samochód. Długi – zwrócił się do drugiego z bliźniaków – ten po prawej jest twój. Zostajesz na daszku i mnie osłaniasz. Zrozumieliście?

– Czego tu nie rozumieć, wuju – odparł Krótki.

– Bądźcie gotowi, ruszam – zakomunikował, szybkim krokiem przechodząc pod następny filar dźwigu. Od kontenerów dzieliło go około pięćdziesięciu metrów jasno oświetlonego przez latarnie terenu.

– Walcie! – powiedział, wybiegając zza pylonu dźwigu.

Wartownik stojący najbliżej niego otworzył usta, by krzyknąć. Sterben strzelił w biegu, władował mu kulę w szyję, kolejną w klatkę piersiową. Ten, rozpaczyliwym ruchem łapiąc się za gardło, upadł na ziemię. Aleks oparł się plecami o ścianę kontenera, czekając, aż kolejny strażnik podejdzie do jego narożnika. Wartownik na lewo od trapu padł pierwszy.

Temu po prawej stronie kula z karabinu Wychłop ^[46] urwała głowę, rzucając ją o burtę statku. Ciało z głośnym pluskiem wpadło do wody. Pozostali dwaj strażnicy, słysząc to, odwrócili się w kierunku trapu łączącego statek z keją. Aleks, wykorzystując nadarżającą się okazję, wyszedł zza kontenera, oddał po jednym strzale w głowy wartowników stojących tyłem do niego.

Nim ich bezwładne ciała opadły na ziemię, Sterben zepchnął je z nadbrzeża. Rozejrzał się, dookoła panował spokój. Ich niespełna dwudziestosekundowa akcja nie zwróciła niczyjej uwagi. Brunnen, turlając zwłoki ostatniego strażnika, wrzucił je do wody.

– Łatwo poszło – powiedział zdyszany, podchodząc do Aleksa.

– Dobry plan, łatwa robota – odrzekł, wyjmując ładunki C4 i mocując je do dwóch stojących najbliżej kontenerów.

– Mieliśmy plan? Myślałem, że improwizowałeś, tak jak zawsze. O, jedzie Krótki! Pośpieszmy się z tymi ładunkami – powiedział, biorąc jeden i podchodząc do uchylonych drzwi kolejnego kontenera.

Nagle wewnątrz niego zawył silnik na wysokich obrotach, metalowe skrzydła odskoczyły, uderzając i odrzucając Brunneną na kilka metrów. Z kontenera wyjechała tyłem furgonetka. Sterben strzelał w kabinę, dziurawiąc szybę na wysokości kierowcy i pasażera. Wprawnym ruchem zmienił magazynek. Kolejne piętnaście naboju z rada ^[47] Aleksa dziurawiło kabinę. Strzelał, podchodząc coraz bliżej pojazdu. Noc na nadbrzeżu numer

czternaście rozdarło głośne wycie klaksonu. Otworzył drzwi ciężarówki i szarpiąc za włosy głowę kierowcy, ściągnął ją z kierownicy. Zakrwawione truchło zrzucił na ziemię. Krótki wyskoczył z samochodu i podbiegł do Brunneny.

– Nieprzytomny – krzyknął.

– Zabieraj jego i brata. Jedźcie za mną – powiedział Sterben, siadając w furgonetce na zakrwawiony fotel kierowcy. Ruszył z piskiem opon. Kątem oka dostrzegł ludzi gromadzących się na burcie i nadbudówkach statku.

Dociśnął pedał gazu, wrzucił wyższy bieg i pomknął wzdłuż kei. W przestrzelnym bocznym lusterku odbijały się światła wozu Krótkiego. Ten zwolnił przy budynku, zabierając brata.

Zgrana rodzinka, pomyślał Sterben, wciskając przycisk detonatora. Jasny wybuch ładunków C4 rozświetlił nadbrzeże. Rozerwane blachy kontenerów spadały na ziemię z głośnym łoskotem. Płonące paliwo z pozostałych furgonetek opryskało burtę statku i trap. Jeden z pylonów dźwigu także płonął. Aleks uśmiechnął się do siebie. Nowy Porządek Świata przegrywał z nim cztery do zera.

Droga do zamkniętych od ponad stu lat kopalń zajęła im godzinę. Sterben celowo kluczył po leśnych drogach prowadzących do miejsca, w którym zamierzał ukryć zgarnięty furgon załadowany trzema tonami złota. Bliźniacy z Brunnenem, który odzyskał przytomność, jak tylko wyjechali za rogatki miasta, ubezpieczali go, jadąc za nim w pewnej odległości. Był prawie na miejscu. Zaraz za zakrętem dostrzegł w świetle reflektorów niedomknięte żelazne wrota wjazdu do jednego z tuneli. Zatrzymał ciężarówkę. Nie wyłączając silnika i nie gasząc świateł, wyskoczył z kabiny. Szybkim krokiem, z trzymanym w ręce pistoletem, podszedł do bramy i przestrzelił kłódkę zamontowaną na przerdzewiałym łańcuchu, owiniętym dookoła dwóch uchwytyw. Wrócił do ciężarówki i ruszył nią w głąb ciemnego, opadającego wyrobiska.

Furgonetka unosiła się w powietrzu nad głębokim szybem. Podwieszona była do ramion starego dźwigu, służącego dawniej za windę, którą górnicy byli opuszczani i wyciągani ze sztolni. Jak tylko dojechali do starej kopalni, przeszukali pojazd, sprawdzając, czy nie ma w nim żadnych nadajników

satelitarnych. Zbocze góry na pewno zagłuszyłoby ich pracę, ale mogli zostać namierzeni, zanim dotarliby do zespołu starych kopalń. Dzięki Bogu nic nie znaleźli. Część złota, ponad dwieście pięćdziesiąt uncji ^[48], przeladowali do bagażnika samochodu Sterbena.

– Współczuję temu, kto będzie chciał wyciągnąć ją z szybu. Zginie straszną śmiercią. Zastanawialiście się, jak to jest zostać przysypanym żywcem? Mając tyle złota na wyciągnięcie ręki? Niczym Midas ^[49] – powiedział zamyślony Brunnen.

– Widzę, że wracasz do siebie – odrzekł Aleks, klepiąc go po ramieniu. – Cieszę się, że to tylko złamany nos.

– Zapominasz o zranionej dumie – śmiejąc się, odparł Brunnen.

– Opuuszczajcie! – krzyknął Sterben.

Bliźniacy, ledwo dając radę, obrócili wielki kołowrót. Ten wprowadził w ruch resztę mechanizmu. Ciężarówka powoli ginęła w mroku głębokiego na czterysta metrów szybu opuszczonej kopalni.

Sterben podszedł do samochodu, otworzył drzwi i spod tylnego siedzenia wyjął osiem małych paczuszek.

– Możecie jechać. Ja tu mam jeszcze coś do załatwienia. Poczekajcie na mnie przy wlocie korytarza.

Oddalające się przednie światła wycofującego się pojazdu stopniowo pozostawiały go w mrocznym tunelu kopalni. Zapalił latarkę. Świecąc nią po ścianach wyrobiska, szukał miejsca, gdzie najlepiej podłożyć ładunki.

Niespełna czterdzieści minut zajęło mu umieszczenie, zamaskowanie i sprzężenie ich ze sobą. Teraz miał pewność, że nikt bez jego wiedzy nie dobierze się do złota.

Do samochodu dotarł zdyszany. Prawie tysiąc metrów stromego korytarza kopalni dało mu nieźle w kość. Bliźniaki spały na tylnym siedzeniu. Brunnen, siedząc na miejscu pasażera, słuchał wiadomości

w radiu.

– Musisz ich upilnować – powiedział, odpalając samochód.

– Wiem – odparł Brunnen. – Są młodzi, ale nie głupi. Nie będzie ich korciło. Nie martw się.

– Muszę się martwić. Nie chcę, żeby wylecieli w powietrze, próbując odzyskać złoto.

– Kasa, którą obiecałeś nam przesłać, zakończy sprawę. Zarówno im, jak

i mnie wystarczy na parę pokoleń. Zresztą nawet tu nie trafią. Wiem, że celowo kluczyleś w nocy po lesie i górach. Teraz też to robisz.

– To fakt, druhu. Robiłem to i robię w tej chwili, ale nie z powodu złota. Zawsze traktowałem ciebie i bliźniaków jak rodzinę. Sram na złoto! Zależy mi na was.

– Wiem, Aleks, wiem o tym. Co zamierzasz dalej? – zapytał Brunnen, sprytnie zmieniając temat.

– Zabiorę od ciebie Yeonrin. Nieważne, w jakim jest stanie. Jeśli chce żyć, musi wytrzymać. Ponadto nie ufam temu lekarzowi. Każdy ma swoją cenę. Dla ciebie i bliźniaków też byłoby dobrze ukryć się gdzieś na jakiś czas.

– Mam już plan. Od paru miesięcy obiecywałem im wyjazd na polowanie. Wiesz, takie, na jakie jeździłem z ich ojcem.

Sterben skinął głową.

– Zaszyjemy się gdzieś w Górach Skalistych, a tam ogary Pana będą tylko urozmaiceniem naszej przygody. A ty już wiesz, dokąd się udasz?

– Tak – odparł Aleks, puszczając oczko do przyjaciela.

Autostrada nr 684, zjazd do North Castle, 12 września

Piękna i bestie

Grace nerwowo spacerowała alejką wzdłuż brzegu małego jeziora. W głowie miała natłok myśli, serce waliło jej, jakby chciało uciec z piersi. Była przerażona. Zaraz jak tylko opuściła szpital, posłusznie wykonała polecenia Cathala. W pracy wzięła urlop na żądanie. Do domu matki już nie wróciła.

Z najbliższego bankomatu wybrała dostępną gotówkę. Kupiła starego forda fiestę, w umowę wpisując fałszywe nazwisko, i jak najszybciej opuściła Nowy Jork, kierując się na północ, w stronę Kanady. Na przydrożnej stacji benzynowej zatankowała do pełna. Płacąc gotówką, wybrała nowy telefon komórkowy.

Dzwoniąc do matki ze starego numeru, powiedziała, że w związku z wydarzeniami z jedenastego września musi wyjechać służbowo na parę dni. Wydawało się jej, że zrobiła wszystko, co mogła, aby zatrzeć za sobą ślady. Wszystko, co podpowiadały filmy sensacyjne rodem z Hollywood. W głowie miała echo słów Cathala, „stawką w tej grze jest twoje życie”.

Pijąc kawę w barze, w którym zatrzymała się przeszło sześć godzin temu, zadzwoniła pod jeden z numerów otrzymanych od Tasuila. Drżącym głosem zapytała, czy rozmawia z panem Boomem. Głos w słuchawce, głośno mlaskając, po krótkiej chwili odparł: „tak”. Zdążyła tylko powiedzieć, że jest sekretarką Cathala i że on, czyli Irlandczyk, potrzebuje pomocy. Boom zapytał, gdzie jest i czy jest cała. Kiedy odpowiedziała, mężczyzna nakazał jej być cicho. W telefonie usłyszała dźwięk przekładania papierów i jakby odgłos łyżki szorującej po krawędzi metalowego garnka.

– Za sześć godzin – usłyszała ponownie jego głos – bądź w miejscu, które

ci podam. Zapamiętaj, nie zapisuj... Tam się spotkamy – powiedział, rozłączając się.

Spojrzała na zegarek, mijala siódma godzina od rozmowy telefonicznej, a na alejce nie widziała nikogo.

Boże, pomyślała, może coś sknociłam, może to nie tu?

– Przepraszam za spóźnienie – usłyszała za sobą męski głos. – Pani Grace, jak mniemam?

– Tak – odpowiedziała, odwracając się. – Pan Boom?

Wysoki mężczyzna, stojący przed nią, uśmiechnął się szeroko.

– Nie, ja jestem Socjo. Ten przystojniejszy – zażartował, obejmując ją wpół, jakby była jego dziewczyną. – Chodźmy stąd. Już wystarczająco długo paradowiesz w mundurze po alejce. To może zwrócić czyjąś uwagę, a tego nie chcemy.

Grace dopiero teraz zdała sobie sprawę, że odkąd wyszła ze szpitala, cały czas była w mundurze. Misterny plan zacierania za sobą śladów wziął w łeb.

– Nie miałam ani w co, ani gdzie się przebrać – wyjąkała zażenowana.

– Zaraz coś na to poradzimy – powiedział Socjo, przyśpieszając kroku. Czują, jak opuszczają ją siły, a do oczu cisną się łzy. Jeszcze sekunda, a się rozplacze i całkiem puszcza jej nerwy. Gdyby nie wsparła się na idącym obok niej mężczyźnie, nie dałaby rady zrobić kolejnego kroku. Ten przystanął i spojrzał na jej twarz i załzawione oczy.

– Jesteś już bezpieczna. Nic ci nie grozi – powiedział, mocniej ją podtrzymując.

Na parkingu Socjo zatrzymał się obok żółtego chevroleta corvette.

– Myślałam, że mamy nie zwracać na siebie uwagi – powiedziała Grace, przyglądając się corvette'ciu C5.

– I nie będziemy – odparł Socjo, otwierając jej drzwi.

– A pan Boom gdzie? – zapytała, zapinając pas.

– A pan Boom szykuje nam bezpieczne gniazdko – odparł Socjo, śmiejąc się. – Pan Boom... A to dobre! – dodał po chwili.

Przy wyjeździe na autostradę zwolnił. Zakładając za ucho miniaturową słuchawkę, zapytał Grace, jaki nosi rozmiar.

– Szóstkę – odparła, opierając głowę o zagłówek.

Socjo wybrał numer na konsolce.

– Małe, jesteś tam? Będziemy za jakąś godzinę. Ta, jest ze mną. Mam dla ciebie zadanie bojowe. Jedź do sklepu z damskimi ciuzzkami i kup parę rzeczy w rozmiarze sześć. Nie wiem co! Będziesz w sklepie, to zobaczysz. Może jakieś dresy, koszulę nocną...

Grace nie słyszała końca rozmowy, zasnęła, otulona kubelkowym fotelem corvetty.

Śmiech sprzedawczyń pogonił go do wyjścia ze sklepu. Rozbawił je, kupując rzeczy przeznaczone dla Grace. Trudno jest kupić coś, o czym nie ma się zielonego pojęcia. Z wielu oferowanych mu przez ekspedientki ciuchów wybrał tylko te, które wydały mu się najpotrzebniejsze dla kobiety. Kupił dwie pary takich samych dżinsów, dwie ciepłe bluzy i dwa podkoszulki polo. W takie rzeczy jak bielizna wolał się nie zagłębiać.

Trudno, będzie musiała sobie jakoś poradzić, pomyślał, wsiadając do samochodu zaparkowanego zaraz przy wejściu do sklepu.

Wyjechał z miasteczka, kierując się na południe. Po trzydziestu milach skręcił w boczną drogę, skąd do leśnej chatki, którą wynajęli z Socjem, miał jeszcze do przebycia piętnaście mil. Jechał wolno. Kamyki szutrowej nawierzchni drogi uderzały w spód i nadkola samochodu. Zatrzymał się za zakrętem, który poprzedzał długi, prosty odcinek trasy.

Tu będzie dobrze, pomyślał, wysiadając z samochodu.

Otworzył bagażnik, wyjął saperkę i plecak. Przeszedł parę metrów i zaczął kopać płytki dołek przy poboczu drogi. Gdy skończył, przeszedł na drugą stronę i wykopał jeszcze jeden.

Socjo minął jego pozycję niespełna minutę temu, znikając mu z pola widzenia za zakrętem. Zanim opadł pył za żółtą corvetą, na prostym odcinku ukazał się drugi pojazd. Terenowy czarny land rover freeland. Tak jak przypuszczali, Grace miała ogon. Począł, aż samochód znajdzie się dokładnie pomiędzy dwoma zamaskowanymi dołkami, i wcisnął przycisk detonatora. Siła eksplozji dwóch ładunków kierunkowych zmiażdżyła nadwozie samochodu. Z kłębow dymu i pyłu wytoczył się płonący land rover. Przejechał jeszcze parę metrów i stanął.

To by było na tyle, pomyślał Boom i ramieniem otarł pot z czoła. Pomimo jesiennej pory dzień był ciepły i słoneczny. Wstał z zarośli

i pobiegł do zaparkowanego za zakrętem samochodu.

Armia Świętej Wojny

Omar wstał z łóżka. Chwycił jakieś ubranie leżące na taborecie obok.

Schylił się, podnosząc, o dziwo, swoje własne buty.

Przynajmniej to mi zostawił, pieprzony wilkołak, pomyślał, machinalnie je sznurując.

Opuścił przytułek, nie zważając na krzyki wolontariuszy. W przyciasnych dzinsach ledwo mógł iść. Materiał spodni boleśnie ocierał oparzenia na udach. Mimo to przyspieszył kroku. Dotarł do pierwszej przecznicy, przeczytał nazwy ulic na skrzyżowaniu. Nadal znajdował się na południowym Manhattanie. Przytułek był na Brook Avenue, do domu Faisala na Saxon Avenue miał dobre pół godziny marszu. Do nadbrzeża czternastego nie miał szans dotrzeć w tak krótkim czasie, zresztą już nie miał po co. Statek pewnie dawno odpłynął wraz z resztą jego zespołu. Przetrzęsął kieszenie kurtki i bluzy, nic nie znalazł oprócz paru niedopałków i zapalek. Wybrał najdłuższy, odpalił go, głęboko się zaciągając. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego wilkołak zostawił go przy życiu, i to jeszcze na wolności. Ale nie on był teraz jego największym zmartwieniem. Jak tylko dotrze do domu Faisala, każe mu zebrać członków reaktywowanej Armii Świętej Wojny [\[50\]](#) i odwiedzi Pana w Behemian Grove, ale tym razem to nie będzie przyjacielska wizyta w interesach. Tym razem to on, Omar bin Husajn, będzie Panem.

Nie mógł znieść myśli, że został tak oszukany. On i jego ludzie byli oddani zadaniom zleconym przez Radę Kuźni. Trzech jego bojowników zginęło w Syrii podczas odbioru ruchomej wyrzutni rakiet. Ibna zabił wilkołak. Widział jego zwłoki, gdy uciekał z garażu przy South Street. Ofiary życia złożone na ołtarzu sprawy Behemian Grove nie mogły zostać niepomszczone. Wszystkie jego wysiłki włożone w odbudowę kalifatu zostały zaprzepaszczone. Wizja powstania nowego muzułmańskiego państwa oddaliła się na długie lata.

Pan za to zapłaci, ale tym razem nie złotem, tylko własną krwią,

pomyślał, wciskając przycisk dzwonka przy drzwiach domu Faisala.

Hrabstwo Sonoma w północnej Kalifornii, Behemian
Grove, 14 września, ogrody

Uczta

Kiedy potęga miłości weźmie górę nad miłością do władzy, świat nareszcie zazna spokoju.

Śri Chinmoy Ghose

Pod ogrodowym namiotem, za obficie zastawionym okrągłym stołem, siedziało dwudziestu pięciu członków Rady Kuźni. Olbrzymi ekran telebimu wyświetlał jeszcze niezburzone wieże WTC, nad którymi unosiły się ciemne pióropusze dymu. Czerwone ognie pochodni rzucały na ściany namiotu cienie biesiadujących za stołem członków Behemian Grove, sprawiając wrażenie, jakby z tyłu ucztował z nimi cały ogród i okalający go las.

Pan siedział na wprost telebimu. Wpatrzony w obraz na nim, sycił się odniesionym zwycięstwem nad amerykańskim rządem i społeczeństwem. Był dumny z siebie i organizacji. Po tylu latach przygotowań w końcu widział skutek. Skutek, który przerósł jego najśmielsze oczekiwania.

Oby pozostałe części składowe ich planu zakończyły się takim samym sukcesem, pomyślał, wstając z uniesionym do toastu kielichem.

– Drodzy bracia i siostry! – zaczął Pan. Rozmowy przy stole ucichły. – Pragnę tym toastem podziękować wam wszystkim za oddanie i pracę włożoną w nasze dzieło budowy Nowego Porządku Świata.

W namiocie rozległy się oklaski. Pan, przykładając palec do ust, poprosił o ciszę.

– Jak widzicie, spotykamy się dzisiaj w nieco odmiennym składzie. Dwoje z nas odeszło, kładąc swe życie na ołtarzu sprawy, ale są też wśród nas nowi członkowie. Tu, korzystając z okazji, pragnę powitać pana Jang Sõng-Phaleka – powiedział, szeroko rozkładając ramiona w geście powitania.

Siedzący przy stole zaczęli bić brawo. Ci najbliżej Jang Sõnga gratulowali mu, ściskając go i bratersko klepiąc po plecach.

– Spójrzcie – Pan wskazał ręką z kielichem na telebim. Obraz na nim ożył. Jedna z siostrzanych wież, ta, która została trafiona jako druga, waliła się. Północna wieża jeszcze stała w kłębach dymu, przyglądając się ze smutkiem swojej siostrze. – To, co widzicie, te walące się budynki, to nie jest nasze dzieło. Zrobili to ludzie, którzy rządzą Stanami Zjednoczonymi Ameryki. To nie my zniszczyliśmy WTC! Nie to było naszym zamiarem. Nam miał wystarczyć zasiany w ich sercach strach, że pozostałe ładunki nuklearne mogą eksplodować w dowolnym miejscu i czasie. Jednakże oni, przepełnieni pychą władzy, woleli zabić własnych obywateli, niż stracić swoje fotele. Mieli się stać zakładnikami Nowego Porządku Świata. I stali się, choć jeszcze sami o tym nie wiedzą. Dziś już mogą śmiało stwierdzić, że ci durnie, zaślepieni miłością do władzy, zrobią wszystko, co zechcemy. Za rok, może wcześniej, w imię odwetu każą swoim wojskom zająć Irak, potem Afganistan i tak ich rękami pozbędziemy się naszych wrogów na Bliskim Wschodzie. Ich żądza władzy, nie nasza, pchnie narody do wojen. To oni będą odpowiedzialni już nie tylko za dwa tysiące siedemset czterdzieści dziewięć ^[51] ofiar, ale za miliony. Właśnie wtedy my przyjdziemy z pomocą wykrwawionym narodom. Na gruzach starego świata zbudujemy nowy, lepszy porządek. Novus Ordo Mundi!!! – krzyknął, wypijając kielich do dna. Cienki strumyk wina niczym krew pociekł mu po brodzie.

– Teraz – dodał, wycierając usta dłonią – muszę was opuścić. Niestety obowiązki wzywają, ale wy, drodzy przyjaciele, bawcie się i biesiadujcie do białego rana. Mam nadzieję, że spotkamy się w grudniu na corocznym obrzędzie Palenia Trosk.

Wychodząc z namiotu, słyszał za sobą niemilknące oklaski. Wsiadł do meleksu i, zadowolony, nakazał kierowcy zawieźć się do apartamentu.

Usiadł w skórzanym fotelu za ciężkim, dębowym biurkiem. Odetchnął z ulgą. Ból biodra dawał mu się coraz bardziej we znaki. Wcisnął przycisk na biurku. Z blatu wysunął się wąski ekran monitora LCD.

– Mów – powiedział Pan, wpatrując się w twarz rozmówcy. Ten, lekko drżącym głosem, zaczął zdawać raport.

Sterben zdradził. Jego najlepszy człowiek zawiódł go. I to dla kogo?! Dla tej Koreanki, kaprysu jego słabości. Nie dość, że zabili dwóch członków

Rady, to jeszcze prawdopodobnie za jego sprawą przepadło całe złoto. Jakby ta pieprzona suka zabiła go na spotkaniu z Basajewem, tak jak jej kazał, nie miałby teraz problemu. Już wtedy powinien zacząć coś podejrzewać. Trzymać tę dwójkę jak najdalej od siebie. Ale on w kluczowej akcji zrobił z nich parę.

– Spieprzyłem to – powiedział sam do siebie.

Omar też nie dawał znaku życia. Przepadł jak kamień w wodę. Wiedział, że nie zginął. W porcie nie znaleziono jego ciała. Jeśli coś zwęszył, to, podobnie jak Sterben, był groźnym przeciwnikiem, a nawet groźniejszym niż Sterben. Ten fanatyk gotów tu wpaść z grupą podobnych mu i zrobić w Behemian Grove Allahu Akbar. Kolejnym problemem był agent DIA i jego pomagierka. Ci, nie wiadomo jak, wpadli na trop Omara. Na szczęście skutkiem tego, przynajmniej na razie, udało się zapobiec. Oboje byli namierzeni i to tylko kwestia czasu, kiedy jego ludzie ich zlikwidują.

Położył się na łóżku, był zmęczony. Pozostało mu wykombinować, co powiedzieć Koreańczykowi, czemu nie dostanie swojego złota. Pewien pomysł świtał mu już w głowie. O tym, że złoto przepadło, wiedział on, Sterben i rząd USA, który je przejął, ale się do tego nie przyznał. Zasnął z uśmiechem na twarzy.

Rząd nie jest rozwiązaniem problemów. Rząd jest problemem. Ronald Reagan

Szef agencji zakończył referat słowami:

– To jest najlepsze wytłumaczenie wydarzeń z jedenastego września, jakie w tak krótkim czasie możemy przedstawić opinii publicznej.

– Chcesz, aby ludzie uwierzyli, że dwa samoloty spowodowały zawalenie się trzech budynków, uszkadzając przy tym czwarty ^[52]? Sam w to nie wierzę, jak to mówię – powiedział prezydent.

– To nie do końca tak, panie prezydencie. Odłamki wież uszkodziły budynek WTC 7 i dlatego musieliśmy go niby wyburzyć. Zagrażał bezpieczeństwu obywateli. Fiterman Hall oberwał, kiedy detonowaliśmy trzeci ładunek, ten pod WTC 7. Nie można tego było zrobić inaczej. WTC 7 musiał zostać zniszczony. To od niego biegły pod ziemią tunele kolejki, którymi dostarczyliśmy bomby pod obie wieże.

– Może mi powiesz, do cholery, dlaczego nie zniszczyliście obu wież naraz? Tylko w odwrotnej kolejności niż zostały trafione?

– Nie mogliśmy tego zrobić inaczej. Gdybyśmy wysadzili najpierw wieżę północną, nie dalibyśmy rady wysadzić południowej. Tunel prowadzący do wieży północnej był w polu rażenia ładunku pod wieżą południową. Dlatego właśnie ona musiała runąć pierwsza.

– Ja pier... – urwał słowo prezydent. – Czy zdajesz sobie sprawę, ile powstanie teorii spiskowych?

– Zdaję sobie sprawę – odparł szef agencji. – Dlatego właśnie powołamy komisje śledczą i senacką, które zajmą się wytłumaczeniem społeczeństwu wszelkich zawiłości.

– Co o tym sądzisz? – zapytał prezydent, patrząc na Powersa.

– Myślę, że to przejdzie. Nadamy odpowiednie programy w zaprzyjaźnionych telewizjach. Parę artykułów w gazetach i prasie branżowej też się przyda. Powołanie komisji śledczej i senackiej jeszcze bardziej uwiarygodni sprawę.

– Ja też jestem za – powiedział Rumpelsfeld, odstawiając filiżankę na porcelanowy talerzyk. – Dostrzegam też plusy całej tej sytuacji. Zwłaszcza pierwsza część referatu szefa agencji ma mocne strony. Mianowicie chodzi mi o to, że czyniąc Al-Kaidę winną zamachu, tworzymy niewidocznego i nierealnego wroga. Ilu ludzi w Stanach czy na świecie słyszało o Al-Kaidzie i jej przywódcy przed jedenastym września? Niedużo, bo prawie nikt się tym nie interesował. Teraz mamy zainteresowanie milionów, jak nie miliardów. Szefowie agencji w każdym państwie zaczną tropić nieistniejącego wroga. W wielu przypadkach za sprawą błędnych decyzji sami powołają do życia demona, co jeszcze bardziej uprawdopodobni naszą wersję wypadków. Teraz priorytetem powinno być uderzenie odwetowe. Ono pokaże naszą determinację społeczeństwu, które jest żądne zemsty. Myślę, że ten, kto nas zaatakował, nie do końca przewidział konsekwencje swoich czynów. Dał nam do ręki broń, której ostrze możemy wymierzyć w niego i w amerykańskie społeczeństwo. Stanie się ono wobec nas bardziej posłuszne i spolegliwe. Czyniąc długą historię krótką, stwierdzam, że podoba mi się plan szefa agencji.

– Przewidując pewne nasze posunięcia, wraz z doradcami Białego Domu przygotowałam – zaczęła Condoleezza, podchodząc do biurka prezydenta i kładąc na nim teczkę – projekt ustawy, która naszym zdaniem powinna jak najszybciej wejść w życie.

Prezydent popatrzył na teczkę. Dużymi czerwonymi literami było na niej napisane: „USA Patriot Act”^[53].

Guru

Cathal na własne żądanie wypisał się ze szpitala. Nie mógł już dłużej znieść bezczynności. Leżenie w łóżku i uzalanie się nad sobą nie było w jego stylu.

Drugiego dnia pobytu w szpitalu odwiedzili go agenci. Przesłuchiwali go ponad godzinę, aż lekarz musiał ich wyprosić. Nie ufał tym, którzy go wypytywali. Zresztą nie wiedział już, komu może jeszcze zaufać. Nie wspomniał im o mężczyźnie, który ocalił mu życie. Uznał, że tak będzie lepiej dla nich obu.

Zaraz po wyjściu ze szpitala pojechał do mieszkania Su. Spędził w nim tylko chwilę. Brak jej głosu, śmiechu, odgłosów krzątania się był nie do zniesienia. Ogrom pustki panującej w pomieszczeniach uświadomił mu, jak wielką poniósł stratę. Wziął z niego tylko jedną rzecz – zdjęcie w srebrnej ramce, zrobione zaraz po wyjściu z baru, gdzie Cathal żegnał się z braćmi z dziesiątej remizy. Na środku fotografii stał Sky, trzymając jego i Su w ramionach.

Chciał pojechać na Liberty Street, żeby zobaczyć, czy w dziesiątce wszystko w porządku, ale zabrakło mu odwagi. Czuł się odpowiedzialny za śmierć Skya. Wiedział, że chłopaki zaczną opowiadać o akcji pod WTC, a to w połączeniu z tym, co stało się z Su, z tym, jak mogła cierpieć, ile bólu, strachu musiały znieść osoby znajdujące się w wieżach, byłoby dla niego nie do wytrzymania. Martwił się także o Grace. Odkąd wyszła od niego, ślad po niej zaginął. Miał tylko nadzieję, że skontaktowała się z Boomem i Socjem i że to oni są sprawcami jej zniknięcia, a nie ludzie Pana.

Cathal przeciągnął się, unosząc ręce do góry. Nie miał pojęcia, ile czasu drzemał. Zasnął, oglądając wiadomości. Wstał z kanapy i podpierając się na kuli, doszedł do biurka i spojrzął na monitor komputera. Odkąd wyszedł ze szpitala, spędzał przy nim każdą chwilę, szukając w sieci informacji, czytając opinie mniej lub bardziej wiarygodnych specjalistów na temat wydarzeń z jedenastego września. Internet był pełen komentarzy na temat Al-Kaidy i Osamy bin Ladena. Jedni nawoływali do natychmiastowego odwetu, drudzy

domagali się zaostrzenia polityki imigracyjnej. Ci bardziej radykalni wyszli na ulice miast, niszcząc arabskie sklepy i restauracje. W ataku na WTC zginęło więcej ludzi niż w nalocie na Pearl Harbor [54].

Tamto wydarzenie doprowadziło do wojny na Pacyfiku, więc i to będzie musiało zakończyć się wojną, pomyślał Cathal.

Tylko on wiedział, co tak naprawdę było celem zamachu i jakie pobudki kierowały zamachowcami, ale nie mógł dzielić się tym z innymi.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, czemu ludzie to robią. Dlaczego tak postępują? On, w miarę swoich możliwości, chciałby pomóc każdemu człowiekowi. Po to pojechał do Bośni, po to był w Sarajewie.

Wszyscy powinniśmy pomagać sobie nawzajem. Pragnieniem ludzkim powinno być życie we wzajemnym szczęściu, a nie we wzajemnej nienawiści. Chciwość zatruła ludzkie serca i dusze. Opanowała świat. Dzisiaj liczy się nie istnienie, ale posiadanie. Zwykli ludzie, zagonieni w natłoku codziennych spraw, ulegli rządzącym. Rządzącym, którzy nimi gardzą i ich zniewalają. Mówią im, co mają czuć do innych, co mają robić i co myśleć. Poddali się i oddali swe życie Panom, obiecującym im pracę, godny zarobek, poczucie bezpieczeństwa i spokojną starość. Dzięki takim obietnicom Panowie rosną w siłę, ale wcale nie mają zamiaru ich spełnić. Nowymi aktami prawnymi uwalniają siebie, ale zniewalają ludzi.

„Masz wiadomość” – komputerowy syntezator mowy przerwał jego rozmyślenia. Włączył pocztę i otworzył e-mail. Treść wiadomości była krótka: „W nawiązaniu do tego, co pan napisał, proponuję spotkanie u mnie. Najlepiej jeszcze dziś, o ile to możliwe.

Serdecznie zapraszam. Michael Jones [55]”. Pod spodem był jeszcze podany adres. Cathal spojrzął na zegarek, dochodziła siedemnasta. Na dwudziestą powinien dotrzeć do domu Michaela.

Niewysoki, lekko otyły mężczyzna z łysiną otworzył mu drzwi, zapraszając do wnętrza domu.

– Jak widzisz – wskazał na stolik i leżące na nim dokumenty – po twoim telefonie przygotowałem się na nasze spotkanie.

– Cathal – powiedział Tasuil, wyciągając rękę na powitanie.

– Wybacz moje maniery. Michael. Jeśli możesz, mów mi Dex –

powiedział Jones, ściskając jego dłoń. – Nieźle oberwałeś. Może lepiej nie stój. W twoim stanie – uśmiechną się – nie jest to wygodna pozycja. Proszę, usiądź tu, na kanapie, obok kominka.

Tasuil oparł kulę o ścianę i wolno podreptał w stronę sofy. Usiadł i zaczął przeglądać papiery na stoliku.

– Czekaj, czekaj – powiedział gospodarz, wyciągając butelkę osiemnastoletniego ballantine'isa. – Wart naszego spotkania – rzekł, ruszając w stronę kanapy. Jego krokom towarzyszyły głośne skrzypnięcia desek w podłodze. – Uwierz mi, to, co za moment usłyszysz, na trzeźwo jest nie do przyjęcia.

Cathal uśmiechnął się, odkładając notatki z powrotem na stół.

– Zdrowia! – powiedział gospodarz, podając mu szklaneczkę po brzegi wypełnioną bursztynowym płynem. – Sądzę, że najlepiej będzie, jak zaczniemy od tego. – Wziął do ręki mały, kolorowy magazyn i podał go Tasuilowi. – Zwróć uwagę na okładkę i datę wydania.

Pismo należało do Emergency Response to Terrorism i przedstawiało wieże WTC na celowniku. Data wydania: numer sierpniowy, 1997 rok.

– Myślę, że właśnie wtedy Grupa Bilderberg [\[56\]](#) i organizacje z nią powiązane zaczęły planować cały cykl wydarzeń, który osiągnął apogeum jedenastego września – powiedział Jones.

– Co to za ludzie i kim jest ta grupa? – zapytał Cathal, odstawiając pustą szklanę.

– Czymś, hmm... – zastanawiał się Dex – czymś w rodzaju najwyższej rady. Chyba tak to można najprościej wyjaśnić.

„Dzisiaj, za sprawą oddanych przyjaciół z Rady Kuźni, uderzymy...”, Tasuil przypomniał sobie słowa Omara.

– Patrz tutaj – Michael podał mu notatkę. – To są ćwiczenia, które NORAD przeprowadził w 1999 roku. Zgadnij, co symulowały. Uderzenie samolotów w WTC i Pentagon – powiedział, uzupełniając szklanki. – Ta książka, tak, ta, na wprost butelki. To podręcznik o terroryzmie wydany w lipcu 2000 roku przez Departament Sprawiedliwości. Co jest na okładce? Znowu WTC na celowniku.

– Jakby prowokowali los – powiedział Cathal, masując nogę, w którą otrzymał postrzał.

– Nie prowokowali losu, o nie! Oni nas przyzwyczajali do tego

wydarzenia. Badali nastroje, budowali całą infrastrukturę zamachu. Musisz zrozumieć jedną rzecz. W ich działaniu nie ma przypadkowości. Planują na długie lata przed tym, co chcą osiągnąć.

– „Dwudziestego czwartego października 2000 roku – Tasuil czytał na głos kolejny dokument – Pentagon przeprowadza pierwsze z serii ćwiczeń o nazwie «Mascalls», symulujące uderzenie boeinga 757 w budynek. Kolejne były planowane na kwiecień 2001 roku, tym razem samolot miał uderzyć w Pentagon. Jednakże zostają odrzucone jako uznane za mało prawdopodobne”.

– To są tylko dokumenty, jakie zdążyliśmy, ja i mi podobni, zgromadzić przez te parę dni, które minęły od zamachu. Mam tu jeszcze kopie szeregu notatek służbowych i rachunków. Patrz tu, to jest kserokopia rachunku za czarter samolotów dla Prokuratora Generalnego. Do niego jest podpisany raport jednej z agencji, ostrzegający go przed lataniem samolotami rejsowymi – powiedział Dex, poprawiając się na kanapie. Sięgnął po butelkę whisky. – Pusta. Ma to do siebie, że zawsze tak nagle się kończy. – Wstał i podszedł do kominka. Dorzucił parę szczap do ognia, a z barku obok wyjął kolejnego ballantine’sa.

– Wygląda na to, że kto chciał, to wiedział o tym, co się ma wydarzyć – odparł Cathal, wpatrując się w płomienie.

– Wiedział ten, kto miał wiedzieć albo kto był im potrzebny. Tak to już jest na tym świecie, przyjacielu. Pomyśl, jakby rządy w czasie pokoju wydawały tyle pieniędzy na badania naukowe, ile wydają na zbrojenia podczas wojny, ludziom, tym zwykłym ludziom, żyłoby się dużo lepiej. Co nam z techniki, genetycznie modyfikowanej żywności czy medycyny, kiedy całe narody Afryki głodują, padają ofiarą chorób i pomniejszych kacyków, którzy zwą siebie Panami? Opanowaliśmy prędkość, ale ograniczyliśmy samych siebie. Nasza wiedza zrobiła z nas cyników, nasza inteligencja – ludzi surowych i nieżyczliwych. Czujemy za mało, a myślimy za dużo. Bardziej niż nowych robotów potrzebujemy człowieczeństwa. Bardziej niż techniki, która oddala nas od siebie, zamyka przed klawiaturą komputera, potrzebujemy życzliwości i łagodności. Bez tych cech nasze życie stanie się brutalne. W wojnach, w zamachach ginimy my, zwykli ludzie. Potem nasz strach, nasze obawy o bliskich, o pracę czy o życie wykorzystują przeciwko nam samym, ubezwłasnowolniając nas nowymi prawami, mówiąc, że to dla

naszego dobra. Za parę lat wszczępią nam chipy, okolczykują nas jak bydło, którym dla nich jesteśmy, wmawiając nam, że tak musi być.

– Co jest w tej niebieskiej teczce, która leży na kanapie obok ciebie? – zapytał Cathal, dopijając kolejną szklaneczkę.

– Nazwałem to „kasą” – odpowiedział, kładąc ją na stole i otwierając. – Dokumenty w niej zawarte dotyczą rynku papierów wartościowych. Zresztą masz, przeczytaj sam. Ja przygotuję ci, póki mogę, jakieś posłanie.

Tasuil wyjął plik papierów i zaczął je studiować. Pierwszym był dokument z dwudziestego czwartego lipca 2001 roku. Stwierdził on, że niejaki Larry K. Silversschwein, właściciel budynku WTC 7, na sześć tygodni przed zamachem podpisał wartą 3,2 miliarda dolarów umowę najmu kompleksu WTC na okres dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Umowa ta obejmowała także polisę ubezpieczeniową na kwotę 3,5 miliarda dolarów, uwzględniającą atak terrorystyczny.

– ...to skurwiel – wyrwało się Tasuilowi.

Przecież to nie mógł być przypadek, pomyślał i pociągnawszy głęboki łyk ze szklanki, czytał dalej.

Szóstego września 2001 roku ogłoszono ponad trzy miliony opcji sprzedaży akcji jednej z firm, której samoloty pięć dni później zostały wykorzystane w zamachu. Siódmego września zgłoszonych zostało 27 294 opcji sprzedaży firmy produkującej samoloty. To liczba pięciokrotnie większa od średniej dziennej. Dziesiątego września, na dzień przed zamachem, ogłoszono 4 516 opcji sprzedaży amerykańskiego przewoźnika lotniczego. To zaś liczba jedenastokrotnie większa od średniej dziennej [\[57\]](#).

Cathal zamknął niebieską teczkę i odrzucił ją z odrazą na stolik. Ci ludzie, o ile zasługiwali na takie miano, byli chorzy. Byli gotowi zabijać tysiące, miliony dla władzy. Tasuil przypomniał sobie słowa George'a Orwella z powieści Rok 1984: „Władza nie jest środkiem, lecz celem. Celem prześladowania jest prześladowanie, tortur – tortury, a celem władzy władza”.

– Moim zdaniem ludzie odpowiedzialni za tragedię z jedenastego września zrobili to samo, co zrobił Hitler w lutym 1933 roku – powiedział Dex, stojąc w drzwiach pokoju z kocem i poduszką w rękach.

– To znaczy? – spytał Cathal.

– Hitler i jego banda sfingowali atak na parlament niemiecki Reichstag,

wzniciając w nim pożar. Winą za to obciążyli komunistów. Otworzyło im to drogę do przejęcia kontroli nad niemieckim społeczeństwem, dając możliwość wprowadzenia nowych ustaw. Tylko czekać, jak nasi zrobią to samo. Jeżeli ludzie nie uświadomią sobie tego, co knują twórcy Nowego Porządku Świata, skazają się na życie w niewoli. Kraje narodowościowe staną się wspomnieniem przeszłości. Powstanie globalny rząd. Planetę opanuje bezwzględny gang wariatów, opętanych władzą, którego potęga nie będzie mogła być nigdy zakwestionowana.

– Uważasz, że nasz rząd jest odpowiedzialny za atak na WTC? Dex roześmiał się.

– Nie wykluczam tego. Musisz zrozumieć, twoi znajomi i cały świat też muszą zrozumieć, że za tronem kryje się coś wielkiego, większego niż sam król [58]. Nie przypuszczam, żeby cały rząd był w to zaangażowany, ale poszczególni jego ministrowie, sekretarze na pewno maczali w tym palce.

– Przeraża mnie to, co mówisz, tak jak przeraziło mnie to, co przeczytałem w twoich dokumentach.

– Nie musisz mi wierzyć, to tylko moja opinia, w którą sam najchętniej bym nie wierzył. Ja też, jak większość z nas, wolę ten dobry świat z bajek.

– Trzeba z nimi walczyć wszystkimi dostępnymi metodami, aby nasz świat stał się tym z bajki.

– Ja walczę z nimi od lat. Jestem patriotą gotowym wytoczyć własną krew, aby paski na fladze zostały czerwone. Walczyli też inni, choćby kongresmen Louis McFadden czy ostatni prawdziwy prezydent naszego kraju, JFK. Żywię tylko nadzieję, że nie skończę tak jak oni. Ci chorzy na władzę gangsterzy rozpostarli swoje ramiona nad całym światem.

Za pomocą takich organizacji jak Grupa Bilderberg, Trilateral Commission [60] czy Council on Foreign Relations [61] zmieniają świat.

Cathal pochylił się i poklepał Dexa po plecach, po czym powiedział:

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Pomasował nogę, czuł, że ciepło bijące od rozpalonego kominka ma dobry wpływ na gojenie się rany. Przeciągnął się i ziewnął.

– Widzę, że masz dosyć analiz na dziś. Chodź, pościeliłem ci w pokoju obok. Rozpaliłem w kominku. Będzie ci ciepło i przyjemnie. Wyśpisz się jak u mamusi. Mamy tu zdrowe, czyste powietrze – powiedział, biorąc Cathala za rękę. – Jutro będziemy kontynuować, może to pomoże ci zapomnieć

o bólu.

Tasuil szedł, podpierając się na ramieniu Dexa. Nie był pijany, był otumaniony dzisiejszymi wydarzeniami. Siadając na łóżku, powiedział:

– Zaplanowali to wszystko dla pieniędzy.

Dex nie wiedział, czy to pytanie, czy stwierdzenie.

– Pieniądze to oni drukują – odparł, zamykając za sobą drzwi.

Obudziło go szczekanie psa. Nie zauważył, aby Dex miał psa. Może to zwierzak sąsiadów ujadła? Podniósł się i usiadł na łóżku, nasłuchując. Ogień w kominku już zgasł. Wstał, podszedł do okna, delikatnie przesunął zasłonę.

Przed domem Michaela panował spokój. Niczego nie dostrzegł. Zza zamkniętych drzwi pokoju usłyszał skrzywienie desek, równe, miarowe. Z koca leżącego obok łóżka zrobił wałek i nakrył go kołdrą aż po poduszkę.

Może się nabiorą, pomyślał.

Sam stanął za drzwiami, zaciskając w rękę pogrzebacz.

W salonie za drzwiami zapanowała cisza, słyszał tylko bicie własnego serca. Kulista klamka, z cichym trzaskiem otwieranego zamka, przekręciła się. Mocno pchnięte drzwi zaskrzybiały w starych zawiasach i rozwarły się na całą szerokość. Do pokoju Cathala wtargnęła postać w czarnym kamuflującym stroju, strzelając z karabinka z tłumikiem. Tasuil pierwszy cios zadał jej w głowę. Obudowa noktowizora rozsypała się na drobne kawałki. Postać głośno krzyknęła z bólu. Drugi cios, a właściwie pchnięcie, przebito jej szyję, przechodząc na wylot. Napastnik jeszcze chwilę stał, głośno charcząc, dławiąc się własną krwią. Cathal podniósł karabinek z podłogi, przeładował go i stanął zaraz przy framudze drzwi.

– Dex, uważaj. Ktoś jest w domu! – krzyknął, wychylając głowę.

Pociski serii karabinowej utkwiły w ścianie, niszcząc po drodze sprzęty w salonie. Niedopity alkohol z rozbitej butelki stojącej na stoliku przy kominku rozlał się po podłodze. Na piętrze włączyło się światło. Usłyszał trzy głośne strzały z pistoletu i przerwana krótka seria z karabinka. Po chwili zaś głuchy łoskot upadającego ciała.

– Dopadłem go! Słyszysz, Cathal? Dopadłem go! – krzyczał Dex na piętrze. – Ale ten skurwiel mnie też trafił – dokończył cichszym głosem.

– Zostań tam, gdzie jesteś! Idę do ciebie!

Tasuil podczołgał się do kanapy. Schowany za nią, rozejrzał się po salonie. Nikogo nie zauważył.

Może było ich tylko dwóch, pomyślał, wstając powoli.

Pociski uderzyły w kamienną podmurówkę kominka i krzesząc iskry, podpaliły rozlanego ballantine'isa. Następne utkwily w kanapie. Jeden rozdarł koszulę Cathalowi, boleśnie raniąc go w przedramię. Broń wypadła mu z ręki. Przez płomień palącego się stolika przeskoczył kolejny napastnik, obalając go na ziemię. Siadł na nim. Uniósł w górę rękę z nożem, szykując się do zadania ciosu. Cathal nie mógł złapać oddechu. Próbował się zasłonić, ale zranione przedramię odmówiło posłuszeństwa. Nagle usłyszał brzęk tłuczonej szyby w drzwiach ogrodowych. Zaraz potem głośny odgłos wystrzału. Niewidoczna siła zmiotła intruza z Tasuila, rzucając nim o przeciwległą ścianę pokoju.

– Ma się to wycucie czasu – powiedział Boom, pomagając mu wstać.

– Kiedyś nie zdązysz – odparł Cathal, wsparty na ramieniu starego kompana.

– Prowadź na górę, Dex potrzebuje pomocy.

Na progu sypialni, w kałuży krwi leżał martwy Michael. Cathal przykucnął przy ciele.

Chwilę przyglądał się twarzy dopiero co poznanego przyjaciela.

– Zginął przeze mnie – powiedział, zamykając mu powieki.

Kiedy odjeżdżali, płonął już cały dom. Socjo prowadził, Boom siedział obok niego. Opatrzywszy ranę Tasuilowi, posadzili go na tylnym siedzeniu. Ten wsparł głowę na ramieniu Grace, mówiąc:

– Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Ja też się cieszę, że widzę cię żywego – odparła, głaszcząc go po włosach.

– Jak mnie tu znaleźliście? – zapytał.

– Jak tylko zajęliśmy się ogonem Grace... – powiedział Socjo, wrzucając wyższy bieg.

– Śledzili ją? – wszedł mu w zdanie Cathal.

– Ta. Tak jak ciebie od wyjścia ze szpitala. Trzyosobowy zespół jechał jej śladem od samego New Jorku, ale głupki skręcili za nami w boczną leśną

drogę. Tam pan Boom – roześmiał się Socjo – zrobił im małe bum.

– Mówiłem ci już, że masz do mnie nie mówić „pan Boom”.

– Jak Grace przestanie, to i ja. Gdy tylko opuścicie szpital, szliśmy za tobą krok w krok. Pierwszy raz chcieli cię załatwić na klatce schodowej przy mieszkaniu Su, ale ich przepłoszyliśmy. – Zamilkł na chwilę. – Przykro nam z powodu twojej straty. Wiemy, ile dla ciebie znaczyła.

– Dziękuję.

– Jak wyszedłeś z domu, jadąc do Michaela, tak się ten gość chyba nazywał... –

Socjo zawiesił głos, zerkając w lusterko wsteczne.

– Tak, ale wołał, jak mówiło się do niego Dex. Był dobrym człowiekiem. Jadąc, nie widziałem waszego samochodu ani tych drani, którzy go zabili.

– Dranie przyczepili ci pluskwę, a my draniom drugą. To dlatego pan Boom zdążył w ostatnim momencie. Mieliśmy do ciebie dwa razy dłuższy dystans niż oni. Tyle z naszej strony. Mów, co dalej. Co mamy robić?

– Nie wiem, ale będę wiedział, jak tylko przejrzę resztę dokumentów Dexa – powiedział, patrząc na nadpalone teczki na swoich kolanach. Socjo mocniej wcisnął pedał gazu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Najwięcej czasu ma człowiek, który niczego nie odkłada na później. Przysłowie chińskie

Nowe oblicza, stare sprawy

– Już wiem, dlaczego ten rosyjski chirurg wziął od nas tyle pieniędzy. Jesteś jeszcze piękniejsza, niż jak cię poznałem – powiedział Sterben, podając jej drinka.

– Za to ciebie troszeczkę zepsuł – odparła Yeonrin, śmiejąc się.

– Trudno udoskonalić ideał urody, a przecież za taki mnie uważałaś, jak się we mnie zakochałaś.

– Zakochałam się? – zapytała, zdziwiona. – Obudziłam się, zniewolona, na pirackim jachcie, którym dostarczyłeś mnie na bezludną wyspę, czyniąc ze mnie swoją seksualną niewolnicę. No nie powiem, żebym była temu przeciwna. Aleks – wzięła go za rękę – ja pierwszy raz czuję, że żyję. Jestem naprawdę szczęśliwa i zakochana. Chcę tak żyć już do końca świata. Zasypiać i budzić się u twego boku. Codziennie wychodzić na plażę, patrzeć na bezmiar oceanu. Spoglądać w niebo dla gwiazd, a nie żeby wypatrzeć na nim drona.

– Muszę go zabić – przerwał jej. – Nie mogę tego odkładać na „świętego nigdy”. Jeśli nie ja jego, to on nas. W zeszłym tygodniu przeczytałem ten tekst. – Podał jej numer „Granmy” [\[62\]](#). – Popatrz na tytuł artykułu.

Yeonrin przeczytała go na głos:

– „Podwodna próba nuklearna. Media południowokoreańskie jak i japońskie na swych łamach poinformowały światową opinię publiczną o podwodnej próbie nuklearnej, dokonanej przez bratni rząd Koreańskiej Republiki Ludowej. Wyrażając swe oburzenie, jednocześnie zażądały natychmiastowego wstrzymania kolejnych prób. Rząd KRLD nie dementuje tych doniesień ani ich nie potwierdza. Co nie jest...”, ble, ble, ble... – Skończyła czytać i spytała: – Myślisz o tym samym co ja?

– Myślę, że Pan zdetonował Nosiciela, zanim ten dotarł do bazy. W ten sposób chciał ukryć przed koreańskimi współnikami brak złota na jego pokładzie. Ci nie mają sprzętu ani możliwości wydobycia wraku.

– Ze statku nic nie zostało. Ten ładunek zamienia wszystko w pył.

– Podejrzewam, że Nosiciela miał przejąć kontenerowiec. Ten wypłynął z prawie tygodniowym opóźnieniem z powodu portowego śledztwa. Nosiciel czekał gdzieś, przyczajony na oceanie, ale MSC Francesca nie przyплыnęła. Czekał dzień, dwa, trzy, a jej nadal nie było. Kapitan obrał więc kurs na port macierzysty. Pan, mając jego pozycję dzięki urządzeniu, które moja zabójcza piękność zamontowała na Nosicielu, zdetonował go na wodach terytorialnych Korei i pozamiatane. Jutro wyjeżdżam!

– Chyba żartujesz! Jadę z tobą – powiedziała, wstając z leżaka.

– Nie ma takiej możliwości. Jesteś jeszcze słaba, minęło dopiero półtora miesiąca od zabiegów. Szwy ci puszczą!

– Żeby tobie nie puścili! Zaraz możesz zaliczyć parę nowych!

– Jak się złościsz, jesteś jeszcze piękniejsza.

– Jak się złościsz, jesteś jeszcze piękniejsza – przedrzeźniała go. – Nie weźmiesz mnie na to, agencie, szpiegu i pochlebco. Za to ja mam coś, czemu się nie oprzesz – powiedziała, rozwiązując sznurki bikini. – Zaraz zobaczymy, jak długo będziesz twardy!

Internet, e-mail, drony

Przeszło dwa miesiące kluczyli po Stanach, kryjąc się przed ludźmi Rady i zbierając informacje na ich temat. Cathal nawiązał kontakt ze współpracownikami Dexa. Listę z ich nazwiskami znalazł w jednej z nadpalonych teczek.

Wszyscy mówili mu to samo co Dex. Świącie wierzyli, że świat został zdobyty przez bliżej nieokreślone grupy tajemnych organizacji czy bractw, spiskujących w celu przejęcia totalnej władzy nad planetą, z zamiarem uczynienia z jej mieszkańców posłusznych, bezmyślnych i bezwolnych niewolników.

On sam nie nazywał ich tajnymi czy spiskowymi. Spisek to coś, co powinno się zachować w największej tajemnicy, aby ten mógł się powieść. Tymczasem wszystkie te organizacje były jawne i przejrzyste. Miały swoich członków i prezesów, swoje statuty i siedziby. Działały w świetle obowiązujących przepisów prawa, więc jak tu mówić o tajności czy spisku? Owszem, większość z nich skupiała w swych szeregach osoby z pierwszych stron gazet, polityki, nauki czy finansjery. Za pomocą swoich think tanków ^[63] pełniły one głównie rolę doradczą, i to non profit. Czemuż chcieć więcej? Można je tylko podziwiać i być im wdzięcznym za zaangażowanie w życie społeczne i oddanie swojego czasu, serc i umysłów ludzkości.

Teczka, w której wraz z pozostałymi gromadzili informacje o zamachu z jedenastego września, urosła do rozmiarów grubego segregatora. Dane zbierali w sieci. Nowe pojawiały się tam niemal nieprzerwanie. Jedne były mniej, inne bardziej przekonujące. Te podawane przez oficjalne media wydawały się być najmniej wiarygodne. W końcu wielu z ich właścicieli znajdowało się na listach osób należących do tej czy innej „tajnej” organizacji bądź bractwa.

Skala, jaką przybrało całe wydarzenie, przerosła umysł niejednego analityka. Wszystkich bulwersowało jednak to, że organy władzy do dziś nie wszczęły śledztwa w sprawie zamachu. Minęło ponad sześćdziesiąt dni, a tu

ani śladu jakiegokolwiek komisji.

Po zatonięciu Titanica komisja śledcza zebrała się w sześć dni. W sprawie Pearl Harbor śledztwo zostało wszczęte w ciągu dziewięciu dni. Po zamachu na JFK niespełna siedem dni zajęło wdrożenie wszelkich procedur i postępowań [64].

W sieci krążyły pogłoski, że burmistrz Nowego Jorku nakazał wywozić gruz z WTC na zagraniczne wysypiska. Po co? I czemu miało to służyć? To było miejsce zbrodni. Zimnego i wyrachowanego mordu, ludobójstwa dokonanego na narodzie amerykańskim. Ruszanie tam czegokolwiek, nie mówiąc o wywożeniu, wykluczało już, z samego założenia, dobro przyszłego śledztwa. Graniczyło z zacieraniem śladów, a nie koniecznymi remontami.

Aleks nie dziwił się, że w związku z takim, a nie innym zachowaniem władz powstają różne teorie na temat zamachu.

Nie byli winni wydarzeń z jedenastego września, to się nimi staną, pomyślał.

Szybko znalazł Behemian Grove, wystarczyło wygooglować nazwę. W przeglądarce występowała w dziesiątkach odmian. Jednakże wszystkie jej definicje łączył jeden wyraz: „tajne”. Jedni internauci pisali, że to „tajne stowarzyszenie”, inni twierdzili, że to „tajny związek okultystów”, kolejni, że to „tajni spadkobiercy” zakonu templariuszy. Cathalowi wystarczyło to, co powiedział Dex: „...są czymś w rodzaju «najwyższej rady»”. Słowo „rada” padło także z ust Omara.

– Zawsze wam mówiłem, ale nigdy mnie nie słuchaliście – z pokoju obok dobiegł go głos Booma.

– Słuchaliśmy cię tyle, ile mogliśmy wytrzymać – usłyszał głos Socja. – Ty nas po prostu zdręczałeś tymi swoimi wywodami o nazistowskim ufo, o spiskach bankierów i o tym, że rozpylają na nas z nieba jakieś paskudztwo.

– Nawet teraz szydzisz. Twój pusty śmiech nic dla mnie nie znaczy. Ty i Zachoczi zawsze szydziliście. Wynikało to z waszej niewiedzy i ignorancji.

– Kto to jest Zachoczi? – zapytała Grace.

– Zachoczi to twój kapitan, to Cathal. Dostał taką ksywę, jak kiedyś po pijaku udawał samuraja. Samuraj nazywał się Zatoichi [65], ale Cathal był tak narąbany, że zamiast Zatoichi wymówił Zachoczi i tak mu już zostało – powiedział Socjo.

– A wasze nicki, czy jak to zwać, skąd się wzięły?

– Mój – odparł Boom – wziął się stąd, że jestem specjalistą od sprzętu elektronicznego i materiałów wybuchowych. Robię bum. Czasami wołają też na mnie „Małe”. A Socja od socjopaty. Wiesz, taki gość, co wszystko i wszystkich ma w nosie. Nie potrafi się przystosować do życia w grupie. Jednym słowem, odmieniec.

Do pokoju wszedł Cathal.

– Właśnie odebrałem zaskakującego e-maila – powiedział. – Wiedziecie, jaki mam adres. Jest łatwy do znalezienia, właściwie nie trzeba go szukać. Wystarczy znać imię i nazwisko. Boom zapewniał mnie, że dzięki jego urządzeniom jestem nie do namierzenia. To znaczy skąd i gdzie odbieram wiadomości.

– To, że ktoś ci wysłał wiadomość, nie znaczy, że cię namierzył, geniuszu – odpowiedział Boom.

– To wiem. Chodzi mi tylko o treść tej wiadomości. Posłuchajcie! – Podniósł trzymaną w ręce kartkę papieru i zaczął czytać: – „Poznaliśmy się na South Street 22a. Jeśli jesteś tym Cathalem Tasuilem, to wiesz, o czym piszę. W odpowiedzi podaj słowa, które wtedy do ciebie powiedziałem, oraz miejsce, gdzie się rozstaliśmy. Jeśli nie jesteś prawdziwym Cathalem, usuń tę wiadomość”.

– To pułapka – powiedziała Grace. – Wysłali to ludzie, którzy próbowali nas zabić.

– Niekoniecznie – odparł Tasuil. – Przesłuchującym mnie agentom nie powiedziałem nic na temat osoby, która mnie wyciągnęła z dziupli Omara. Nie powiedziałem też, że nieznamy mnie opatrzył i zostawił na parkingu. Tylko on i ja znamy całą prawdę o tym, co zaszło na South Street. Myślę, że mój wybawca szuka kontaktu ze mną.

– Bzdety – powiedział Boom. – Niby skąd miałby wiedzieć, że nie wspomniałeś o nim agentom?

– Nie wiem, może dotarł do protokołu przesłuchania. Nie mam zielonego pojęcia.

– Ja myślę, że gość chce się z tobą skontaktować – stwierdził Socjo. – Opowiadając nam o całej tej rozróbie, powiedziałaś, że Omar zabrał wam dokumenty. Ani agencja, ani policja ich nie znalazła. Zarówno twoich dokumentów, jak i Skya. Tak?

Cathal skinął głową.

– To on musi mieć te dokumenty, bo inaczej skąd by znał twoje nazwisko? – ciągnął Socjo. – Chyba mu się nie przedstawiłeś, leżąc postrzelony i wyglądając jak na wpół zgniła śliwka?

– Nie! Powiedziałem tylko, że jestem agentem DIA.

– Wszyscy, którzy go szukają, znają jego nazwisko – powiedziała Grace, siadając koło Booma.

– Dobrze mówi! – odparł Boom.

– W takim razie po co żąda od Cathala słów, które do niego powiedział? Tylko on i Tasuil je znają – rzekł Socjo, unosząc ręce w górę na znak zwycięstwa. – Moje argumenty są nie do odparcia! Przyznajcie to!

– To proste – odparł Boom, łykając kolejną łyżkę makaronu z sosem i głośno mlaskając. – Kamery przemysłowe. Mają nagrania z kamer.

– Wiem, jak można sprawdzić, czy gość, który do mnie napisał, jest tym, który ma moją odznakę.

– Jak? – zapytała równocześnie pozostała trójka.

– Po pierwszym dniu służby w DIA pokazałem Susan nową odznakę z legitymacją. Wiecie, pochwaliłem się. Potem położyłem ją na stole i poszedłem zaparzyć kawę. Kiedy wróciłem, Su majstrowała coś pilniczką do paznokci przy odznace wypiętej ze skórzanego futerału. Zanim ją jej zabrałem, zdążyła z tyłu wydrapać wyraz „drogi”. Pewnie chciała napisać coś, co pasowałoby do skrótu DIA. Jeśli gość jest, że tak powiem, prawdziwy, a nie podstawiony, powinien o tym wiedzieć lub się dowiedzieć. Wystarczy, że odepnie zatrzask i zobaczy napis.

– Sprawdźmy go – powiedziała Grace, wstając. – Zażądajmy od niego dowodu, dając mu w zamian nasze.

– To wam tylko pozwoli stwierdzić, że facet faktycznie ma legitymację Cathala. Tylko tyle! – stwierdził Boom, tłukąc łyżką po talerzu, z którego próbował wybrać resztki makaronu z sosem.

– Boom, myślałeś kiedyś o zamontowaniu tłumika do łyżki? – zapytał Socjo.

– Nie, a po co? – odparł zdziwiony Boom.

Socjo bezradnie machnął ręką i ruszył za Grace i Cathalem do pokoju, w którym stał komputer.

„Zostawiłeś mnie na parking, opartego plecami o samochód, mówiąc:
Będziesz żył, agencie DIA... Ty masz już pewność, że pisze do ciebie ten

właściwy Cathal Tasuil. Niestety ja nie jestem pewny, że jesteś człowiekiem, który na South Street uratował mi życie. Udowodnij to”.

– Tyle chyba wystarczy, nie? Grace przytaknęła ruchem głowy.

– Dla mnie bomba – powiedział Socjo, kładąc dłoń na myszce i wciskając „wyślij”. –

Teraz możemy tylko czekać.

Nie czekali. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Na ekranie monitora był tylko jeden wyraz: „drogi”. Cathal odpowiedział: „Wierzę ci”.

Po chwili komputer wyświetlił treść kolejnego e-maila. Był to ciąg liczb z dopiskiem: „Bądź”.

– Co to za liczby? – zapytała Grace.

– Data, godzina i współrzędne miejsca spotkania.

MOLO W SAN RAFAEL, KALIFORNIA

Dwa feniksy

Dzień zapowiadał się pochmurno i deszczowo, ale, jak to bywa nad oceanem, pogoda zmieniła się szybko. Tym razem szary poranek przeobraził się w słoneczne, ciepłe popołudnie. Na miejsce spotkania z nieznanym dotarli trzy godziny przed czasem. Pozwoliło im to na rozejrzenie się po terenie i przygotowanie planu. A plan był prosty. Grace czekała w samochodzie zaparkowanym nieopodal kei. Boom w motorówce, którą wcześniej wynajęli, udawał, że coś grzebie przy silniku. Socjo rozsiadł się wygodnie na ławeczce i wystawił twarz do słońca. Przez ciemne okulary bacznie obserwował okolicę. Cathal wolnym krokiem chodził trasą od motorówki do ławki, przyglądając się przycumowanym do molo jachtom

i spacerującym wczasowiczom. Żałował, że z Su nigdy nie znaleźli czasu, aby wybrać się do Kalifornii, wynająć niedrogi bungalow i spędzić miło parę dni, chodząc po plaży i odwiedzając nadbrzeżne tawerny.

– Powinieneś przyjść sam – usłyszał kobiecy głos za swoimi plecami.

Nie zdążył się odwrócić. Kobieta jedną ręką wzięła go pod ramię, zaś drugą rękę, z pistoletem, wysunęła na chwilę spod szerokiego ponczo i zaraz ją schowała.

– Pokręć głową, jakbyś mi odmawiał – powiedziała, kierując go w stronę najbliższej zacumowanego jachtu. Cathal posłusznie wykonał polecenie, jednocześnie wciskając ręką przycisk cichego alarmu.

Socjo jak wystrzelony z procy poderwał się z ławki. Rozpychając przechodniów, rzucił się biegiem w ich stronę. Miał do przebiegnięcia niespełna trzydzieści metrów. Kobieta zauważyła go przez krzyki ludzi, których potrącał niczym kręgle. Wepchnęła Tasuila na rufę najbliższego jachtu, wskakując zaraz za nim. Ten ruszył całą mocą swoich potężnych silników, zalewając molo spienioną falą. Boom popłynął wzdłuż molo, omijając zakotwiczone żaglówki. Socjo wziął niewielki rozbieg i przelatując w powietrzu ponad dwa metry, wylądował w motorówce.

– Za nimi! – krzyknął.

Boom przekręcił do końca manetkę gazu. Po pięćdziesięciu metrach pościgu zrezygnowali.

– Nie damy rady ich dogonić. Ten jacht ma ze dwa silniki maybacha – powiedział Boom.

– My też mamy dwa!

– Tak, ale nasze są chińskiej firmy „Wruuum”.

– Do jasnej, ciasnej, piorunistej, ognistej! – przeklinał Socjo.

Cathal patrzył, jak motorówka Booma zostaje w tyle, za jachtem, podskakując na falach kilwaternu niczym lupina orzecha.

– Proszę po schodkach na górę – powiedziała kobieta, wskazując mu kierunek pistoletem. Weszli na mały mostek kapitański. Mężczyzna, trzymający koło sterowe, które bardziej przypominało kierownicę bolidu formuły pierwszej niż tradycyjne stery, odwrócił się.

– Witam, kapitanie – powiedział, rzucając w stronę Cathala legitymację

DIA.

– Nie jesteś tym, którego spotkałem na South Street – odparł Tasuil.

– Jestem – powiedział Sterben, ustawiając automatycznego pilota.

– Niech pan usiądzie – zaproponowała Yeonrin, chowając pistolet. – Napije się pan kawy, herbaty, a może drinka?

– Poproszę drinka. Wszystko jedno co, byle mocne – powiedział Cathal, siadając na skórzanym fotelu.

– Od naszego ostatniego spotkania mój wygląd faktycznie uległ zmianie. Podyktowane to było względami bezpieczeństwa. Ludzie, którzy nas ścigają, nie odpuszczają, póki nie będziemy martwi.

– Chodzi panu o ludzi Rady?

– Aleks, mam na imię Aleks.

– Cathal – powiedział Tasuil, ściskając dłoń rozmówcy.

– Pański drink – wtrąciła Yeo.

– Nie zdążyłem ci jeszcze przedstawić Yeonrin – powiedział Sterben, biorąc ją za rękę. – Ona także jest powierniczką naszej sprawy i najlepszą znawczynią Pana.

– Pana?

– Pan rządzi Radą Kuźni – odparła Yeo. – Myśleliśmy, że wiesz, skoro e-maila odbierałeś w Santa Rosa. To miasteczko jest rzut beretem od Behemian Grove, ich głównej siedziby.

– Skąd wiecie, że właśnie tam odebrałem pocztę?

– Magia – odparł Sterben. – A tak naprawdę miałeś w e-mailu ukryty plik, który pozwolił nam cię namierzyć.

– Skoro wy mogliście mnie znaleźć, to ludzie Kuźni też!

– Nie sądzę, aby moi znajomi z GRU ^[66] dzielili się z nimi tego typu plikami. Nawet z tym programem ciężko cię było namierzyć. Dobrze się zabezpieczyłeś. Nie zaszkodzi jednak ich ostrzec i poinformować, że jesteś bezpieczny.

– Lepiej będzie, jak ja zadzwonię. Będę spokojniejszy, oni zresztą też.

Cathal wybrał numer Grace. Zanim zdążył się odezwać, usłyszał w słuchawce głos porucznik:

– Dzięki Bogu uciekłeś! Wiedziałałam, że ci się uda.

– Grace, uspokój się. Nie uciekłem. Daj mi Booma albo Socja do telefonu.

– Socjo prowadzi, jedziemy na ładowisko... dam ci Booma.

– Tak? – powiedział Boom.

– Komputer jednak jest do namierzenia. Właśnie się o tym przekonałem. Musicie uważać, bądźcie ostrożni. Ja jestem – spojrzął na Yeonrin i Aleksa – wśród przyjaciół. Nic mi nie grozi.

– OK – odparł Boom. – Właśnie jechaliśmy na lotnisko wynajęjąc helikopter. Niestety, corvetta Socja nie umie pływać. Tą łupinką nie mieliśmy szans z tym ścigaczem. Wybacz.

– To nawet lepiej. Dzięki temu tylko zyskaliśmy, Małe.

– Jak zmienimy metę, skontaktuję się z tobą. Długo cię nie będzie?

– Nie mam pojęcia. Jak będziecie po przeprowadzce, dajcie znać.

– Zrozumiałem – powiedział Boom, rozłączając się.

– Załatwione. – Cathal położył telefon na stole i zwrócił się do Aleksa: – Jaki masz plan? Skontaktowałeś się ze mną w jakimś celu? Chyba już nadszedł czas, bym go poznał.

Boom, oddając telefon Grace, powiedział:

– Jest bezpieczny, nic mu nie grozi.

– Skąd wiesz, może musiał tak powiedzieć? – Socjo zatrzymał samochód na poboczu.

– Użył tajemnego słowa klucza – odparł Boom.

– Boom, co ty pieprzysz, że tak powiem?! Jakiego tajemnego słowa klucza?

– Powiedział do mnie „Małe”.

– A, no chyba że tak. No to wracamy do Santa Rosa. – Socjo nawrócił samochód i ruszył z piskiem opon.

– Wracamy, ale musimy uważać. Myliłem się, kompa można namierzyć. Wybawca-porywacz Cathala tego dokonał.

– Wiedziałem, że coś spartolisz.

– Może mi któryś wytłumaczyć, skąd pewność, że Cathal jest bezpieczny?

– spytała Grace.

– Mówiłem już, użył tajemnego słowa klucza – odparł Boom.

Grace zaczęła go szczypać w odsłonięte, muskularne ramię, po czym powiedziała:

– Mów, mów. Inaczej będę cię szczypać, aż dostaniesz raka.

– Chodzi o to – zaczął Boom, chwytając ją za dłonie – że kiedyś ustaliliśmy między sobą tajny język. Zrozumiały tylko dla naszej trójki. W nim słowo „małe” oznacza bezpieczny. Zrozumiałaś? Łatwo je wpleść w wypowiedź, na przykład małe zamieszanie, małe problemy, małe co nieco, małe... i tak dalej.

– Za dwadzieścia minut będziemy w Santa Rosa – przerwał mu Socjo. – Musimy się przygotować na najgorsze, może już tam na nas czekają czarne, złe ludy Rady.

– Nawet jeśli, to spotka je niemiła niespodzianka. W domu i wokół niego zostawiłem im małe co nieco – z zadowoleniem powiedział Boom.

Nie zdołali podjechać pod dom. Drogę blokowała im szeroka, żółta taśma bezpieczeństwa, przywiązana do latarni po jednej stronie ulicy, a po drugiej do wozu strażackiego. Socjo zatrzymał samochód zaraz przy krawężniku. Odbezpieczył pistolet i wsunął go z tyłu, za szeroki, skórzany pasek. Wysiadając, od razu wyczuł w powietrzu mocny zapach kordytu. Porozumiewawczo skinął do Booma. Ten schylił się, spod siedzenia wyjął karabinek M5 i położył go sobie na kolanach. Widział, jak Socjo, omijając gapiów, podszedł do policjanta stojącego na ulicy. Chwilę z nim rozmawiał. Potem wmiszał się w tłum, znikając Boomowi i Grace z oczu.

Chodząc między ludźmi, zgromadzonymi na ulicy przed domem, przysłuchiwał się ich rozmowom. Większość mówiła, że zanim dom rozpadł się na kawałki, w powietrzu było słychać głośny syk, a dopiero potem odgłos eksplozji. Elementy domu, rynny, dachówki i nadpalone kawałki

mebli były porzucane w promieniu ponad pięćdziesięciu metrów. W miejscu, w którym stał dom, został jedynie głęboki lej.

Socjo wrócił do samochodu.

– „Zabili” nasz dom rakiętą wystrzeloną z drona lub samolotu – powiedział, zamykając drzwi corvetty. – Oficjalna wersja dla prasy jest taka, że chałupka rozpadła się z powodu wybuchu gazu.

– Kolejna niewinna ofiara tych nieudaczników – rzekł Boom.

– Co teraz? – zapytała Grace. – Cały sprzęt, dokumentacja Cathala i moje ubrania przepadły!

– Teraz pojedziemy na zakupy. Kupimy ci nowe ubrania. Potem gdzieś przycupniemy i zadzwonimy do Cathala.

Po tym, co usłyszał od Dexa i teraz od Aleksa, świat mu się skurczył, stał się dużo mniejszy. Zmienił się w labirynt pełen pułapek, z którego jedynym wyjściem była śmierć. „Rząd Cieni” ze swoimi mackami, takimi jak Rada Kuźni z Behemian Grove, Grupa Bilderberg czy Projekt dla Nowego Amerykańskiego Wieku, sterował całymi narodami i państwami, opierając się na jednym schemacie, składającym się z problemu, reakcji i rozwiązania. Wprowadził politykę napięcia, dzięki której zastraszeni ludzie szli za nim niczym owce za pasterzem, z tą różnicą, że pasterz prowadził ich w przepaść. Za pomocą takich ludzi jak Aleks realizował swoje plany. Nie winił go za zamach z jedenastego września. Dostarczając im pociski typu Granit, nie miał pojęcia, do czego będą służyć. On sam był jedynie narzędziem, małym trybem w maszynie Nowego Porządku Świata.

Obaj zgodzili się, że zabicie Pana nie załatwi sprawy. W jego miejsce pojawi się nowy Pan, może jeszcze bardziej bezwzględny w dążeniach do władzy. Dlatego postanowili, że uderzą dwudziestego czwartego grudnia, w dzień Wigilii Bożego Narodzenia. Wtedy w Behemian Grove będzie większość jego członków, zgromadzonych na rytuale Palenia Trosk. Nie liczyli na to, że uda im się zabić wszystkich, po prostu chcieli spowodować u nich jak największe straty. Straty, które zapewne po jakimś czasie odbudują, ale chociaż spowolnią ich działania.

Delikatne pukanie przerwało jego rozmyślenia. Yeonrin, uchylając drzwi kajuty, zaprosiła go na kolację.

W saloniku za stołem siedział już Aleks. Na jego widok wstał.

– Zapraszam – powiedział, wskazując mu miejsce naprzeciw siebie.

– Dziękuję – odpowiedział Cathal.

– Zanim zaczniemy kolację, chciałbyśmy z Yeonrin przekazać ci pewną rzecz. Z tego, co mi opowiedziałeś, wynika, że ten człowiek był twoim przyjacielem – mówiąc to, Aleks wręczył mu odznakę strażacką Skya. Cathal chwilę trzymał ją w ręce, po czym schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Był dobrym i uczciwym człowiekiem. Jego rozum mieścił się w sercu, a serce miał ogromne – powiedział Tasuil, siadając.

Koreańskie dania przygotowane przez Yeonrin smakowały wyśmienicie.

Zwłaszcza kimchi . Było smaczne, delikatne, jednak po przełknięciu czuć było w gardle ostre pieczenie. Niwelowali je półwytrawnym białym winem.

Po dwóch godzinach i paru butelkach wina atmosfera przy stole stała się lżejsza. Zniknęła wzajemna podejrzliwość i ta odrobina niechęci, którą Cathal żywił do Aleksa jako najemnika.

– Więc twierdzisz, że nie było żadnych samolotów? Przecież wszyscy widzieliśmy, jak boeingi uderzają w wieże – powiedział Cathal.

– Nie twierdę, że wiem, jak było. Mówię ci tylko, jak to wyglądało według moich danych. W WTC walnęły rakiety Granit, które wcześniej wykradłem z zatopionego Kurska. Tę wycelowaną w Pentagon odpalili z Nosiciela, pozostałe dwie z ruchomych wyrzutni, prawdopodobnie gdzieś w pobliżu Nowego Jorku. NORAD nie miał czasu na reakcję. Wszystko trwało góra parę minut. Samoloty to fotomontaż, tak twierdzą Rosjanie. Wszystko, co widzieliśmy, to jedna wielka bujda. Granity lecą z sześciokrotnie większą prędkością niż dźwięk. Ludzkie oko nie jest w stanie ich dostrzec.

– Co z zestrzelonym samolotem?

– To kolejna mistyfikacja. Potrzebna do dodania większego dramatyizmu. Rada Kuźni chciała tym samolotem wyczuć, co robi rząd USA. Jak daleko się posunie dla utrzymania władzy – odparł Aleks.

– Popatrz tutaj – zwróciła się do Cathala Yeonrin, odwracając ekran laptopa. – BBC London nieco się pośpieszyło ze swoją relacją na żywo. Wręcz wykazało się jasnowidztwem. Zwróć uwagę na godzinę widoczną u dołu ekranu i na to, co jest za plecami reporterki.

Cathal uważnie wpatrywał się w ekran. Na scrollingu, u dołu ekranu, widniała godzina siedemnasta dziesięć. Za plecami reporterki wyraźnie było widać budynek WTC 7, którego zawalenie się właśnie komentowała [68] .

– Zaraz obok masz zakładkę z kolejnym filmem. – Yeonrin wstała, aby pokazać mu, gdzie ma kliknąć. – Popatrz na licznik czasu umieszczony obok obrazu walącej się wieży. Budynek osuwa się z prędkością swobodnego opadania, tak jakby żadne piętra pod tymi, które spadały z góry, nie istniały. Jakby nic nie stało im na przeszkodzie. Po potężnym rdzeniu wieży nie ma śladu. A takich kwiatków jest więcej i będzie coraz więcej. Ludzie nie są tacy głupi, jak im się wydaje – powiedziała Yeonrin, zamykając laptopa. – Dwudziestego czwartego grudnia, jeśli wszystko pójdzie dobrze, obetniemy jeden z łbów hydry, potem zajmiemy się następnym.

– Macie już jakiś plan? – spytał Cathal.

– Za kilka dni dostanę zdjęcia satelitarne kompleksu Behemian Grove – odparł Aleks.

– Dostaniesz je od Rosjan?

– Tak.

– Czemu oni się w to angażują?

– Oficjalnie się nie angażują i nigdy tego nie zrobią. Pomagają mi starzy znajomi, którzy kiedyś służyli w KGB czy Stasi. Rozumiesz... przysługa za przysługę. Ponadto wydaje mi się, że ich dzisiejsi szefowie, a może już byli, też mają w tym interes. Myślimy z Yeonrin, że hydry są dwie. Jedna tu, w Stanach, i Europie Zachodniej. Druga w Rosji i Chinach. Od czasu zakończenia zimnej wojny obie bestie siłują się ze sobą na arenie świata. Niczym zawodnicy sumo przepychają się na niej, walcząc o każdy skrawek terenu. Teren to złoża naturalne. Ropa, węgiel, rudy metalu czy łupki gazu. Każda z nich chce zawłaszczyć je dla siebie, bo są przyszłością. Tylko patrzeć, jak dojdzie do kolejnych konfliktów. Czy to w cieśninie Ormuz, Syrii, Iranie czy na wschodnich terenach Ukrainy.

– Musimy to zakończyć – powiedział Cathal, dopijając kieliszek wina.

– I zakończymy – odparła Yeonrin.

Dźwięk dzwoniącego telefonu Tasuila przerwał ich rozmowę. Cathal wstał od stołu, mówiąc „przepraszam”, i wyszedł na rufowy pokład jachtu. Po paru minutach wrócił.

– Nie mam dobrych wiadomości. Namierzyli naszą metę i rozpieczętowali ją w drobny mak. Sprzęt, dokumenty i ostatnie nasze pieniądze przepadły.

– Jutro będziemy tutaj. – Sterben wskazał na ekranie monitora punkt u wybrzeży Kalifornii. – Przekaż swoim ludziom, żeby tam czekali. Odbierzemy ich stamtąd. Pieniężmi się nie martw. Mamy ich wystarczająco na naszą krucjatę. Widzisz, jest coś, o czym ci jeszcze nie powiedziałem. Znam pewne miejsce, gdzie jest zakopany skarb – powiedział Sterben, puszczając do niego oczko.

Miecz Damoklesa

Pan siedział, wpatrując się w ogień płonący w kominku. Ostatnie raporty bardzo go zaniepokoiły. Były agent DIA, Cathal Tasuil, był w pobliżu Behemian Grove. Przynajmniej tak zapewnili go jego ludzie po tym, jak po raz kolejny namierzali w sieci IP komputera, na którym odbierał pocztę. Wcześniej namierzali je wielokrotnie, ale wszystkie miejsca, do których wysyłał grupę likwidacyjną, okazywały się strzałem w próżnię. Lokalizacje te nieraz oddalone były od siebie o setki kilometrów. Żaden człowiek nie mógł się przemieszczać z taką prędkością lub być w paru miejscach jednocześnie.

Współrzędnych ostatniego namiaru nie mógł zbagatelizować. To miejsce było zbyt blisko, co stwarzało dla niego bezpośrednie zagrożenie. Dlatego kazał je zniszczyć rakietą wystrzeloną z drona. Ale wiedział, że nie może wysadzać w powietrze każdej lokalizacji, którą podają mu jego ludzie. Kolejny rozkaz zbombardowania jakiejś budy położonej na uboczu nie wpłynie dobrze na jego pozycję.

Po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat poczuł się bezradny. Ta bezradność go denerwowała i niepokoiła. Pierwsze, co zrobił, to kazał wzmocnić strażę w Behemian Grove, ale nie miał pewności, czy po tym, co zaszło w domu dziennikarza Jonesa, na coś się to przyda. Trzech jego ludzi nie dało rady agentowi, który dzień wcześniej wyszedł ze szpitala. Nie było dobrze. Zbyt wiele problemów, takich jak zniknięcie Sterbena, Yeonrin i Omara, pozostawało nierozwiązanych.

To wszystko minie po rytuale, pomyślał. W końcu nie na darmo zwie się Paleniem Trosk.

Sierra de Perijá, obóz szkoleniowy, pogranicze wenezuelsko-kolumbijskie

W drogę

Omar był zadowolony ze swoich ludzi. W porównaniu z tymi europejskimi mięczakami z ETA [69] jego chłopaki byli o niebo lepsi. Szybsi, zwinniejsi, a przede wszystkim zaprawieni w boju. Jego oddział liczył piętnastu ludzi podzielonych na trzy zespoły, po pięciu w każdym. Grupy były tak złożone, że mogły samodzielnie przetrwać na polu walki. Składały się z wyszkolonych specjalistów z zakresu łączności, zwiadu elektronicznego, snajperów i szturmowców. Za sprawą prezidenta Hugo Shaveza [70] byli wyposażeni w sprzęt najnowszej generacji.

Przeszło miesiąc przygotowywali się do akcji, poznając tereny otaczające Behemian Grove. Rozkład budynków, trasy patroli znali na pamięć. Jakiegokolwiek braku w danych o siedzibie Pana mieli uzupełnić na miejscu. Będą tam na tydzień przed datą ataku. Atak nastąpi dwudziestego czwartego grudnia. Ludzie Omara jednym ciosem zadadzą dwa uderzenia. Pierwsze wymierzone w chrześcijańskie święto, drugie w okultystyczne misterium Palenia Trosk.

– Uważajcie z tymi skrzyniami, to delikatny sprzęt, a nie worki ziemniaków! – krzyknął do ludzi zajmujących się załadunkiem. – Będziecie tak nimi rzucać, to w Maracaibo nie będzie czego rozładować.

Spojrzał na mapę, jeszcze raz studiując marszrutę. Z Maracaibo dostaną się statkiem do miejscowości Corpus Christi na południu Teksasu. Stamtąd przez El Paso, Phoenix i San Francisco do Santa Rosa. Tam założą bazę i tam będzie ich punkt dowodzenia.

Przełożeni Omara nie byli zadowoleni z pomysłu ataku na Behemian Grove. Nie chcieli, aby na przestrzeni trzech miesięcy miało miejsce kolejne uderzenie na terenie Ameryki. Udało mu się ich przekonać słowami, że teraz, po jedenastym wrześniu, co by się nie stało złego na świecie, to i tak będzie to przypisane Arabom, tak samo jak powiązano z nimi, niesłusznie, uderzenie w WTC. Ponadto powinni ukarać śmiercią niewiernych, którzy

w tak bezwzględny i bezczelny sposób z nimi pogrywali, dając innym do zrozumienia, że Armia Świętej Wojny nie będzie psem posłusznie wykonującym polecenia obcych mocodawców, podających się za orędowników islamu.

Wsiadł do jeepa, kazał kierowcy jechać za dwiema załadowanymi ciężarówkami. Pierwszy etap operacji właśnie się zaczął.

Transakcja

Z San Francisco do Nowego Jorku przylecieli wieczornym lotem. Na fałszywe papiery wynajęli furgonetkę w lotniskowej wypożyczalni. Zdjęcie zabezpieczeń pozostawionych przez Sterbena i przeladunek złota w starej, opuszczonej kopalni zajęły im ponad trzy godziny. Zmęczeni, ale zadowoleni ruszyli od razu w drogę do Ashley. Prowadząc samochód na zmianę, w ciągu niespełna dwóch dni dotarli w poblizłe miejsce transakcji.

– Nie wierzyłem, że nam się uda przewieźć pół tony złota do Utah.

– Właściwie to pogranicze między Wyoming a Utah – odparł Sterben, bawiąc się papierośnicą.

– Ile tam tego mogło jeszcze zostać?

– Około dwóch, może trzech ton.

– Masz pewność, że nasi kontrahenci nas nie wykołują?

– Takiej pewności nigdy się nie ma przy transakcji opiewającej na ponad siedem milionów zielonych. Z tego, co mówił człowiek, który mnie z nimi skontaktował, wynika, że ich cel jest zbieżny z naszym.

– Też chcą wykończyć Behemian Grove?

– Też, ale nie takimi środkami jak my. Oni wolą bardziej pokojowe metody. Na światowych giełdach lokują potężne zasoby finansowe, którymi starają się przeciwdziałać ekonomiczno-politycznym interesom takich organizacji jak Behemian Club czy Grupa Bilderberg. Sami siebie nazwali Actus Meritorius, co można przetłumaczyć jako, hmm, czyn chwalebny.

– To kościelna organizacja?

– Raczej nie. Z tego, co mi wiadomo, to stowarzyszenie osób wyznających różne religie i należących do różnych kościołów. Łączy ich jeden cel. Walka ze złem tego świata, w jakiegokolwiek by ono nie było postaci.

– Już mi się podobają.

– Mi nie. Na wszelki wypadek zamontowałem między sztabami ładunek wybuchowy.

Wystarczy, że wcisnę ten zatrząsk – wskazał Tasuilowi przycisk na papierośnicy – a ciężarówka wyleci w powietrze. Biorą nasz towar za

połowę ceny. Dla nich to czysty zysk. Mam nadzieję, że nie będą chcieli go podwoić.

– Robiłeś z nimi interesy już wcześniej?

– Namiary na nich dostałem od pewnego księdza, jak byłem z Yeonrin na Kubie. To za jego pośrednictwem sprzedałem tę część złota, którą przeladowałem w kopalni razem ze Brunnenem i jego siostrzeńcami. Szczerze mówiąc, nie mam pewności, że odkupującym była organizacja Actus Meritorius.

– Możesz ufać Brunnenowi?

– Od upadku muru berlińskiego i rozwiązania Stasi przez parę lat włączyliśmy się razem po świecie. Potem, kiedy on osiadł w Stanach, przy siostrze, nasze drogi rozeszły się, ale zawsze byliśmy w kontakcie. Wspólnie przeżyte lata scementowały naszą przyjaźń. W końcu staliśmy się jak bracia, którzy żyją własnym życiem, ale zawsze pamiętają jeden o drugim – powiedział Sterben, włączając swój nadajnik pozycyjny, który miał zamontowany przy klamrze paska. – Czas na ciebie. Na ekranie masz moją pozycję. Za dziesięć minut ruszę. Miejsce wymiany jest mniej więcej tutaj – pokazał Cathalowi dolinkę na mapie. – Musisz tam być, zanim wszystko się zacznie. Zajmij na północnym zboczu dogodną pozycję. Jak zobaczysz, że wyciągam papierosa, wal, ile wlezie. Nie patrz na to, czy strzelasz do buddyjskiego mnicha, czy do siostry zakonnej.

Tasuil, z karabinem przewieszonym przez plecy, wbiegł po stromym zboczu pagórka. Kiedy znalazł się na jego szczycie, usłyszał w słuchawce krótkie „Ruszam!” Sterbena.

– Zdążę – odparł, zerkając na moniterek pozycjonera zamontowanego na przegubie dłoni. Sterbenowi do miejsca transakcji pozostały dwie mile. Zsuwał się po przeciwległym zboczu pagórka. Odsunął głowę w bok, aby nie zahaczyć nią o gałąź, i wtedy kątem oka dostrzegł postać stojącą na wzniesieniu. Przeturlał się na bok, chowając się za pnem zwalonego drzewa. Przeczolgał się wzdłuż niego do kępy gęstych zarośli. Wiedział, że śledzący go człowiek, idąc za nim, będzie musiał koło niej przejść. Postać, ubrana w wojskową kurtkę i spodnie, z przewieszonym przez ramię karabinem, przystanęła parę kroków za kryjówką Cathala, rozglądając się dookoła. Tasuil wyskoczył z krzaków i kolbą uderzył ją w tył głowy. Bezwładne ciało sturlało się po zboczu. Cathal przykląkł, schowany za

najbliższym drzewem, i nasłuchiwał. Wokół panowała cisza.

– Aleks, jesteś tam? – zapytał, podchodząc do leżącego na ziemi nieprzytomnego człowieka.

– Tak.

– Właśnie ogłuszyłem jednego z Actus coś tam. Musiał mnie śledzić, odkąd wysiadłem z furgonetki.

W słuchawce panowała cisza. Sterben przez dłuższy czas nie odpowiadał.

– Podejdź do ciała i sprawdź jego broń – odezwał się w końcu.

Cathal podszedł do leżącego. Ostrożnie przewrócił go na plecy, przyglądając się twarzy i karabinowi nieprzytomnego.

– To jakiś młody szczył, może mieć góra dwadzieścia dwa, może trzy lata. Nie wiem, co to za broń. Pierwszy raz taką widzę. Prawie dwie trzecie lufy stanowi gruby tłumik. Podajnik magazynka ma montowany zaraz za mechanizmem spustowym.

– To ruski sprzęt o nazwie Wychłop. Uważaj, gdzieś może kręcić się jeszcze dwóch. Zabij go. Bez odbioru – powiedział Sterben, wciskając mocniej pedał gazu.

W dolince czekali już na niego ludzie z Actus Meritorius. Było ich trzech, ubranych niczym średniowieczni zakonnicy. Dwóch stało przy czarnym terenowym aucie. Trzeci wyszedł naprzeciw nadjeżdżającemu Sterbenowi. Aleks zatrzymał pojazd, ustawiając go bokiem, tak aby być osłoniętym od kierunku, z którego nadjechał. Wysiadł, wyciągając kluczyki ze stacyjki, i szybkim krokiem podszedł do zakonnika.

– Na ziemię! – krzyknął, rzucając i podcinając nogi mężczyźnie przed nim. Wstając, schwycił go za gruby, lniany kaftan i pociągnął w stronę swojej furgonetki.

Nie słyszeli odgłosu wystrzału, ale wiedzieli, że strzelec trafił. Najpierw dostał zakonnik stojący przy bagażniku terenowego auta. Siła pocisku była tak duża, że odrzuciła go na parę metrów. Drugi otworzył drzwi pojazdu, szukając za nimi schronienia, ale te nie mogły mu go dać. Kula wystrzelona z Wychłopa przebiła ich karoserię niczym papier, na wylot, wyrывая drzwi z zawiasów. Wczołgali się pod furgonetkę. Obaj jak na komendę wyciągnęli pistolety.

– To ludzie Pana? – zapytał zakonnik, ściągając kaptur.

– Nie, rodzina – odparł Sterben, odbezpieczając pistolet.

Na drodze, którą nadjechał Aleks, usłyszeli wycie silnika. Zza zakrętu wypadł jeep pędzący w ich stronę. Kierowca strzelał przez otwarte boczne okno. Pociski szybkostrzelnego karabinka dziurawiły furgonetkę. Sterben dokładnie wymierzył i oddał tylko jeden strzał. Pędzący jeep nagle skręcił i uderzył w drzewo.

Cathalowi nie udało się po pierwszym strzale zlokalizować miejsca, skąd strzelał snajper. Dopiero rozwiewający się po drugim wystrzale dym zdradził jego pozycję. Był pięćdziesiąt metrów na prawo. Leżał pomiędzy korzeniami przewróconego drzewa. Tasuil ruszył w jego kierunku, strzelając z biodra. Rój pocisków pomknął w stronę napastnika, ścinając gałęzie krzaków i zdzierając zeschniętą korę. Usłyszał głośny okrzyk bólu. Niechybny znak, że trafił. Podszedł bliżej. Snajper leżał na boku, wijąc się i jęcząc z bólu. Cathal strzelił mu w głowę. Odwrócił się i krzyknął:

– Czysto!

Sterben podszedł do wbitego w drzewo jeepa. Przez dziurę po szybie w zaklinowanych bocznych drzwiach spojrzał w twarz Brunna. Ten jeszcze żył i był przytomny. Obiema rękami uciskał ranę na klatce piersiowej.

– Wystarczyło powiedzieć – rzekł.

– Bliźniacy chcieli wszystko. – Przy każdym słowie z ust ciekła mu spieniona krew. – Mówiłem im, że to nie jest dobry pomysł, już wtedy, gdy nie potrafili znaleźć pułapek, które zostawiłeś.

– Czekaliście prawie trzy miesiące.

– Wiedzieliśmy, że kiedyś wrócisz – powiedział, krztusząc się krwią.

– Wróciłem, ale za wcześnie. Może jakbym to zrobił za rok lub dwa, to czekanie by się wam znudziło. Dostaliście pieniądze, jak tylko udało mi się sprzedać złoto na Kubie.

– To, co nam przesłałeś, to były zaledwie drobne w porównaniu z tym, co zostawiliśmy w kopalni. Dla takiej kasy czekali byśmy i sto lat.

– To się doczekales – powiedział, strzelając mu w klatkę piersiową na wysokości serca. Odwrócił się i podszedł do stojącego przy furgonetce zakonnik. Miał do zakończenia transakcję.

Mijała już druga godzina ich oczekiwania na ludzi z Actus Meritorius, których wezwał mnich. Ciała dwóch zabitych zakonników, Brunna i jednego z bliźniaków ułożyli na pace furgonetki, którą Sterben przywiózł złoto. Cathal poszedł zakopać pozostawione w lesie na zboczu ciało drugiego

bliźniaka. Oba pojazdy, ciężarówka Sterbena i ford zakonników, nie nadawały się do jazdy. Pociski wystrzelone przez Brunnena uszkodziły w furgonie opony i chłodnicę, a w fordzie akumulator i silnik.

– Żadne zwierzę nie zabija drugiego, jeśli nie musi – powiedział zakonnik wpatrzony w leśnego żuka, spacerującego po liściu. – Ludzie mordują się z chęci zysku, z miłości, nienawiści, z głodu, zemsty i wyznania. Z powodów, które po czasie okazują się błahostką.

– Tak już ten świat jest skonstruowany i my tego nie zmienimy – odparł Sterben, częstując mnicha papierosem.

– Rzuciłem to zaraz po wyjściu z wojska.

– Służył ojciec w wojsku?

– Jaki tam ze mnie ojciec. Mów mi Patryk. Właśnie zabiliśmy trzech ludzi i byliśmy świadkami śmierci dwóch innych. Myślę, że to pozwala nam mówić sobie po imieniu. W armii byłem przeszło sześć lat. Służyłem między innymi w Bośni. Byłem w siłach IFOR [\[71\]](#). Wystarczająco się tam napatrzyłem na to, do czego ludzie są zdolni. Jakich bestialstw są gotowi się dopuścić dla zaspokojenia żądzy władzy podstarzałych polityków, którzy wysyłają młodych chłopaków na wojnę, jakby im zazdrościli ich wieku.

– Masz rację, nic tak nie łączy ludzi jak wspólne zabijanie – odparł Sterben z ironią. – Bośnia to kraj, w którym sąsiad mordował sąsiada, brat strzelał do męża swej siostry, bo ten był Serbem, i na odwrót. Czasami myślę, że ludzie zasługują na to, co im zsyła ten świat.

– To jest moja ostatnia akcja w szeregach Actus Meritorius. Za trzy dni miałem wylecieć do Afryki na misję. Zadanie miało być czyste i łatwe, a tymczasem pięciu ludzi ginie, i to ginie dla pieniędzy, które miały im pomóc w zaspokojeniu żądz.

– Jak to mówią, chcesz rozśmieszyć Pana Boga, to powiedz mu o swoich planach.

– W tych torbach – Patryk trącił jedną czubkiem buta – masz ponad siedem milionów dolarów. Mam nadzieję, że przeznacysz je na słuszny cel. Ojciec Fernando, ten z Kuby, który dał ci namiary na nas, zapewniał mnie, że tak będzie.

Sterben wstał, rzucił niedopałek papierosa na ziemię i podszedł do

furgonetki. Otworzył pakę i wskoczył na nią. Po krótkiej chwili wyszedł z samochodu, trzymając w ręce zamontowany tam wcześniej ładunek

wybuchowy.

– To już nie będzie potrzebne – powiedział, rzucając go pod nogi Patryka. Ten uśmiechnął się i pochylił nad torbami. Pogrzebał w jednej, potem w drugiej, wyjmując dwie kostki C4 z zapalnikami.

– To też.

– Idziemy różnymi drogami, ale wiodą one do tego samego celu. Ja walczę ze złem jego własnymi sposobami. Ząb za ząb, oko za oko. To najprostszy sposób, aby go pokonać. Wasze i ich metody niczym się nie różnią. Za pomocą pieniędzy kupujecie tych, których oni jeszcze nie zdołali skorumpować.

– Może, ale to skuteczne i nie niesie ze sobą niepotrzebnych ofiar. Zdziwiłbyś się, ile ich niecnych zamiarów udało nam się powstrzymać. Wiele projektów ustaw, wiele umów handlowych, które sprzyjały ich planom, dzięki nam nie doszło do skutku.

– Już jadą! – krzyknął do nich Cathal, schodząc ze zbocza pagórka. – Dwa samochody. Osobówka i furgonetka.

Sterben opuścił szybę w bocznych drzwiach.

– Powodzenia w Afryce, ojciec Patryku!

Ten, wystawiając rękę z kabiny ciężarówki, pomachał mu na pożegnanie.

– Spodobał mi się ten młody zakonnik – powiedział Aleks, patrząc na Cathala.

Port dla jachtów, Santa Rosa

Socjo z Boomem pochylali się nad stołem, na którym leżały mapy i zdjęcia satelitarne przesłane przez Rosjan. Pomimo tego, że byli w porcie osłoniętym falochronem, jachtem mocno kołysało. Ocean tego dnia był wzburzony, ciemne chmury nad horyzontem zwiastowały bliskie nadejście sztormu. Cathala i Sterbena nie było. Wyjechali cztery dni temu „szukać skarbu”. Grace, złożona chorobą morską, leżała w swojej kajucie. Yeonrin była przy niej.

– Wejdziemy tędy – powiedział Boom, wskazując palcem główną bramę do Behemian Grove. – Na zdjęciach widać tylko dwóch strażników, trzeci pewnie siedzi w pozbawionej okien wartowni, na której daszku zamontowana

jest kamera.

– Ta wartownia wygląda jak mały bunkier. Ciężko będzie go tam ruszyć – odparł Socjo, pociągając głęboki łyk piwa z butelki. – Musimy go wywabić. Tylko jak?

– Coś wymyślę, może uda mi się zakłócić obraz z kamer. Wtedy wyjdzie.

– Ze zdjęć wynika, że główna brama jest najslabiej strzeżona. Reszta terenu dookoła jest zabezpieczona trzema pasami ogrodzeń. Każdy jest oddalony od drugiego blisko dwudziestoma metrami przecinki patrolowanej przez ludzi Pana. Założę się, że jest tam cała kupa min, cichych alarmów i kamer.

– Ta – zgodził się Boom. – Oficjalnie Behemian Grove to zwykły klub dla prominentów. Dlatego brama wjazdowa jest taka, jaka jest. To znaczy wyglądem nie różni się wiele od innych głównych bram w podobnych klubach. Nie może sprawiać wrażenia, jakby członkom Behemian Grove coś zagrażało. Ma im dawać poczucie bezpieczeństwa i pewność, że są chronieni.

– Jeśli uda nam się sforsować bramę, będziemy mieli jakieś trzy kilometry do głównego kompleksu budynków.

– Z tego, co mówił Aleks, rytuał co roku odbywa się tutaj – Socjo zakreślił flamastrem na wół okrągłą strukturę na mapie. – To amfiteatr. Na scenie przed postumentem sowy postawią ołtarz, na którym będą palić ludzkie kukły uosabiające troski. Pan, jako najwyższy arcykapłan, w masce imitującej głowę lwa, ma je podpalać osobiście. Reszta uczestników ubranych w togi, wiesz, takie jak uszyła nam Grace, w maskach zwierząt, będzie podziwiać spektakl z trybun.

– Skąd Sterben to wszystko wie?

– Powiedział, że parę lat temu miał okazję brać udział w obrzędzie.

– I co, poczuł się lepiej po spaleniu „trosk”?

– Tego już nie powiedział – roześmiał się Socjo. – Amfiteatr jest położony w lesie, z dala od części mieszkalnej klubu. Z tyłu, za nim, jest pole golfowe, a pomiędzy nim a kompleksem restauracyjnym lądowisko dla helikopterów. Od strony, z której my się zakradniemy cichaczem, jest las. To nam powinno ułatwić dotarcie do niego i podłożenie im małego bum.

– Tym razem to nie będzie takie małe bum. Chcę mieć pewność, że świat pozbędzie się jednej z największych doskwierających mu trosk.

– Tak czy inaczej, panie Boom, musimy się tam dzisiaj wybrać. I oblukać

to na własne oczy. Bez pracy nie ma kłaczy!

- Chyba kołaczy?
- Przecież mówię.

Wrócili nad ranem, zmarznięci i przemoczeni do suchej nitki, ale zadowoleni. Przeszło sześć godzin badali teren wokół pierwszego ogrodzenia Behemian Grove i bramy. Było tak, jak przypuszczali. Najłatwiej będzie im się dostać na teren klubu przez główny wjazd. Pozostałe warianty, przynajmniej na chwilę obecną, wydawały się dużo trudniejsze do realizacji. W saloniku na pokładzie jachtu, racząc się poranną kawą, siedzieli Cathal

i Sterben.

– I co, znaleźliście skarb? – zapytał Boom, zrzucając z siebie mokrą kurtkę.

– Nie musieliśmy go szukać – odparł Cathal. – Czekał na nas tam, gdzie ukrył go Aleks.

– Macie, to powinno was rozgrzać – powiedział Sterben, podając im szklanki z przezroczystym jak woda płynem. – Jak się udał rekonesans?

– Wejdziemy przez główną bramę. Potem z drogi, po przejechaniu około półtora kilometra, odbijemy na wschód, do amfiteatru. Tam zaczniemy nasze przedstawienie. Przebijanie się przez trzy pasy ogrodzeń jest niewykonalne. Już na pierwszym by nas wykryli. W cholerę kamer, strażników i Bóg wie co jeszcze tam może być – powiedział Socjo.

– Dobrze mówi – poparł go Boom.

– No to, panowie, czas przygotować listę potrzebnych nam zabawek – powiedział Cathal, otwierając sportową torbę, leżącą obok jego fotela, druga, podobna, była na stole.

– Ile tu tego jest? – zapytał Socjo, wpatrzony w wystające kupki banknotów.

– W obu torbach grubo ponad siedem milionów w używanych banknotach, więc nie ograniczajcie się w zamówieniu. Bierzcie towar z górnej półki, znajomi Aleksa dostarczą wszystko, co trzeba. Do dwudziestego czwartego grudnia zostało nam – Tasuil spojrzął na datownik zegarka z rzymską dziesiątką na cyferblacie – niespełna półtora tygodnia.

Parking przed centrum handlowym, Santa Rosa

Wracał do furgonetki z dwoma ludźmi z oddziału. Dopiero w czwartym sklepie zdobył taką jagnięcinę, jaką chciał. Prorok im sprzyjał. Czuł, że sam Allah im błogosławi.

Trasa z Maracaibo do Santa Rosa przebiegła bez najmniejszych zakłóceń. Bracia muzułmanie mieszkający w Stanach już się o to postarali. Jego ludzie byli zdyscyplinowani i oddani sprawie. Za wysiłek włożony w dzieło Allacha należała im się nagroda. Pozwolił im opuścić gospodarstwo Dzamila, którego byli gośćmi, i dał im wolne do wieczora. Potem mieli mieć krótką odprawę, na której po raz kolejny mieli powtórzyć cały plan akcji. Po odprawie ich gospodarz zaprosił ich na pieczenie przy ognisku jagnięciny, którą właśnie kupił. Omar pochwalał pomysł biesiady. Chwila relaksu podniesie morale oddziału i umocni ich więzy, czyniąc ich jeszcze bardziej groźnymi.

Otworzył tylne drzwi furgonetki. Z jej wnętrza wyskoczył mężczyzna, powalając go na ziemię i uderzając w głowę ręką pistoletu. Przez zakrwawione oczy dostrzegł, jak dwóch innych napastników wpycha na pakę samochodu ciała jego współtowarzyszy.

– Popraw mu. Jeszcze jest przytomny...

– Skąd masz pewność, że cię nie rozpoznał? – zapytał Boom, próbując wygodniej usiąść na tylnym siedzeniu corvetty.

– Nawet Cathal mnie nie rozpoznał, to tym bardziej on.

– To już trzeci sklep mięsny, do którego wchodzi. Czego oni tam szukają?

– zastanawiał się Socjo.

– Mięsa koszerne – odpowiedział mu Boom.

– Znowu wszystko pokićkałeś. Żydzi jedzą koszerne, nie Arabowie.

– Pewnie to Żydzi przebrani za Arabów – odrzekł Boom.

– Wsiedli z powrotem do furgonetki. Socjo, jedź za nimi, ale tak, żeby się nie skapowali – powiedział Sterben.

– Co zamierzasz? – zapytał Socjo, ruszając.

– Jeśli chcemy ich dopaść, to musimy to zrobić w mieście. Poza miastem

mamy dużo mniejsze szanse. Na prostej drodze od razu odkryją, że są śledzeni.

– Dopadnijmy ich, jak ponownie opuszczą furgon – zaproponował Boom.

– O ile opuszczą... – powiedział Sterben.

– Z ostatniego sklepu wyszli bez żadnych toreb. To znaczy, że nie kupili tego, co chcieli – zauważył Socjo.

– Może tylko byli przekazać jakąś wiadomość? – wtrącił Boom.

– Socjo, uważaj, skręcają na parking przy sklepie – przerwał im dyskusję Sterben.

Patrzył przez chwilę za skręcającym samochodem Omara.

– Lepiej być nie mogło. Zrobimy tak, panowie... – Aleks zaczął im tłumaczyć krótki plan.

Boom usłyszał szcęk przekręcanego zamka w tylnych drzwiach furgonetki. Kiedy luka między ich skrzydłami była na tyle duża, że mógł się przez nią zmieścić, skoczył do przodu. Ciężar jego ciała obalił Omara na ziemię. Boom wziął szeroki zamach i rękojeścią trzymanego w ręce pistoletu uderzył go między oczy. Wstał, trzymając wymierzoną w niego broń. Jego partnerzy wypychali nieprzytomnych ludzi Omara na pakę furgonetki.

– Popraw mu. Jeszcze jest przytomny... – powiedział Socjo, uważnie się rozglądając. Boom pochylił się nad Omarem i wymierzył mu prawy prosty. Głowa Araba bezwładnie uderzyła o asfalt.

– Zwiążcie go i ładujcie do pozostałych. Potem ruszajcie za mną – powiedział Sterben, wskakując za kierownicę ciężarówki.

Wyjechali za miasto. Jak tylko nadarzyła się okazja, skręcili w boczną drogę, wiodącą w głąb lasu. Furgon prowadzony przez Sterbena dawał sobie radę na wyboistym leśnym szlaku, ale sportowy wóz Socja coraz bardziej zostawał w tyle. Aleks skręcił ciężarówką na niewielką polankę i zatrzymał się. Wyskoczył z kabiny i otworzył tylne drzwi. Przyboczni Omara byli przytomni, on nie.

– Wyciągnijcie go – Sterben wydał krótkie polecenie podchodzącym do pojazdu Boomowi i Socjo. – Połóżcie go tu tak, żeby wspierał się plecami o ten pień. – Podszedł do Omara i uderzył go otwartą dłonią po

policzkach. Ten ocknął się, uniósł związane ręce do góry i rękawem od bluzy przetarł twarz z zaschniętej krwi.

– Znam te oczy – powiedział. – Ale twarz jest inna.

– Tylko trochę inna – odparł Sterben, wyciągając nóż i dotykając ostrzem do policzka Araba. Socjo aż się wzdrygnął na myśl, że Aleks zaraz zacznie go ciąć kawałek po kawałku, aby wydusić z niego zeznania.

– Nie pozwolę ci, żebyś to zrobił! – prawie krzyknął w stronę Aleksa. – Zostaw tę przyjemność... – ugryzł się w język – ...no wiesz komu. On ma z nim rachunki do wyrównania.

Sterben nawet nie spojrział w jego stronę. Obniżył rękę z nożem i szybkim ruchem przeciął sznur krępujący ręce i nogi Omara.

– Oddajcie mu jego broń.

Boom podszedł do nich i rzucił na ziemię przed Omarem jego pistolet.

– Tym razem chcę z tobą porozmawiać jak równy z równym – mówiąc to, Sterben schował ostrze do pochwy przy pasku.

– Mogliśmy rozmawiać, zanim zabiłeś moich ludzi. Teraz nie mam ci nic do powiedzenia. Moje życie...

– Poczekaj, nie rozpędzaj się tak. Powiesz o jedno słowo za dużo i obaj będziemy tego żałować. Tvoi ludzie żyją. Są w furgonetce.

– Nie wierzę ci – odparł, potrząsając głową.

Boom wrócił do ciężarówki i wyciągnął najpierw jednego, potem drugiego. Obaj Arabowie coś krzyczeli do Omara. Z potoku słów, wydobywających się z ich gardła, mogli rozróżnić tylko dwa: Allahu Akbar. Boom z powrotem wepchnął ich na pakę i zatrzaskał drzwi.

– Jak widzisz, są cali i pełni wigoru. Według mnie bardziej żywi być nie mogą – rzekł Sterben, uśmiechając się.

– Czego chcesz? – zapytał Omar, siadając na pierńku, o który wcześniej był oparty.

– Znasz powiedzenie „wróg mojego wroga...”?

– „...jest moim przyjacielem” – dokończył Arab. – Próbujesz dać mi do zrozumienia, że jesteś tu z powodu tego koziego syna Pana?

– Widzę, że się rozumiemy.

– Najlepszy agent byłego bloku wschodniego, wielki Aleksander Starker

vel Sterben... Tak, odrobiłem pracę domową. Trochę mi to zajęło, ale w końcu znalazłem twoje akta. Wypowiedziałeś wojnę Radzie Kuźni. Co się

stało? Nie zapłacili ci? – zapytał z ironią.

– Zapłacili, i to dobrze, Omarze Amin al-Husajni ^[72], synu wielkiego rodu. Jak widzisz, ja też odrobiłem lekcje. Chcieli zabić bliską mi osobę, a potem pewnie i mnie. Zrobiliśmy swoje i przestaliśmy być im potrzebni. Ciebie zapewne zlikwidowałiby na statku albo w Dakarze. Obaj nie jesteśmy już przydatni.

– Nie wiem, co planujesz, i nie interesuje mnie to, dopóki nasze drogi nie kolidują ze sobą.

– Nie, nie kolidują. Powiedziałbym, że prowadzą w tym samym kierunku. Ja i ci panowie za mną – wskazał na Booma i Socja stojących z tyłu

– jesteśmy tu po to, żeby zabić Pana i jego świtę.

– To dlatego pozwoliłeś mi żyć i puściłeś wolno w Nowym Jorku. Wiedziałeś, że po tym, co mi powiedziałeś i pokazałeś, będę chciał się zemścić.

– Tak, już wtedy szukałem w tobie sojusznika i robię to teraz.

Omar wpatrywał się w twarz Sterbena, szukając w niej czegoś, co pozwoliłoby mu uwierzyć w słowa, które ten wypowiedział.

– Zawdzięczam ci życie, choć pewnie gdybym ci się nie wyrwał w garażu, zabiłbyś mnie.

Aleks przytaknął skinieniem głowy.

– To była walka, równa walka, jeden na jeden. Ja też bym cię zabił. Omar zamilkł, głaszcząc się po równo przyciętej brodzie. Po chwili

namysłu odparł:

– Niezbadane są wyroki Allacha. Może mój i twój Bóg chcą, abyśmy się sprzymierzili i pokonali bestię. Zaufam ci, ale czy ty mi zaufasz?

– Ja zaufałem ci już w Nowym Jorku.

Yeonrin i Cathal chodzili po saloniku jachtu, krzycząc na nich na przemian. Jedno robiło im wyrzuty za to, że pozwolili Sterbenowi jechać z Omarem, drugie za to, że go nie zabili, aby pomścić śmierć Sky. Tylko Grace siedziała spokojna na fotelu przy stole. Boom w końcu nie wytrzymał i powiedział do nich podniesionym głosem:

– Jeśli chcecie się dowiedzieć czegoś konkretnego, to zamknijcie się w końcu!

Usiądźmy i porozmawiajmy!

Yeo i Cathal posłusznie usiedli.

– Przyjaciele Sterbena doręczyli nam to, co zamówiliśmy, ale nie mogli dostarczyć tego, czego potrzebuję do skonstruowania urządzenia, które ma zakłócać pracę kamer. Po to właśnie pojechaliśmy rano do sklepu z częściami elektronicznymi. Wychodząc z marketu, Aleks rozpoznał Omara, jak ten wchodził do mięsnego obok. Zaczęliśmy ich śledzić.

– Jakich ich? – spytała nagle Yeonrin.

– Omara i jego dwuosobową obstawę. Jak tylko nadarzyła się okazja, daliśmy im po łbie i wywieźliśmy w las. Tam Sterben rozwiązał Omara. Krótką chwilę rozmawiali. Wyglądało na to, że już wcześniej się znali. Nie pytajcie skąd, nie wiem.

– Aleks dopadł Omara jeszcze w Nowym Jorku. Powiedział mi o tym, jak pojechaliśmy po złoto – oznajmił Cathal. – Już wtedy byłem na niego zły za to, że go puścił.

– Z rozmowy, jaką ze sobą prowadzili, wnioskuję, że przynajmniej na czas akcji będziesz musiał odpuścić Omarowi. Teraz jest naszym sojusznikiem.

– Co ma wisieć, nie utonie – odrzekł Tasuil.

– No właśnie – kontynuował Boom. – Jak skończyli gadać, Aleks polecił rozwiązać ochroniarzy Omara i wsiadł z nimi do furgonetki. Nam kazał wracać do was i kategorycznie zabronił się śledzić. Tyle.

– Nie powiedział, kiedy wróci? – zapytała zdenerwowana Yeonrin.

– Nie.

– Już ja mu dam, niech tylko się pokaże.

Jagnię

Jechali w milczeniu. Omar prowadził, Aleks siedział obok niego w kabinie furgonu, a dwaj ochroniarze z tyłu, na rozkładanych bocznych siedzeniach. Godzinę temu minęli Santa Rosa, pozostawiając miasto za plecami. Sterben spojrzął na zegarek. Magnetyczna igła małego kompasu umieszczona na cyferblacie wskazywała kierunek północny. Powoli zapadał zmierzch. Omar włączył światła i trochę zwolnił.

– Za piętnaście minut będziemy na miejscu – poinformował Sterbena. Ten uważnie obserwował teren, starając się zapamiętać trasę przejazdu.

Przy słupku oznaczającym sześćdziesiątą siódmą milę skręcili w boczną drogę. Jechali nią jakieś dziesięć minut. Minęli pierwsze wyłaniające się z mroku zabudowania gospodarcze. Obok jasno oświetlonego domu ponownie skręcili i zwolnili. Omar wcisnął klakson, na jego dźwięk wrota stodoły otworzyły się. Wjechali do wnętrza budynku, zatrzymując się przy przeciwległej ścianie. Wysiedli z samochodu. Omar powiedział coś po arabsku jednemu ze swoich ludzi. Ten, wyraźnie niezadowolony, udzielił mu jakiejś odpowiedzi, ruchem ręki wskazując na Aleksa. Omar podniósł głos i przez zaciśnięte zęby powtórzył polecenie. Jego rozmówca zasalutował i wybiegł ze stodoły.

– Chodźmy – powiedział do Sterbena.

Wyszli z budynku, zmierzając w stronę drzwi jasno oświetlonego domu, który wcześniej mijali.

– Widzę, że krótko ich trzymasz.

– Dyscyplina to konieczna rzecz. Nie mogę pozwolić na jej rozluźnienie, kiedy jesteśmy w kraju, w którym po jedenastym września każdy Arab jest postrzegany jako potencjalny terrorysta.

Drzwi domu otworzyła im kobieta ubrana w abaję [73] i burkę [74]. Pochyliła głowę i ruchem ręki zaprosiła ich do wnętrza. Wąskim korytarzem, mijając schody na piętro, doszli do pokoju, którego wystrój przypominał namiot z Baśni tysiąca i jednej nocy. Arabka z pochyloną głową

wycofała się, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Ta sceneria to sprawka naszego gospodarza. Chciał, abyśmy się czuli jak w domu. Ja osobiście wolałbym zwykły stół i parę krzesel.

Usiadł na stosie z poduszek, wskazując Sterbenowi miejsce obok siebie. Do pokoju weszło dwóch mężczyzn, salutując. Omar rzekł do nich po arabsku parę słów, a ci na ich dźwięk usiedli naprzeciw niego i Aleksa. Przeszedł na język angielski i patrząc na Sterbena, powiedział:

– To są dowódcy moich pododdziałów. Dobrzy, sprawdzeni w walce bojownicy. Ufam im jak samemu sobie. Razem jesteśmy jak palce jednej dłoni i właśnie tę dłoń wyciągamy do ciebie w geście pokoju.

Aleks wymienił uściski z mężczyznami, na końcu Omar podał mu rękę.

– Ta dłoń potrafi także zacisnąć swe palce w pięść i tę wznosimy przeciw naszym wrogom, ku chwale Allacha i jego syna, proroka Mahometa.

Głośne, po trzykroć wykrzyczane Allahu Akbar zabrzmiało w pokoju. Omar, zadowolony z tego manifestu jedności i oddania, sięgnął po długi

wąz stojącej na środku, pomiędzy nimi, sziszy 75. Wziął ustnik między wargi, głęboko się zaciągnął i podał go Aleksowi. Sterben, wypuszczając chłodny, aromatyczny dym, 76 i jego pomyślał, że to wygląda, jakby palił fajkę pokoju z samym Siedzącym Bykiem i jego dzielnymi indiańskimi wojownikami.

Omar pochylił się nad wojskową mapą, ukazującą w skali jeden do pięciu tysięcy teren Behemian Grove.

– Spójrz, mamy zamiar dostać się tędy, od strony tego małego jeziorka. Pod wodą, u jego brzegów, są wyloty kanałów ściekowych, zbudowanych jeszcze przed rokiem 1873. Moi nurkowie sprawdzili je, są drożne i niezabezpieczone. Prowadzą aż do budynków starej łaźni.

Sterben z uwagą przysłuchiwał się słowom Omara. Musiał przyznać, że ich plan miał duże szanse powodzenia. Był szczegółowy, a zadania każdej z trzech pięcioosobowych grup dobrze zsynchronizowane w czasie.

Kiedy Omar zakończył prezentację swojego planu, Sterben poprosił go, aby jego ludzie opuścili pokój. Ten uczynił to z wyraźną niechęcią. Kiedy za dwoma bojownikami zamknęły się drzwi, Aleks pobieżnie przedstawił plan przygotowany przez Booma i Socja.

W nocnym powietrzu unosił się smakowity zapach pieczonego mięsa. Płomienie ogniska lizwały zawieszzone na rożnie duże kawałki jagnięciny. Najmłodszy syn gospodarza domu powoli obracał korbą rożna, od czasu do

czasu polewając mięso wodą z przyprawami i ziołami oraz pilnując, aby było soczyste i równo upieczone. Żona i dwie córki, ubrane w odświętne czadory [77], krzątały się przy ognisku, usługując ludziom Omara – podając mocną herbatę, przekąski i okrągłe placki khubzu [78]. Sterben siedział obok Omara, przypatrując się jego bojownikom. Wszyscy ubrani w białe galabije [79] siedzieli wokół ognia, rozmawiając i śmiejąc się. Niczym się nie różnili od Niemców, Polaków czy Rosjan, z którymi Aleks spędził niejedną noc przy ognisku.

Nasza cywilizacja faworyzuje cechy odróżniające nas od innych, pomyślał Sterben. Widzimy człowieka i go oceniamy: brzydki – ładny, mądry – głupi, bogaty – biedny i tak dalej. Szufiadkujemy się nawzajem i traktujemy zgodnie z etykietą. Postrzegamy ludzi jako różnych od nas, a sami uważamy się za innych od ogółu. Jeśli jednak wystarczająco długo posiedzimy przy ognisku obok drugiego człowieka, podamy sobie chleb czy sól, wtedy dostrzegamy, że wcale tak bardzo się od nas nie różni, że wszyscy jesteśmy tacy sami.

Jego rozmyślania przerwał melodyjny dźwięk klasycznej arabskiej muzyki, wydobywający się z raqqa [80]; po chwili zawtórował mu darbuk [81] i w jego rytmie bojownicy zaintonowali pieśń. Sterben nie rozumiał słów, ale nie potrzebował ich rozumieć. Sama melodia była przepiękną bólem i tęsknotą. Wyrażała wspomnienia czegoś, czego ci ludzie nie pamiętali, ale marzyli o tym, a marzenia to jedyna broń zdolna pokonać rzeczywistość.

– To stara pieśń jednego z naszych największych bardów, Abu al-Hasana Ali ibn Nafiego [82] – powiedział Omar, przyglądając się Sterbenowi. – Widzę, że cię wzruszyła, może nie jesteś taki twardy, jak mówią – roześmiał się, podając mu czarękę z herbatą.

– Gdybyście walczyli pieśniami zamiast karabinami i bombami, może wszystko potoczyłoby się inaczej – odrzekł Aleks i wstając, dodał: – Czas na mnie.

– Może. Problem w tym, że pieśni nikt nie słucha, a jak zdetonujesz samochód-pułapkę, odgłos eksplozji usłyszy cały świat.

Minęli stodołę i dom. Drogą, która biegła wzdłuż ogrodzenia, Omar odprowadził Sterbena do bramy wjazdowej gospodarstwa. Czekał tam na niego samochód z kierowcą.

– Atak od strony szpaleru ogrodzeń jest ryzykowny i trudny do realizacji.

Mam nadzieję, że się wam powiedzie. Nasze uderzenie od wewnątrz powinno ich zdeorientować. Rozproszy i podzieli uwagę oraz siły ochrony w Behemian Grove – powiedział Omar, ściskając dłoń Aleksa w geście pożegnania.

– To na pewno – odrzekł Aleks, wsiadając do jeepa podstawionego przez jednego z ludzi Omara.

– Mój kierowca podwiezie cię tam, gdzie mu każesz. Allah z tobą!

– I z tobą, synu Husajna – odrzekł Sterben, dając znak kierowcy, aby ruszył.

Kazał się wysadzić na południowych przedmieściach Santa Rosa. Wolał, żeby ludzie Omara nie wiedzieli, gdzie jest zakotwiczony jacht. Ufał mu, ale jego żołnierzom już nie. Znał metody działania Pana, wiedział, że jego agenci mogą być wszędzie. Nawet wśród fanatycznych bojowników Husajna. Do portu miał stąd jakieś piętnaście minut drogi. Szedł wolno, nie śpieszył się. Zastanawiał się, jak całą sytuację z Omarem wytłumaczy Cathalowi. Tasuil pałał chęcią zemsty za śmierć przyjaciela. Miał nadzieję, że chociaż na czas akcji ten zrozumie bezsensowność śmierci Omara. Potem sprawa między nimi może nadal pozostać otwarta. On nie stanie po niczyjej stronie.

Dotarł do kei i rozejrzał się. Wiedział, że gdzieś ukrywa się Boom albo Socjo, czuwając nad bezpieczeństwem załogi jachtu.

Dobrze się zamaskowali, pomyślał, nie dostrzegając ich stanowiska. Wszedł na pokład. Z saloniku, schodkami prowadzącymi w dół dotarł do sypialni. Przekreślił uchwyt klamki, ale drzwi nie ustąpiły. Wiedział, że któryś z chłopaków dał sygnał na jacht, że wrócił cały i bezpieczny. Dzisiejszą noc jednak Yeonrin postanowiła spędzić sama.

– Dlatego właśnie jestem sam – powiedział Boom, słysząc podniesiony głos Yeonrin, dobiegający z dolnego pokładu. – Dla takiego człowieka jak ja kobiety to tylko niepotrzebny balast.

Grace rzuciła w niego pustym kartonem po napoju.

– Dobrze, że usłyszałam to teraz, zanim zaczęłam się tobą na poważnie interesować

– zażartowała.

Cathal roześmiał się, widząc zdziwioną minę Booma.

– Chodziło mi tylko o to – zaczął się tłumaczyć – że żołnierz codziennie ryzykuje życiem, a myślenie o kobiecie rozpraszałoby jego uwagę. Co bez...

– Nie pograżaj się już – przerwała mu. – O ile dobrze pamiętam, mówiłeś nam, że w wojsku dosłużyłeś się stopnia sierżanta.

Boom przytaknął.

– Ja mam rangę porucznika, więc, żołnierzu, podajcie kawę starszemu stopniem i podczas jej parzenia nie myślcie o kobietach, bo jeszcze coś sobie oparzycie.

Do saloniku weszła Yeonrin, a zaraz za nią Aleks.

– Wam też zaparzyć kawy? – zapytał Boom, uruchamiając ekspres ciśnieniowy.

– Chętnie się napiję. Nie spałam całą noc!

– Ja dziękuję – odrzekł Aleks, patrząc na Tasuila. – Cathal, wiesz, że wczoraj wpadł nam w ręce Omar?

– Tak, po raz drugi wypuściłeś go wolno. Jednak rozumiem twoje pobudki i w pełni je pochwalam. Nie jestem aż tak zaślepiiony żądzą zemsty, abym nie rozumiał, co jest dla nas priorytetem. Potem i z nim, i ze mną będzie, co Bóg da.

– Cieszę się, że tak podchodzisz do sprawy – powiedział Sterben, patrząc na ocean przez okno saloniku. – Boom, wezwij Socja, zaraz odbijamy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie będziecie się zwracać do wywoływaczy duchów ani do wróżbitów. Nie wpytujcie ich, bo staniecie się przez nich nieczystymi. Ja, Pan, jestem Bogiem waszym.

Księga Kapłańska

Rytuał Palenia Trosk

Coraz więcej gości przybywało do Behemian Grove. Jedni przylatywali prywatnymi helikopterami, inni podjeżdżali wielkimi limuzynami, a ci najmłodszy, zarówno wiekiem, jak i stażem w klubie, sportowymi samochodami. Alejkami wśród sekwoi i sosen spacerowali bankierzy, biskupi, politycy i naukowcy.

Moja trzódka, pomyślał Pan, obserwując cały ten zgiełk przez okno swojego apartamentu. Sama elita.

Z wieloma rozmawiał już osobiście, z innymi miał się dopiero spotkać. Najbardziej zależało mu na rozmowie z nowo przyjętym do klubu

prezydentem Liberii ^[83], to w jego kraju Rada Kuźni planowała kolejny etap większej akcji. Bez jego poparcia, bez udziału czynników władzy, eksperyment mógłby się nie powieść. Musiał go przekonać do słuszności ich sprawy. Do jedynej właściwej idei Nowego Porządku Świata.

Ludzie nie zasługują na niezależność i wolność. Nie wiedzą, co z nią zrobić. Nie radzą sobie z nią i nie potrafią jej opanować. Potrzebują kogoś, kto wskaże im drogę, kto powie im, co robić. Sami są niczym owce zabłąkane w śnieżnej zawiei. On i wielu mu podobnych już dawno obrali kurs, który trzymają do dzisiaj.

Liczył na to, że prezydent Liberii podda się logice jego argumentów i wesprze swoją silną ręką trzymanie steru, aby ich okręt płynął równo wytyczonym kursem. Jego kraj był doskonały do przeprowadzenia eksperymentu. Niezbyt duży – zamieszkały przez zaledwie trzy miliony mieszkańców, podzielonych na liczne grupy etniczne i mówiących w dwudziestu różnych językach. Oczywiście językiem urzędowym jest angielski, co znacząco ułatwi jego ludziom wykonywanie zadań. Ponad czterdzieści procent ludności kultywuje

animizm ^[84], co dodatkowo zwiększa szansę powodzenia eksperymentu. Jednym słowem biedny kraj zamieszkały przez ciemnotę niezasługującą na istnienie. Nikt się nie przejmie śmiercią kilkudziesięciu tysięcy jego obywateli. Tak jak nikogo nie obeszło

ludobójstwo w Rwandzie – to była psychologiczna część eksperymentu.

Teraz natomiast czas zacząć tę medycyną.

Miał nadzieję, że zimowe sztormy na oceanie pozwolą zjawić się prezydentowi na czas. Spojrzał na zegarek, dochodziła północ. Za parę minut miał się spotkać z reżyserem i scenografem odpowiedzialnym za przebieg rytuału. Chciał, aby tegoroczny spektakl na długo utkwił w pamięci jego uczestników. Miał być czymś wyjątkowym. W związku z tym sam musiał wszystkiego dopilnować, nad wszystkim mieć pieczę i pociągać za każdy ze sznurków.

Wyszedł z apartamentu i zjechał windą na parter. Strażnik otworzył przed nim drzwi. Na twarzy poczuł chłodne, zimowe powietrze, przepełnione zapachem wilgotnego igliwia. Wziął głęboki oddech i wszedł do meleksu.

Zapomniał o problemach ze zbuntowanymi agentami. Pomimo wzmoczonego wysiłku jego ludziom nie udało się odnaleźć Sterbena i Yeonrin. Prawie trzy miesiące temu słuch o nich zaginął. Przypuszczał, że woleli się gdzieś zaszyć, niż prowadzić z nim otwartą walkę, która była z góry skazana na niepowodzenie. Jak mu donieśli, na skrzynce pocztowej agenta DIA ruch zamarł. Owszem, przychodziły wiadomości na jego skrzynkę mailową od, jak on to ich nazywał, „poszukiwaczy prawdy”, ale nie były odczytywane. Widocznie wysadzenie domu, wskazanego przez ostatni namiar, dało temu wścibskiemu insektowi wiele do myślenia. Prawdopodobnie przeląkł się i tak jak Sterben i Yeonrin postanowił się wycofać. Nawet jeśli coś planował, to co mógł zrobić jeden człowiek przeciwko całej organizacji?

Nawet żeby ich było tysiąc, pomyślał, to i tak nie zdołają wygasić pieców, w których wykuwa się Nowy Porządek Świata.

Wysiadł z meleksu i wspierając się na ulubionej lasce ze złotym uchwytem, przedstawiającym pysk lwa, dotarł do przeszklonej reżyserki wybudowanej nad trybunami amfiteatru. Chodzenie i stanie sprawiały mu coraz większą trudność. Zwyródnienie stawu biodrowego, zwłaszcza zimą, dawało mu się we znaki. Z tego też powodu nie znosił tej pory roku. W Kalifornii zima nie była prawdziwą zimą. Ostatnie opady śniegu odnotowano tu trzydzieści pięć lat temu. Jednakże w porównaniu z innymi porami roku była dużo chłodniejsza i charakteryzowała się większą ilością opadów. Z powodu doskwierającego bólu obawiał się, że nie da rady odprawić całego rytuału. W związku z tym program ceremonii musiał zostać

zmieniony. Jego zastępca wcieli się w rolę arcykapłana i ją poprowadzi. On wystąpi tylko na zakończenie. Przebrany w strój arcykapłana udzieli swojej trzódce błogosławieństwa na następny rok.

Grace podjechała pod bramę Behemian Grove. Wyłączyła silnik, pozostawiając zapalone światła postojowe. Wzięła mapę do ręki i wysiadła z corvety. Wydostanie się z nisko zawieszonoego pojazdu w obcistej mini sprawiło jej nie lada problem. Obcasy szpilek grzęzły w brukowanej kostkami powierzchni drogi. Z trudem przeszła parę metrów, które dzieliły ją od celu przydzielonego jej zadania. Jeden ze strażników zagwizdał na jej widok. Drugi podszedł do bramy, mówiąc:

– Proszę stąd natychmiast odjechać i nie tarasować wjazdu!

– Ja tylko na minutkę – powiedziała Grace, wymachując mapą. – Chyba zablądziłam! Byłby pan tak uprzejmy i wskazał mi, którędy mam pojechać, aby dotrzeć do Santa Rosa. Znajomi organizują tam na jachcie małe party, nie chciałabym się...

Boom, schowany na tylnym siedzeniu samochodu, nie przysłuchiwał się reszcie rozmowy. Jak tylko Grace zatrzymała się przed bramą, włączył urządzenie zakłócające. Miał nadzieję, że teraz też uda się przerwać emisję obrazu. Kiedy testowali je parę dni temu, trzeci strażnik za każdym razem wychodził ze stróżówki po niespełna minucie. Wspiął się po klamrach wmurowanych w ścianę i majstrował przy kamerze. Za każdym razem, kiedy wracał do strażnicy, wyłączali urządzenie. Robili tak od trzech dni, przyzwyczajając wartowników do nieistniejącej awarii kamery.

Ciszę w słuchawce przerwał głos Yeonrin:

– Oba cele doskonale widoczne, czekam na trzeci.

Wartownik wstał, zły, sprzed monitora. Odepchnął nogą krzesło i ruszył w stronę metalowych drzwi. Od paru dni mówił tym młotkom z działu technicznego, że kamera szwankuje. Ci, przychodząc do wartowni, za każdym razem nie wykrywali żadnej awarii.

Musiła się zepsuć akurat teraz, kiedy pod bramą stoi taka laseczka, pomyślał, odsuwając rygiel zamka.

Wyszedł na zewnątrz, skręcił za róg budynku. Przystanął na chwilę, przypatrując się zbłąkanej paniusi.

– Co tam? Znowu się zepsuła?

– Tak – odparł, chwytając się klamry.

Nagle poczuł na twarzy coś mokrego i ciepłego. Przetarł dłonią policzek i spojrzał na nią. Zanim uzmysłowił sobie, że to krew, kula wystrzelona przez Yeonrin przebiła mu gardło. Zsunął się po ścianie, upadając na leżące zwłoki kolegi.

Cathal, Socjo i Sterben, wdrapując się po kutyh z żelaza, bogato zdobionych wrotach, przeskoczyli na drugą stronę. Przeciągnęli zwłoki strażników i ukryli je w krzakach. Następnie uchylili jedną połówkę bramy. Przez powstałą lukę między jej skrzydłami wbiegł Boom, a zaraz za nim Yeonrin. W ciemności nocy niknęły tylne światła corvetty prowadzonej przez Grace. Jej zadanie dobiegło końca.

Jeśli coś pójdzie nie tak, to przynajmniej ona przeżyje, pomyślał Cathal. Sterben spojrzął na zegarek. Za piętnaście minut, dokładnie o dwunastej w nocy, miał się zacząć rytuał Palenia Trosk. W tym czasie musieli przebiec prawie dwa kilometry dzielące ich od amfiteatru, podłożyć ładunek i wycofać się na bezpieczną odległość. Odgłos eksplozji miał być sygnałem do rozpoczęcia ataku przez bojowników Omara.

– Biegłem – powiedział Sterben, opuszczając gogle noktowizora.

Jego najgorsze obawy spełniły się szybciej, niż przypuszczał. W nocy dostał silnego bólu stawu biodrowego, który promieniował aż do łydki. Nie był w stanie zrobić kroku. Natychmiast wezwał lekarzy. Ci masażami i zastrzykami przywrócili mu władzę w nodze na tyle, że mógł stać i poruszać się przy pomocy laski. Naczelnny lekarz po konsultacji z innymi doktorami zakomunikował mu, że powinien jak najszybciej poddać się operacji stawu biodrowego, inaczej zostanie na stałe przykuty do łóżka.

Garderobiani pomogli mu włożyć strój arcykapłana. Jeden z jego ochroniarzy zawiesił maskę lwa na rączce wózka inwalidzkiego. Wziął swoją ulubioną laskę i położył ją na kolanach.

O ironio losu, pomyślał.

On, którego decyzje wpływały na losy świata, nie potrafił zapanować nad własnym ciałem. Nie martwił się stanem swojego zdrowia, miał większy kłopot. Niestety, prezydent Liberii poinformował go osobiście, że ze

względu na zimowe sztormy na oceanie nie zdąży na czas i nie będzie mógł wziąć udziału w obrzędzie. Jedyne wstępnie, przez telefon, zdążył mu przedstawić zarys eksperymentu mającego odbyć się na terenie Liberii.

Odniośł wrażenie, że jego rozmówca jest zainteresowany planem, a najbardziej profitem finansowym, jaki miał otrzymać za poparcie i wdrożenie założeń całej akcji. Wiedział, że pieniędzmi najłatwiej nakłoni go do współpracy. Niepewna sytuacja gospodarcza i finansowa w Liberii nie gwarantowała prezydentowi sukcesu w zbliżających się tam wyborach. Wręcz przeciwnie, groziła wybuchem wojny domowej. W przypadku przegranej wyścigu do fotela prezydenckiego czy wojennej zawieruchy nic tak nie gwarantowało prezydentowi spokoju, jak parędziesiąt milionów dolarów zgromadzonych na koncie w zagranicznym banku.

Umiesz liczyć, licz na siebie i swoje pieniądze, sparafrazował w myślach znane powiedzenie, uśmiechając się przy tym do siebie.

Inaczej wyglądała sprawa z Omarem. Parę dni temu otrzymał raport od szefa wenezuelskiej agencji, że ten opuścił jego kraj, udając się wraz z piętnastoosobowym oddziałem do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jak wynikało z przesłanych przez niego dokumentów, Arab chciał zaatakować Behemian Grove w dzień rytuału.

Zamierzał dostać się na teren kompleksu ściekami prowadzącymi do nieużywanej i przeznaczonej do wyburzenia łaźni. Pan postanowił ułatwić mu to zadanie i kazał usunąć wszelkie zabezpieczenia z kanałów, urządzając zasadzkę w budynku.

Jego położenie z dala od miejsca obrzędu Palenia Trosk gwarantowało, że uczestnicy rytuału nawet nie zauważą drobnego incydentu. Zresztą likwidacja oddziału Omara miała się odbyć w zupełnej ciszy. Wolał się jednak zabezpieczyć, na wypadek gdyby coś poszło nie tak, i większość sił ochrony skierował do łaźni oraz do kanałów, odcinając intruzom drogę ucieczki. Wybicie robactwa powinno zająć jego ludziom od jednej do trzech minut.

Tyle mniej więcej czasu potrzebuje sarin ^[86], aby uśmiercić swoje ofiary. Żałował tylko jednego – że nie będzie mógł patrzeć na ich śmierć. Jej widok sprawiłby mu wielką przyjemność.

Muszę kazać to nagrać, pomyślał, przesiadając się w amfiteatrze z meleksu na wózek inwalidzki.

Pięćset metrów pochyłości kanału prowadzącego pod wąż w starej łaźni Omar i jego ludzie pokonali bez najmniejszego problemu. Błoto i szlam zgromadzone na dnie szerokiej rury były dowodem, że nikt tu nie zaglądał od lat. Ściek już dawno przestał być używany. Zaraz po drugiej wojnie światowej klub Behemian został wyposażony w elektrownię i zasilaną przez nią oczyszczalnię.

Pierwszym problemem, jaki napotkali, był wąż. Za nic w świecie nie chciał się otworzyć. Zaśniedziały i zardzewiały mechanizm uchwytu niczym zaspawany nie chciał się ruszyć w żadną ze stron. Odkręcili nakrętki ze śrub, trzymających żelazną ramę wężu, próbując wyważyć całość, ale ta ani drgnęła.

Wyjście z łaźni musiało zostać zamurowane, pomyślał Omar, patrząc na zegarek.

Sterben, o ile wszystko przy bramie poszło dobrze, powinien już być w drodze do amfiteatru. Omar nie mógł sobie pozwolić na dalsze opóźnienie. Rozkazał swoim ludziom wysadzić wąż.

Żelazna pokrywa, wygięta siłą wybuchu, wraz z gruzem spadła na dno kanału. Zanim opadł pył, pierwsza grupa była już w pomieszczeniu na górze.

– Czysto – usłyszał głos w słuchawce.

Omar wspiął się po szczeblach przystawionej do wyrwy rozkładanej drabinki. Za nim wchodzili kolejni bojownicy. Złapał rękę, którą podał mu z góry jeden z jego ludzi, i podciągnął się na niej, pokonując w powietrzu ostatnie pół metra.

W pomieszczeniu było ciemno i cicho. Powietrze wypełniał zapach stęchlizny. Włączył noktowizor. W zielonkawym świetle dostrzegł, że pomieszczenie, w którym się znajdują, nie ma okien i ma tylko jedno drzwi. Podłoga była wyłożona terakotowymi płytkami, spomiędzy których wystawały miedziane końcówki rur. Podobne wychodziły ze ścian, mniej więcej na wysokości dorosłego mężczyzny.

Spojrzał w górę i właśnie wtedy zabłysła jedna z trzech lamp umieszczonych w suficie. Jasne światło potężnych żarówek zalało pomieszczenie, oślepiając go zupełnie. Zdarł noktowizor z głowy. Usłyszał wokół głośny syk gazu wydobywającego się z rur pod dużym ciśnieniem. W ustach poczuł dziwny smak, skóra twarzy pod kominiarką zaczęła go piec.

– To sarin! – wyrzyczał zachrypniętym głosem, wyciągając z pojemnika kamizelki maskę przeciwgazową.

Zakrwawionymi oczami, przez zaparowane okulary maski, dostrzegł, jak jego ludzie krzyczą z bólu i tarzają się po ziemi. Ci, którym gaz ze ściennych rurek uderzył prosto w twarz, już się nie ruszali. Doczołgał się do dziury w podłodze i przechylając ciało nad jej krawędzią, zanurkował w dół, łądując głową w błocie. Nie miał siły wstać, każdy oddech powodował bolesne pieczenie w płucach. Założoną przez niego maskę wypełniły wymiociny zmieszane z krwią. Ujrzał dobiegające z drugiej strony kanału połyskujące światła latarek – to musieli być ludzie Pana, mający za zadanie odciąć im drogę powrotną. Zrozumiał, że pomieszczenie w łaźni było pułapką, komorą gazową przygotowaną specjalnie dla nich. Wiedział, że została mu minuta życia, może dwie. W myślach wyrzyczał Allahu Akbar i wcisnął przycisk detonatora.

Gorąca kula ognia pomknęła wzdłuż kanału, paląc niczym szmaciane kukły uciekających ku jego wylotowi ludzi Pana. Energia wybuchu z głuchym hukiem wydostała się na zewnątrz. Przy ujściu kanału i na lekko pomarszczonej od wiatru tafli jeziora dopalały się zwłoki ochroniarzy.

Pierwszy etap mieli za sobą. Tylko raz musieli się schować pomiędzy drzewami, kiedy Socjo dojrzał konny patrol na przecince pomiędzy drugim a trzecim rzędem ogrodzeń. Poczekali chwilę, aż jeźdźcy się oddalą, i ponownie ruszyli spokojnym, niezbyt forsownym biegiem.

Po przebyciu kolejnych paruset metrów skręcili z głównej drogi w leśną ścieżkę. Była tak wąska, że musieli po niej biec gęsiego, jedno za drugim. Według opisów zdjęć przesłanych przez zaprzyjaźnionych Rosjan szlak ten nazywał się „małpim pasem”. To po nim chodzili ochroniarze, strzegąc swych pracodawców, gdy ci spacerowali po alejce obok. Ścieżka była na tyle oddalona od alejki, że goryle mogli bez przeszkód obserwować ochraniających, nie słysząc treści ich rozmów.

Kolejnym punktem, który mieli osiągnąć w określonym czasie, było tak zwane rondo. To tam krzyżowały się wszystkie cztery spacerowe dróżki. Tam też musieli podzielić się na trzy grupy. Pierwszą, uderzeniową, mającą za zadanie podłożyć ładunek, stanowił Sterben i Boom. Drugą, osłaniającą,

Yeonrin i Cathal. Socjo miał zabezpieczać tyły i pilnować, żeby Tasuilowi i Yeo nikt nie wszedł na plecy.

Od ronda dzieliło ich niespełna trzydzieści metrów, kiedy od strony jeziora dobiegł ich głuchy odgłos eksplozji. Zatrzymali się i przykucnęli, każde obserwując swój perymetr. Zrozumieli, że Omarowi coś poszło nie tak. Odczekali dłuższą chwilę, ale nic więcej się nie wydarzyło. Nie było żadnego wycia alarmu czy odgłosów wymiany ognia pomiędzy ochroną a bojownikami.

– Jak nic weszli na minępułapkę – powiedział Boom.

– Omar jeszcze wczoraj twierdził, że kanały są czyste – rzekł Sterben.

– Jego ludzie sprawdzali je wielokrotnie.

– Wczoraj mogły być czyste, a dzisiaj już nie. Dzielni chłopcy Omara poszli na pewniaka i wleźli w coś. W związku z rytuałem Pan pewnie wzmocnił zabezpieczenia, obawiając się o bezpieczeństwo swoich gości.

– Wszystko jest możliwe, Boomie, ale dziwi mnie ten spokój po eksplozji. Zobacz, jak gdyby nic się nie stało, a raczej jakby wiedziano, że ma się coś stać – odparł Sterben.

– Musimy kontynuować – powiedział Cathal, patrząc na Aleksa. – Za późno na odwrót, poza tym kolejna taka szansa trafi się dopiero za rok. Do tego czasu ludzie Pana mogą nas dorwać.

– Zgadzam się z tobą. Drugiej takiej szansy możemy nie mieć. Poza tym myślę, że Omar został zdradzony. Zapewniał mnie o lojalności swoich bojowników. Ponad połowa z nich to była jego rodzina, pochodzili z klanu Husajnow. Z pozostałymi jeśli nie łączyły go więzy krwi, to był żyty po latach wspólnej walki o powstanie kalifatu. Jakbym był na jego miejscu, to zdrajcy szukałbym wśród Wenezuelczyków, a nie wśród Arabów.

– Obyś miał rację – powiedział Socjo. – Jeśli zdrada nastąpiła tu, w Stanach, to o nas też mogą wiedzieć i mogą na nas czekać.

– Mogą, jeżeli Omar został zdradzony tu, na miejscu. Jeżeli w Wenezueli, tam, gdzie przygotowywał się do akcji, to nie wiedzą.

– Nie możesz mieć takiej pewności.

– Mogę i mam. Tylko Omar znał nasz niepełny i częściowo fałszywy plan. Przed akcją na pożegnanie zapewnił mnie, że żywym go nie wezmą, i tu mu akurat wierzę.

– Okłamałeś go? – zapytała Yeonrin.

– Nie, nie okłamałem, tylko nie powiedziałem całej prawdy. To, że on mi zaufał, nie znaczy, że ja mam ufać jemu i jego bojownikom. Nigdy nie pozwoliłbym, żeby przez moją lekkomyślność komukolwiek z was groziło niebezpieczeństwo.

Cathal patrzył na Sterbena z podziwem i lękiem. Cieszył się, że ten człowiek zostawił służbę u Pana. Jakby tego nie zrobił, on i Grace zapewne już by nie żyli. Jego kontakty, oparte na wzajemnej przyjaźni z byłymi i teraźniejszymi agentami na całym świecie, czyniły z niego przeciwnika równego Panu.

– Musimy się pośpieszyć. Do zmiany warty przy bramie zostało nam około siedemnastu minut. Jak się nie wyrobimy do wpół do pierwszej, to znajdą ciała strażników i dupa zbita – powiedział Socjo, patrząc na zegarek.

– OK, nadal trzymamy się planu – odrzekł Sterben.

Już mieli się podnieść i ruszyć dalej, kiedy od strony alejki prowadzącej do amfiteatru usłyszeli cichy kobiecy śmiech i męski szept. Po chwili z mroku nocy wyłoniła się para odziana w coś na wzór rzymskich tóg. On na głowie miał maskę lisa, ona łasicy. Przystanęli przed altaną stojącą na środku ronda i zaczęli się całować. Mężczyzna wziął ją na rękę i zaniósł do środka.

– Ktoś chyba olał rytuał – powiedział Socjo.

Martwe ciała „lisa” i „łasicy” ułożyli w krzakach akacji rosnącej gęsto wzdłuż jednej z alejek. Boom, zakładając togę, w którą była ubrana kobieta, zastanawiał się, kim była i jaki miała stopień w hierarchii klubu. Spojrzył na Sterbena, ten już był przebrany, ale męczył się z gumkami przy masce lisa.

– Szczerze mówiąc, wołałem kostium uszyty przez Grace – powiedział.

– Jak można mieć taki wielki łeb?

– Odwróć się. Spróbuję je jakoś podwiązać. Mam nadzieję, że maski i kolor tych prześcieradeł nic nie oznaczają.

– Nie wiem, ale to bardzo możliwe. Dlatego zakładamy ich togi, a nie nasze. Gdzie schowałeś ładunek?

– Mam go na brzuchu, przewiązany paskiem.

– Uważaj, żeby ci nie wypadł.

– Nie wypadnie.

– Pośpieszcie się, zostało czternaście minut – usłyszeli w słuchawkach głos Cathala.

– Dobra, idziemy.

Socjo, uśmiechając się, patrzył przez gogle noktowizora za oddalającymi się w stronę amfiteatru Boomem i Sterbenem.

– Muszę przyznać, że ładna z was para, panowie – powiedział szeptem, dociskając membranę laryngofonu.

Yeonrin wspięła się na sekwoję. Przywiązała linę, za pomocą której mogłaby szybko zsunąć się z drzewa. Ułożyła się wygodnie na grubym konarze, kierując lufę karabinu snajperskiego w stronę amfiteatru. Spojrzała przez celownik, regulując ustawienia. Z wysokości ponad sześciu metrów miała doskonały widok na wybudowany w naturalnym zagłębieniu amfiteatr. Dostrzegła Sterbena i Cathala, jak po alejce zacierają w stronę budowli. Wmieszani w tłum innych uczestników obrzędu minęli parę strażników przy wejściu, nie wzbudzając ich podejrzeń. Na trybunach amfiteatru w długich togach siedzieli zaproszeni goście Behemian Grove. Na środku sceny stał olbrzymi pomnik przedstawiający sowę. Po jego obu stronach płonęły rzędy pochodni. Przed nim mieścił się kamienny ołtarz, na którym, jak powiedział Aleks, arcykapłan, w obrzędowym stroju, z maską lwa na głowie, będzie palił ludzkie kukły symbolizujące troski. Właśnie ten człowiek w masce króla zwierząt był jej celem. Włączyła laserowy dalmierz, celując go na ołtarz. Elektroniczny licznik wyświetlił odległość sześciuset pięćdziesięciu siedmiu metrów.

Wystarczy jeden strzał, pomyślała, korygując nastawy celownika, a dwór Behemian Grove pozostanie bez króla.

Wraz z innymi gośćmi, przebranymi tak jak oni w togi, z kolorowymi zwierzęcymi maskami na głowach, zmierzali alejką prosto ku budynkowi amfiteatru. Wyruszając, Boom ustawił zapalnik na trzynaście minut. Przez ten czas musieli zdążyć podłożyć ładunek oraz oddalić się na minimum sto pięćdziesiąt metrów.

Nie wzbudzając podejrzeń strażników, dotarli do wejścia. Tunel, na

którego ścianach widniały freski przedstawiające mityczne sceny, doprowadził ich na trybuny. Przystanęli, rozglądając się po wnętrzu amfiteatru. Uczta na trybunach trwała już na dobre. Na scenie, jasno oświetlonej przez jupitera, występował chór, umilając śpiewem oczekiwanie na rytuał.

– Tu się rozstajemy – powiedział Sterben. – Ja spróbuję dostać się w pobliże kulis. Nie czekaj na mnie. Podłóż ładunek i wracaj do pozostałych. Gdyby coś poszło nie tak, spotkamy się w umówionym miejscu.

Boom skinął głową i ruszył, wspinając się po kamiennych stopniach schodów. Ładunek miał podłożyć w środkowym rzędzie, tak aby eksplozja objęła swym zasięgiem scenę i trybuny. Przedzierał się pomiędzy siedzącymi rozbawionymi uczestnikami. Stewardzi, chodząc pomiędzy nimi, nalewali z glinianych amfor wina do mosiężnych kielichów, oferowali winogrona, brzoskwinie i inne owoce. Większość gości była już pijana.

Ci, którzy nie są pijani, za moment będą, pomyślał Boom, odpinając pod togą zatrzask paska, który przytrzymywał ładunek.

Siadając wśród uczujących biesiadników, podłożył plecak pod głowę pijanego gościa leżącego na trybunie. Z tacy niesionej przez przechodzącego stewarda chwycił puchar wypełniony po brzegi winem.

– Ładunek na miejscu – powiedział, przechylając kielich do ust i celowo rozlewając na toę część płynu. Wstał, wymachując pucharem, i chwiejnym krokiem pijanego człowieka ruszył w stronę wyjścia.

Sterben stał za jedną z kurtyn oddzielających scenę od publiki. Za kulisami panował wielki ruch. Aktorzy i statyści przygotowywali się do wyjścia na scenę. Scenarzyści podnosili i opuszczali dekoracje, sprawdzając, czy wszystko działa poprawnie. Spojrzał na zegarek. Do eksplozji zostały niecałe cztery minuty. Powinien już wracać. Głośny dźwięk fanfar wypełnił amfiteatr. Na scenę, wśród oklasków tłumu wielbiącego go niczym boga, wyszedł Pan z pochodnią w ręku i w masce króla zwierząt. Uniósł ramiona w górę. Szedł powoli, intonując basowym głosem pieśń rozpoczynając rytuał Palenia Trosk. Zatrzymał się naprzeciw ołtarza, tyłem do zgromadzonych, i podpalił go. Na scenę wjechały cztery ruchome platformy pchane przez statystów. Do każdej z nich przywiązano kukłę człowieka, symbolizującą troski.

Sterben usłyszał w słuchawce słowa Yeonrin:

– Mam go! Aleks, słyszysz? Mam go, wracaj natychmiast.

– Zdążę – odparł, odwracając się w stronę schodów prowadzących za kulisy. Po ich stopniach czterech mężczyzn wnosiło wózek inwalidzki, na którym siedział człowiek ubrany tak samo jak Pan występujący na scenie. Sterben zatrzymał się i cofnął za kotarę. Rozpoznał laskę ze złotą rękojeścią, którą siedzący trzymał na kolanach. Widział ją w chatce, kiedy rozmawiał z Panem o akcji na Kursku.

– Ten na scenie to nie Pan – powiedział.

Ani Yeonrin, ani Cathal nie usłyszeli jego słów. Zagłuszył je odgłos silnika helikoptera lecącego tuż nad wierzchołkami drzew.

Boże, żeby tylko nie mieli kamer na podczerwień, pomyślał Socjo, odbezpieczając karabin.

Śmigłowiec zawisł nad budynkiem altany. Z jego wnętrza opuszczało się na linach czterech ochroniarzy. Gdy tylko ich stopy dotknęły ziemi, założyli gogle noktowizorów, rozglądając się dookoła. Trzech ruszyło alejką w stronę stanowisk Yeonrin i Cathala. Jeden, zdejmując karabin z pleców, wolnym krokiem zmierzał w kierunku jego pozycji. Helikopter wzniósł się i odleciał, obierając kurs na amfiteatr. Socjo, odruchowo dociskając membrany laryngofonu, powiedział szeptem:

– Trzech idzie na was.

– To pewnie kolejni pijani w sztok goście klubu – usłyszał w krótkofalówce głos dowódcy oddziału. – Wyciągnijcie ich z krzaków jak tamtych dwóch, których znaleźliśmy piętnaście minut temu, i wezwijcie meleksy, aby ich zabrały.

– Tak jest – odparł.

Nic nie widział przez gęste krzaki akacji. Przedzierał się przez nie, rozgarniając gałęzie. Nagle zauważył wśród liści ciało gołej kobiety, leżące na plecach, z głową ułożoną na ramieniu nagiego mężczyzny.

Co jest grane? – pomyślał, wyciągając krótkofalówkę.

Socjo mocno schwył jego głowę w obie ręce i wprawnym ruchem skrzył mu kark. Położył martwego strażnika na pozostałych dwóch ciałach. Podniósł krótkofalówkę i ruszył przed siebie.

Cathal usłyszał w słuchawce szept Socja:

– Jednego mniej.

Przyczajony za grubym pniem sekwoi, wycelował w najbliższego z dwóch ochroniarzy.

Muszę ich szybko zdjąć, zanim trzeci z nich dotrze do Yeonrin, pomyślał, naciskając spust.

Padli niemal równocześnie, zanim w nocnym powietrzu przebrzmiał huk wystrzałów zgaszonych tłumikiem.

Yeonrin wpatrywała się w mijające sekundy wyświetlane na celowniku karabinu snajperskiego. Miała nadzieję, że Aleks zdążył opuścić amfiteatr. Wiedziała, że pod drzewem, w ciemności nocy, kryje się jeden z pozostałych ochroniarzy. Wyczekała, aż elektroniczny zegar wskaże trzydzieści sekund do wybuchu.

Przez ten czas nie zdąży ewakuować amfiteatru, pomyślała, naciskając spust.

Pomiędzy kreskami podziałki celownika zobaczyła, jak Pan pada, trafiony, na płonący ołtarz. Chwyliła linę i szybko zjechała w dół – wprost na nadchodzącego strażnika. Ten, zaskoczony jej widokiem, zrobił krok w tył i skierował na nią lufę karabinu.

Socjo, biegnąc, nie zważał na hałas. Widział przed sobą, pomiędzy gałęziami, plecy strażnika i opuszczającą się po linie Yeonrin. Odbił się od wystającego z ziemi pnia drzewa i spadł na plecy ochroniarza. Ten, upadając, nacisnął spust. Wśród rozbłysków wystrzału Socjo zauważył, że Yeo chwyta się za brzuch. Przycisnął kolanami plecy strażnika i z całej siły wbił mu nóż w kark, przekręcając go parokrotnie na boki. Wstał i podszedł do Yeonrin. Cathal już przy niej był. Trzymał jej głowę na kolanach, wyciągając z kieszeni opatrunek. Przegryzł zębami opakowanie i przyłożył bandaż do rany, próbując zatamować krwawienie.

Nagle głośny huk wybuchu rozdarł ciszę nocy. Gorąca i jasna kolumna ognia wystrzeliła wysoko w niebo, rozświetlając las, który otaczał amfiteatr. Spomiędzy drzew wybiegł Boom.

– To się nazywa bum przez duże... – nie dokończył zdania. Przyklęknął przy Yeonrin, biorąc ją za rękę. Trzymał ją, dopóki miała otwarte oczy.

Drugą powrotną do reszty grupy odcinał mu Pan ze stojącymi wokół czterema gorylami. Jak na złość zatrzymali się w miejscu, gdzie kamienna balustrada schodów łączyła się z jedną z solidnych granitowych ścian amfiteatru, tworząc głęboką wnękę, dającą im doskonałą ochronę przed eksplozją. Co prawda ładunek przygotowany przez Booma miał potężną moc burzącą, jednakże jego siła opierała się głównie na wytworzeniu wysokiej temperatury otoczenia. Zasada jego działania była nieco podobna do bomby termobarycznej 87.

Sterben ukrył się w grubych fałdach kurtyny. Zdarł togę i maskę. Teraz nic mu już nie krępowało ruchów. Odczepił karabin ze sprzączek utrzymujących broń na brzuchu i odkręcił tłumik. Wiedział, że nie zdąży opuścić amfiteatru przed wybuchem. Przeladował broń, wprowadzając nabój do zamka.

Pieśń śpiewana przez tłum wraz z fałszywym Panem nagle ucichła. Wyrzał zza kotary na scenę. Człowiek udający arcykapłana leżał, zwisając do połowy z płonącego ołtarza. Widzowie, nie rozumiejąc, co się stało, zamarli w bezruchu. Od strony lasu nadleciał helikopter i nisko zawisł pomiędzy sceną a trybunami. Podmuchy powietrza wywołane obracającymi się łopatami wirnika zdarły płonące szaty z ciała arcykapłana, rozrzucając je po scenie i wzniecając pożar.

Zrozumiał, że coś musiało się wydarzyć w lesie, skąd nadleciał helikopter. Yeonrin miała oddać strzał, w razie gdyby nie udało im się podłożyć ładunku, a ten, jak zameldował Boom, był na miejscu. Nie mógł ani nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. Musiał znaleźć się jak najbliżej ściany, która chroniła Pana i jego ludzi. Tylko tam miał szansę przeżycia.

Sterben wyskoczył z ukrycia. Strzelając, biegł w stronę Pana i strzegących go goryli. Pierwszą serią skosił strażnika, który próbował zasłonić swojego szefa. Ten, upadając, przewrócił wózek inwalidzki. Dwaj ochroniarze odciągnęli leżącego na ziemi Pana do wnęki, z której ostrzeliwał się trzeci. Sterben przezoziółkował i przeturlał się po kamiennej podłodze w stronę ściany. Zabił strażnika prowadzącego ogień. Wstał, opierając się plecami o granitowy mur, uchwycił w celowniku postać Pana i nacisnął spust. Nie wiedział, czy trafił. Podmuch eksplozji zawałił górną część ściany, obsypując go kawałkami granitu. Fala rozżarzonego do białości powietrza mknęła w jego stronę. Odruchowo wtulił głowę między ramiona.

Nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny. Próbował powoli wstać, opierając się o podłogę poparzonymi rękami. Prawą dłonią schwycił karabin i wolnym krokiem ruszył w stronę tego, co zostało z wężki w ścianie. Przez opadający pył i dym, który wlatywał z tłących się jeszcze ludzkich zwłok, dostrzegł obręcz kół wózka inwalidzkiego. Stopiona guma opon utworzyła czarną kałużę na twarzy jednego z goryli Pana. Ten leżał oparty plecami o ścianę i jak ryba wyjęta z wody poruszał ustami, próbując zaczerpnąć powietrza do poparzonych płuc. Aleks usiadł obok niego. Dłonią przekręcił mu głowę w swoją stronę i spojrzał w oczy, mówiąc:

– Wiedziałem, że spotkamy się w piekle, ale nie sądziłem, że jeszcze za życia.

Pan rozpoznał jego głos. Sterben wyczytał to z twarzy, po której przebiegł grymas niedowierzania. Próbował coś powiedzieć, ale ze spalonej krtani wydobył się tylko cichy charkot. Poparzoną ręką uniósł laskę, jakby próbował mu nią jeszcze pogrozić.

– Ten spektakl zapamiętacie na długie lata. A to dla pewności – powiedział Sterben, wkładając mu lufę w szeroko rozwarte usta.

Siła wystrzału wyrwała mu karabin z dłoni, odrzucając go na parę metrów. Oparł się o ścianę i pochylił głowę. Z oczu ciekły mu po policzkach krwawe łzy. Czuł, że umiera. Żałował tylko jednej rzeczy w swoim życiu – że tak późno poznał Yeonrin.

Cathal nie mógł dłużej czekać na Sterbena. Boom z Socjem zabrali ciało Yeonrin ponad piętnaście minut temu. Nie wiedział, jak powie Aleksowi o jej śmierci. Wszyscy trzej czuli się winni tego, że jej nie ochronili. Tyle niewinnych ofiar dla zaspokojenia żądzdy władzy grupy stojących nad grobem staruchów... Sky, Su, Dex i tysiące pogrzebanych żywcem w WTC.

Jak będą nas tak mordować, to zanim przejmą władzę, nie będą mieli kim rządzić, pomyślał, wpatrując się w lunę nad amfiteatrem.

Pożar budowli, która stała się grobem Behemian Grove, dogasał. Już nie miało się tam co palić. Temperatura wybuchu stopiła ciała wyznawców Pana. Z grubych, granitowych bocznych ścian budynku pozostały sterczące, bezkształtne kikuty ruin. Ocalał tylko kamienny ołtarz stojący na spalonej scenie.

Tasuil ruszył w stronę miejsca spotkania. Miał jeszcze resztki nadziei, że ujrzy tam niedawno poznanego przyjaciela. Co parę metrów przystawał, oglądając się za siebie, ale Aleks nie pojawił się w oparach podnoszącej się mgły. Przyspieszył kroku, po kilku metrach zaczął biec. Chciało mu się krzyczeć.

ZAKOŃCZENIE

Siedział w bujanym fotelu na werandzie willi. Przypatrywał się, jak jego ulubiona lwica bawi się z młodymi, które powiła trzy tygodnie temu. Nacisnął przycisk pilota i przełączył na Fox News. Podkreślił dźwięk i uważnie się przysłuchiwał. Dziennikarka informowała, że służbom medycznym udało się zidentyfikować kolejne trzy ciała z dwustu osiemdziesięciu jeden ofiar tragicznego pożaru w Behemian Grove.

Minęło grubo ponad pół roku, a oni jeszcze o tym gadają, pomyślał. Miał wiele szczęścia, że nie zdążył dolecieć na rytuał Palenia Trosk. Ten sztorm na oceanie to niechybnie musiał być znak od Boga, że nad nim czuwa.

– Panie prezydencie – zaczęła pokojówka, która nagle stanęła przed nim – gość oczekuje na pana w gabinecie.

Wstał z bujanego fotela i ruszył wolno do wnętrza domu. Nie spieszył się.

Jak kocha, to poczeka, pomyślał.

Zatrzymał się w korytarzyku i kazał służbie podać mrożoną herbatę. Otworzył drzwi do gabinetu i z uśmiechem na twarzy powitał siedzącego w fotelu człowieka.

– Miło mi pana gościć w mych skromnych progach.

– To ja czuję się zaszczycony, panie prezydencie – powiedział elegancko ubrany mężczyzna, podnosząc się z fotela. – Cieszę się, że tak zapracowany człowiek jak pan znalazł dla mnie chwilę.

– Sprowadza pana do mnie ważna sprawa. Jej pierwszy etap omówiłem już wstępnie z pana, hmm... świętej pamięci poprzednikiem. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

– Żadna z osób, które poniosły śmierć w Behemian Grove, nie była moim poprzednikiem – odparł, uśmiechając się. – Jak się pan zapewne domyśla, działałem w imieniu grupy osób. Nasze cele i interesy są zbieżne z działaniami klubu Behemian Grove. Powiedzmy, że kontynuujemy prowadzone przez nich działania związane z eksperymentem, który ma się odbyć na terenie Liberii...

Boom minimalnie przesunął mikrofon kierunkowy.

– Teraz dużo lepiej słyhać – powiedział Socjo. – Ja zabiłbym ich już teraz, zanim ześlą na świat kolejną plagę.

– Zabijemy ich, ale najpierw dowiemy się, co kombinują – odparł Cathal, ustawiając ostrość w obiektywie aparatu fotograficznego.

Przypisy

[1] Behemian Grove/Club to nazwa prywatnej posesji i stowarzyszenia, które w swych szeregach zrzesza polityków i ekonomistów mających wpływ na społeczno-polityczną sytuację światową oraz ekonomię i bankowość. Według relacji Alexa Jonesa (amerykański dziennikarz śledczy, reżyser i producent filmowy) to właśnie tam odbywa się rytuał o nazwie „Palenie Trosk”.

[2] Operacja Northwoods – działania fałszywej flagi. CIA wraz z innymi agencjami rządowymi miała za zadanie przeprowadzić serię ataków terrorystycznych w miastach i bazach wojskowych USA. Działania te zakładały między innymi podłożenie ładunków wybuchowych w amerykańskiej bazie na Kubie, strącenie samolotu pasażerskiego itp. Celem operacji było zwiększenie poparcia społeczeństwa amerykańskiego w przyszłej wojnie na Kubie. Prezydent Kennedy odrzucił ten plan i pozbawił L. Lemnitzera stanowiska Przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. L. Lemnitzer był później w składzie komisji badającej zamach na JFK.

[3] Lusitania zatonała podczas I wojny światowej dnia 7 maja 1915 r. po storpedowaniu przez niemiecki okręt podwodny U-20. Niemiecka ambasada ostrzegała na łamach prasy amerykańskiej o możliwości takiego ataku. Odradzała potencjalnym pasażerom podróż morską na pokładzie jakiegokolwiek statku. Orędownicy teorii spiskowych uważają, że ten rejs był prowokacją amerykańskich służb bezpieczeństwa, mającą na celu uzyskanie aprobaty społecznej dla przystąpienia USA do I wojny światowej.

[4] Są to słowa z raportu pt. „Przebudowa sił obronnych Ameryki” opublikowanego we wrześniu 2000 r. przez organizację Project for the New American Century (PNAC), czyli Projekt dla Nowego Amerykańskiego Wieku – neokonserwatywną organizację z siedzibą w Stanach Zjednoczonych. Jest to tzw. think tank, organizacja edukacyjna non profit. Powstała wiosną 1997 r. Jej celem jest promowanie globalnego przywództwa Ameryki. Siedziba organizacji znajduje się w budynkach American Enterprise Institute

w Waszyngtonie. PNAC w swych działaniach proponuje dominację militarną i ekonomiczną Stanów Zjednoczonych w stosunku do światowych zasobów złóż minerałów, przestrzeni i cyberprzestrzeni. Chce wprowadzić w czyn ideę amerykańskiej hegemonii. Jej działania i program są krytykowane przez część Amerykanów, ale mają także liczne grono popleczników i sponsorów.

Przewodniczącym PNAC jest William Kristol, były redaktor „Commentary Magazine”. Do byłych i obecnych członków tej organizacji zalicza się między innymi: Donalda Rumsfelda, Paula Wolfowitza, Jeba Busha, Richarda Perle’ego, Richarda Armitage’a, Dicka Cheney’a, Lewisa Libby’ego, Williama Bennetta, Zalmaya Khalilzada i Ellen Bork, żonę sędziego Roberta Borka. Większa część członków jest wierna neokonserwatywnej szkole politycznej o charakterze militarnym.

[5] **SADM (Small Atomic Demolition Munition)** – przenośny ładunek nuklearny o mocy od 1 do 1,5 kilotony. Najczęściej przypominający swym wyglądem teczkę dyplomaty, małą walizkę lub torbę podróżną. Generał A. Lebieź w 1997 r. poruszył kwestię zniknięcia tego typu ładunków z arsenału Federacji Rosyjskiej.

[6] **MAD (Magnetic Anomaly Detector)** – detektor anomalii magnetycznych. Urządzenie służące do wykrywania różnic w polu magnetycznym.

[7] **Rakieta typu Granit** – nazwa pocisku manewrującego, przenoszącego ładunek konwencjonalny lub głowicę atomową. Prawdopodobnie okręt Federacji Rosyjskiej o nazwie Kursk miał je na swoim pokładzie podczas zatonięcia lub zatopienia. Oficjalnie rakiety zostały wydobyte i zniszczone na jednym z poligonów wojskowych w Rosji. Według znawców tematu rakiety te były zbyt cenne, aby je niszczyć, nie próbując odzyskać z nich głowic atomowych.

[8] **RPG** – ręczny przeciwpancerny granatnik. Możliwość doboru zróżnicowanych pocisków o napędzie raketowym. Mogą to być ładunki zarówno przeciwpancerne, jak i burzące.

[9] **Konosament** – w mowie potocznej zwany morskim listem przewozowym. Świadcstwo potwierdzające rodzaj, typ ładunku i miejsce jego przeznaczenia (port docelowy). Jest dokumentem wystawionym przez przewoźnika albo w jego imieniu przez kapitana statku.

[10] **S-300W** – raketowy system przeciwlotniczy produkcji radzieckiej i rosyjskiej klasy ziemia-powietrze. Może niszczyć cele lecące na różnej wysokości, zarówno na wysokim, jak i niskim pułapie.

[11] **Radio France Internationale** – francuska rozgłośnia radiowa, która podała, że Osama bin Laden – poszukiwany od lat międzynarodowym listem gończym – w 2001 r. przebywał w amerykańskim szpitalu w Dubaju, gdzie spotkał się z przedstawicielem CIA. Dziennik „Le Figaro” również to potwierdził w artykule umieszczonym na swych łamach (w książce jest 2000 r.).

[12] Jordańczyk Chattab był powiązany z Osamą bin Ladenem. Jego terenem działania był Kaukaz Północny. Zanim przyjął pseudonim Chattab, nazywał się Habib Abd ur-Rahman. Wojownicy Chattaba budzili grozę w rosyjskich żołnierzach. Słynęli z okrucieństwa.

[13] Szamil Sałmanowicz Basajew (ur. 14 stycznia 1965, zm. 10 lipca 2006) – przywódca rebeliantów czeczeńskich. Przez Czeczenów uznawany za patriotę walczącego o niepodległość. Rosjanie uważali go za jednego z najgroźniejszych terrorystów na świecie. Opinię tę wyrażała nie tylko Rosja, ale także ONZ, Komisja Europejska i Departament Stanu USA. W 2003 r. zmienił swoje imię i nazwisko na Abdallah Szamil Abu-Idris.

[14] W Czeczenii zginął jeden z najbardziej znanych miejscowych komendantów połowych – Saudyjczyk Chattab – podała w komunikacie rosyjska agencja Interfax.

[15] Defense Intelligence Agency (DIA) – amerykański wywiad wojskowy. Należący do struktur Departamentu Obrony.

[16] SEAL – United States Navy Sea, Air and Land (Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych Morze, Powietrze i Ląd) – siły specjalne amerykańskiej marynarki.

[17] Mark 48, oznaczenie wojskowe Mk 48 – amerykańska torpeda z konwencjonalną głowicą bojową, wyposażoną w zapalniki kontaktowy i zbliżeniowy, służące do zwalczania celów podwodnych i nawodnych.

[18] WA-111 Szkwał – rosyjska torpeda, służąca do zwalczania jednostek na- podwodnych. Broń eksperymentalna na wyposażeniu wojsk Federacji Rosyjskiej od 1990 r. oraz prawdopodobnie wojsk chińskich oraz Iranu.

[19] Kim Kyoŋg Ok, również Kim Kyong Ok (ur. 1948) – północnokoreańska polityk i wysokiej rangi generał, jedna z niewielu kobiet pełniących najwyższe funkcje w aparacie władzy Korei Północnej.

[20] Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej, powszechnie zwane Stasi. Powstało w lutym 1950 r. Jedna z najskuteczniejszych służb bezpieczeństwa w bloku państw komunistycznych. Wyróżniająca się liczebnością funkcjonariuszy na tle innych podobnych służb Układu Warszawskiego. Celem jej działania była ochrona wywiadowcza zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna.

[21] Hyoŋn Kim Yoŋg Ch'oŋ, również Hyon Yong Chol (ur. 1953) – północnokoreański polityk i wicemarszałek Koreańskiej Armii Ludowej, należący do ścisłej elity władzy KRLD. Jeden z pretorian Kim Ir Sena.

[22] Amobarbital – bardzo skuteczny „narkotyk prawdy”. Podobny

w działaniu do skopolaminy stosowanej podczas II wojny światowej. Po zażyciu przesłuchiwany traci orientację i przestaje obawiać się mówienia prawdy. Bardzo wysoka skuteczność. Stosowany podczas przesłuchań przez służby bezpieczeństwa na całym świecie.

[23]

Termit (thermit, termat, ferrmit) – substancja złożona ze sproszkowanego glinu i tlenku żelaza w proporcjach stechiometrycznych. Osiąga temperaturę spalania ok. 3000°C, a w obecności materiałów zwiększających temperaturę nawet 3800°C.

[24]

As-salāmu `alayk (a) – „Pokój niech będzie z...”.

[25]

Agencja Informacyjna Reutera (ang. Reuters Group plc) – jedna

z największych oraz najbardziej znanych w świecie agencji prasowych – w jednym ze swych komunikatów donosiła, że znaleziono złoto na ciężarówce w tunelu dostawczym pod budynkiem WTC 5. Jak wynikało z treści informacji, w pobliżu pojazdu nikogo nie było. Stała furgonetka

i prawdopodobnie dwa samochody obstawy. Policjanci blokowali dostęp do pojazdów. Według świadków wydarzenia grozili użyciem broni.

1 listopada 2001 r. „Timesonline” poinformował, że duże ilości złota odkryto w tunelach pod WTC 5. Według światowych agencji prasowych w skarbcach WTC w dniu 11.09.2001 r. mogło znajdować się ok. 160 mld dolarów w złocie.

[26]

North American Aerospace Defense Command (NORAD), Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej – powstało 12 maja 1958 r. W jego skład wchodzi dwa kraje, USA i Kanada. Celem jego działania jest ochrona USA oraz sojuszników. Od chwili powstania zawiodła tylko cztery razy, wszystkie w dzień zamachu z 11 września.

[27]

Dick Shaney (ur. 25 stycznia 1943 w Lincoln) – były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych (od lutego 2001 do 25 stycznia 2009), polityk amerykański. W dniu 11 września nie było go w NORAD-zie, znajdował się w Białym Domu.

[28]

Colin Powers (ur. 15 kwietnia 1939 w Nowym Jorku) – generał armii amerykańskiej, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów (1990–1993). Jako polityk sprawował między innymi funkcję doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego (1987–1989). W latach 2001–2006 był sekretarzem stanu Stanów Zjednoczonych.

[29]

Condoleezza Ricerson (ur. 20 listopada 1958 w Birmingham w stanie Alabama) – amerykańska polityk, doradca Białego Domu ds. polityki

zagranicznej oraz wizerunku międzynarodowego USA. W latach 2001–2005 pełniła funkcję przewodniczącej Narodowego Komitetu Bezpieczeństwa USA, a od 2005 do 2009 r. sekretarz stanu w administracji prezydenta George'a W. Pusha.

[30] Henry Rumpelsfeld (ur. 18 lipca 1936 w Evanston) – amerykański

polityk, członek Partii Republikańskiej, sekretarz obrony USA w gabinecie prezydenta George'a W. Pusha w latach 2001–2006. Za kadencji prezydenta Geralda Forda także pełnił tę funkcję przez rok i dwa miesiące.

[31] Vigilant Guardian – ćwiczenia polegające na wyimaginowanym kryzysie amerykańskich placówek obrony przeciwlotniczej. Rozpoczęte we wczesnych godzinach porannych 11 września 2001 r.

[32] Northern Vigilance – ćwiczenia te polegały na wystaniu samolotów bojowych do Kanady i Alaski celem walki z fikcyjną flotą rosyjską. Podobnie jak jej poprzednik, rozpoczęły się we wczesnych godzinach porannych 11 września 2001 r.

[33] Rudolph Gullianer, zwany przez bliskich przyjaciół „Ryżawym” (ur. 18 maja 1948) – burmistrz Nowego Jorku od 1 stycznia 1994 do 31 grudnia 2001 r.

[34] James William Snowden (ur. 1 sierpnia 1939 w Kansas) – sekretarz skarbu w administracji George'a W. Pusha, polityk amerykański, ekonomista, prawnik.

[35] Transponder (XPDR, XPNDR lub TPDR) to bezprzewodowe urządzenie komunikacyjne, które automatycznie odbiera, moduluje, wzmacnia na sygnał przychodzący w czasie rzeczywistym.

[36] Atomic Demolition Inc. założona przez Jacka Lombardiniego w 1949 r., z siedzibą w Kansas. Specjalizuje się w stosowaniu materiałów wybuchowych do kontrolowanych rozbiórek konstrukcji. Atomic Demolition Inc. twierdzi, że „zaplanowała i wyburzyła więcej budynków, zbiorników, kominów, wież, mostów i innych struktur budowlanych” niż wszyscy jej konkurenci razem wzięci.

[37] Układ między USA i ZSRR o ograniczeniu podziemnych prób z bronią jądrową. Zakazuje podziemnych prób z bronią jądrową o sile powyżej 150 kiloton. Podpisany 3 lipca 1974 r., wszedł w życie 11 grudnia 1990 r.

[38] Effendi – turecki tytuł oznaczający „pan”, „władca”. Odpowiada angielskiemu sir lub staropolskiemu „pan”, „szlachcic”. Tytuł stosowany w Turcji i innych krajach Bliskiego Wschodu. Używany jest także wobec osób posiadających wyuczony zawód (dawniej mistrzów cechów rzemieślniczych)

i urzędników wysokiego szczebla oraz wojskowych, jak bej lub pasza. Może zastępować imię.

[39]

MSC Francesca – IMO: 9401116; MMSI: 370993000; znak wywoławczy: 3FXI; bandera: Panama (PA); AIS typ: Cargo; nośność (DWT): 138377 t; długość × szerokość: 363,57 m × 45,6 m; rok budowy: 2008. Pobrano z Morskiego Rejestru Statków. Statek ten nie kotwiczył w Nowym Jorku w dniu zamachu [jest to fikcja literacka – przyp. aut.].

[40]

Kalifat – islamski ustrój polityczny, w którym głową państwa jest kalif. Kalifat jako państwo nie ma granic. Swym zasięgiem obejmuje tereny, gdzie mieszka ludność wyznająca islam i podporządkowana prawom Koranu. Odpowiednik wschodniego sultanatu, zachodnioeuropejskiego cesarstwa lub królestwa.

[41]

Strefa Zero – to jest jedyne pełne znaczenie tego terminu, jakie można znaleźć w największych słownikach sprzed 11.09.2001 r. Początki określenia „Strefa Zero” wiążą się z Projektem Manhattan i bombardowaniem Japonii. Oksfordzki Słownik j. angielskiego, cytując użycie tego terminu w raporcie „New York Timesa” z 1946 r., dotyczącym zniszczenia Hiroszimy, definiuje Strefę Zero jako: „taką część ziemi, która jest usytuowana bezpośrednio w miejscu uderzenia bomby, szczególnie atomowej”. Słownik Collinsa, trzecia edycja z 1991 r.: „Strefa Zero – punkt na powierzchni ziemi i wody, bezpośrednio nad lub pod miejscem wybuchu nuklearnego”. Nowy międzynarodowy słownik języka angielskiego Webstera, wydany w 1999 r., tak definiuje Strefę Zero: „punkt na ziemi bezpośrednio pod lub nad miejscem detonacji bomby atomowej lub termojądrowej”. Słowniki wydane po 11 września 2001 r. podają inną definicję Strefy Zero, np. słownik Longmana tłumaczy to pojęcie tak: „Strefa Zero – jest to miejsce, gdzie wybuchła duża bomba, gdzie są największe zniszczenia”. Wikipedia tak: „Strefa Zero – miejsce na powierzchni ziemi, gdzie miała miejsce eksplozja”. W przypadku eksplozji ponad ziemią Strefa Zero obejmuje miejsce bezpośrednio pod eksplozją.

[42]

Ortodroma – najszybszy i najkrótszy kurs np. statku morskiego. Definicja brzmi następująco: najkrótsza droga pomiędzy dwoma punktami na powierzchni kuli, biegnąca po jej powierzchni. Stanowi ona zawsze fragment koła wielkiego. Linie ortodromy otrzymuje się przez przecięcie kuli płaszczyzną przechodzącą przez punkty na powierzchni tej kuli oraz przez środek kuli.

[43]

Historia Korei Północnej rozpoczęła się 9 września 1948 r.

[44]

Jang So'ng-Phalek (ur. 6 lutego 1946 w Kangwo'n, zm. 12 grudnia 2013

w Pjongjangu), północnokoreański polityk, mąż Kim Kyo'ng Wu, siostry przywódcy Kim Dzong Ila. Wiceprzewodniczący Narodowej Komisji Obrony od czerwca 2010 do grudnia 2013 r. W grudniu 2013 r. został usunięty ze wszystkich zajmowanych stanowisk. Agencja KCNA poinformowała również, że został oskarżony o zachowania demoralizujące, korupcję oraz defraudację finansów państwa. W tym samym miesiącu przeprowadzono proces przed trybunałem wojskowym. Jang So'ng-Phalek został skazany na karę śmierci polegającą na rozszarpaniu i zjedzeniu przez psy myśliwskie. Egzekucję wykonano zaraz po ogłoszeniu wyroku.

[45] Laryngofon – odmiana mikrofonu przeznaczonego do pracy w warunkach ekstremalnie silnego hałasu zewnętrznego. Od zwykłego mikrofonu różni się tym, że jego membrana nie jest pobudzana przenoszona przez powietrze falą dźwiękową, lecz drganiami skóry na szyi, w pobliżu krtani mówiącego człowieka.

[46] WSSK Wychłop (Wydmuch) to rosyjski samopowtarzalny karabin wyborowy.

[47] Polski pistolet osobisty RAD, kal. 9 mm x 19 Parabellum, został skonstruowany na bazie najnowszych technologii, z przeznaczeniem dla wojska. Dane techniczne: kaliber: 9 mm x 19 PARA; pojemność magazynka: 15 naboji; rodzaj zaryglowania: system Browing; siła spustu: ok. 39N dla DAO/ok. 32 N dla QA; energia wylotowa: $E_0 = 480 - 520\text{J}$; bezpiecznik: wewnętrzny automatyczny, bezwładnościowy, spustu; zabezpieczenie: iglicy, spustu; mechanizm spustowy: DAO lub QA.

[48] Uncja – waga uncji może być różna w zależności od systemu wagowego. Jej skrót pochodzi od starego włoskiego słowa onza, dzisiaj wymawianego „oncia”; symbol aptekarski: pozaukładowa jednostka masy bądź objętości płynów stosowana w starożytnym Rzymie i krajach anglosaskich. W jubilerstwie i w handlu metalami szlachetnymi stosuje się uncję trojańską (jubilerską). Nazwa trojańska pochodzi od miasta Troyes w północno-wschodniej Francji, w średniowieczu ważnego ośrodka handlowego. Można także spotkać odniesienie do uncji jako jednostki objętości: 1 uncja objętości (fl oz) = $1/160$ imperialnego galona = $28,41\text{ cm}^3$, 1 amerykańska uncja objętości = $1/128$ amerykańskiego galona = $29,57\text{ cm}^3$.

[49] Midas jest mitycznym bohaterem wielu legend, mitów i anegdot.

W mitach przypisywano mu wyjątkową głupotę. Jedna z opowieści opisuje, jak poratował zabłąkanego Sylena z orszaku Dionizosa, zmierzającego do Indii. W nagrodę za udzielenie pomocy synowi posłańca bogów Hermesowi Dionizos obiecał spełnić jedno życzenie króla. Midas poprosił, aby każda

rzecz, której dotknie, przeistoczyła się w złoto. Po pewnym czasie jednak Midas zorientował się, że grozi mu śmierć głodowa – chleb i wino również zamieniało się w złoto. Przerażony, wyblagał od Dionizosa utratę daru, musiał tylko umyć głowę i dłonie w wodach rzeki Paktol, która od tej pory stała się złotonośna.

[50] Armia Świętej Wojny (Jaysh al-Jihad al-Muqaddas) – była arabską paramilitarną organizacją samoobrony, która działała w latach 1947–1948 w Mandacie Palestyny i Izraelu. Historycy często nazywali ją „prywatną” armią arabskiego klanu Husajnich.

[51] 2749 – liczba osób, które zginęły 11 września 2001 r., 147 w samolotach, 2602 w wieżach WTC, w tym 403 ratowników i strażaków.

[52] Chodzi o Fiterman Hall, budynek znajdujący się za WTC 7 (obecnie wyburzony).

[53] USA Patriot Act („Uniting and Strengthening America by Providing Appropriate Tools Required to Intercept and Obstruct Terrorism Act of 2001”; Public Law Pub. L. 10756) – ustawa amerykańska, uchwalona 26 października 2001 r. jako jeden z wyników zamachu na WTC. Powołanie ustawy do życia według jej twórców ma ułatwić zapobieganiu w przyszłości podobnym zamachom. Według jej przepisów obywatele nieamerykańskich, którzy zostaną uznani za zagrożenie dla narodowego bezpieczeństwa, wolno przetrzymywać przez nieokreślony czas bez orzeczenia sądu. Rząd nie jest zobowiązany do ogłoszenia takiego aresztu ani też jego usprawiedliwiania.

[54] Atak na Pearl Harbor – nalot japońskiego lotnictwa bombowego i myśliwskiego w dniu 7 grudnia 1941 r. na amerykańskie bazy floty i lotnictwa na Hawajach, w tym najważniejszą bazę United States Navy na Pacyfiku, mieszczącą się w Pearl Harbor. Data ataku jest uważana za moment rozpoczęcia wojny na Pacyfiku.

[55] Michael „Dex” Jones (urodzony 17 lutego 1971), amerykański prezenter radiowy, autor, dziennikarz śledczy i dokumentalista.

[56] Grupa Bilderberg albo Klub Bilderberg – nieoficjalne i nieformalne międzynarodowe stowarzyszenie wpływowych osób ze świata polityki i gospodarki. Spotkania grupy odbywają się raz do roku. Podczas nich omawiane są najważniejsze w danym czasie dla świata sprawy dotyczące bezpieczeństwa, polityki i gospodarki.

[57] Dane te zaczerpnąłem z internetu, między innymi z filmu pt. Niewygodne fakty 11 września 2001 r. oraz z szeregu innych stron, np: „People’s enemy blog”, „911” itp.

[58]

Są to słowa Sir Williama Pitta. William Pitt, 1. hrabia Chatham (ur. 15 listopada 1708 w Londynie, zm. 11 maja 1778 w Hayes, Kent) – brytyjski polityk z partii Wigów. Często zwany Williamem Pittem Starszym (William Pitt the Elder), by odróżnić go od jego syna Williama Pitta Młodszego (William Pitt the Younger), który był premierem w latach 1783–1801 i ponownie w latach 1804–1806.

[59]

Louis Thomas McFadden (25 lipca 1876 – 1 października 1936). Bankier z zawodu, był przeciwnikiem systemu Rezerwy Federalnej. Chciał wszczęcia procedury impeachmentu przeciwko Bankowi Rezerw Federalnych. Po dwóch wcześniejszych nieudanych zamachach został otruty na przyjęciu. Oficjalną wersją jest/było twierdzenie, że umarł na atak serca. Kariera polityczna: republikański członek Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych z Pensylwanii, działał od 1923 do 1935 r.

[60]

Komisja Trójstronna (ang. Trilateral Commission) – powstała w 1973 r. z inicjatywy Davida Rockefellera oraz 325 prywatnych osób z całego świata. Jest to organizacja o charakterze prywatnym, pozarządowym. Celem jej działalności jest promowanie bliższej współpracy między różnymi rejonami, głównie Ameryki Północnej, Japonii i Europy. Obecnie rozszerza swoją działalność poza trzy wyżej wymienione kontynenty.

[61]

Council on Foreign Relations (CFR) – amerykańska, niezależna organizacja polityczna non profit, założona w Nowym Jorku w 1921 r. Zajmuje się szeroko rozumianymi kwestiami związanymi z polityką międzynarodową oraz miejscem i rolą Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej.

[62]

Najważniejszą ogólnokrajową gazetą Kuby jest „Granma” (www.granma.cu). Wychodzi od wtorku do niedzieli. Na ośmiu stronach są drukowane artykuły na tematy polityczne i gospodarcze. Dziennik zamieszcza także relacje z międzynarodowych spotkań na szczeblu rządowym i informacje o postępach w krajowym przemyśle i handlu.

[63]

Think tank (dosłowne tłumaczenie: „zbiornik myśli”) – zgodnie z założeniami twórców jest to niezależny komitet o charakterze organizacji non profit, zajmujący się doradztwem, badaniami i analizami dotyczącymi spraw społecznych i publicznych. Do celów działalności think tanków należą między innymi poszukiwanie sposobów rozwiązania problemów społecznych i udział w publicznej dyskusji. Spotyka się także szersze rozumienie tego pojęcia, na oznaczenie grupy osób lub organizacji mających podobne cele, ale niekoniecznie posiadających status instytucji pozarządowych. Środki na finansowanie działalności think tanków może pochodzić z różnych źródeł, np.

organizacji międzynarodowych, fundacji, przedsiębiorstw, a także osób prywatnych czy środków publicznych.

[64] Śledztwo w sprawie zamachu z 11 września 2001 r. wszczęto po 411 dniach. Koszt jego wyniósł od 9 do 14 milionów dolarów. Koszt nieporównywalnie mniej istotnej „afery rozporkowej” wyniósł 40 milionów dolarów.

[65] Zatoichi – kultowa w Japonii postać ślepego szermierza. Bohater ten pojawił się w dwudziestu sześciu filmach i studcińkowym serialu. Przez fanów gatunku jest uznawany za ikonę stylu samurajskiego życia.

[66] GRU – oficjalne polskie tłumaczenie: Główny Zarząd Rozpoznawczy/Wywiadowczy. Jest to instytucja wywiadowcza, zaliczana do struktur wywiadu wojskowego. Powstała jeszcze za czasów istnienia Generalnego Sztabu Sił Zbrojnych Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Istnieje nadal i działa w strukturach wywiadu wojskowego. Po rozpadzie ZSRR, wobec znaczącej redukcji aparatu i ograniczenia zakresu działalności cywilnych służb specjalnych, wyrosłych na resztkach KGB, znaczenie GRU znacznie wzrosło.

[67] Kimchi – tradycyjne danie kuchni koreańskiej, składające się z kiszonych lub fermentowanych warzyw. Większość kimchi ma bardzo ostry smak z powodu użycia dużej ilości płatków papryczek chili.

[68] <https://publicenemyno1.wordpress.com/tag/salomon-brothers-building> [link do Public Enemy's Blog].

[69] ETA (bask. Euskadi Ta Askatasuna – Baskonia i Wolność) – została założona 31 lipca 1959 r. przez radykalnych członków Nacjonalistycznej Partii Basków. Zwana jest/była zbrojnym ramieniem tej partii. Teren działania to Hiszpania. W zamachach terrorystycznych zabiła 858 osób. Większość jej ofiar stanowili wojskowi, członkowie Gwardii Cywilnej i policjanci, a pozostali to politycy, sędziowie i prokuratorzy identyfikowani jako część państwowego aparatu przemocy. Niestety wśród ofiar organizacji byli również przypadkowi cywile. 20 października 2011 r. ETA ogłosiła definitywnie zakończenie walki zbrojnej.

[70] Hugo Michael Shávez (ur. 15 lipca 1954 w Sabanecie, zm. 5 marca 2013 w Caracas) – wysokiej rangi wojskowy i polityk o poglądach socjalistycznych. Dowódca nieudanego puczu z 1992 r. W latach 1999–2013 był prezydentem Wenezueli. Zaliczany jest także do przywódców ruchu rewolucyjnego, zwanego „rewolucją boliwariańską”.

[71] Implementation Force (IFOR) – międzynarodowe siły wojskowe pod

przywództwem NATO. Działające na podstawie mandatu ONZ w Bośni i Hercegowinie. Jednostkami IFOR dowodził brytyjski generał Sir Michael Walker.

[72] Omar bin Husain – jeden z synów znanego rodu arabskiego, wywodzącego się od Al-Hadżdż Muhammada Amina al-Husajni (ur. 1895 lub 1897, zm. 4 lipca 1974). Był palestyńskim nacionalistą i politycznym przywódcą ruchu muzułmańskiego w Mandacie Palestyny, w latach 1921–1948 wielki mufti Jerozolimy. Doprowadził do wybuchu arabskich zamieszek antyżydowskich w latach 1936–1939. Uciekając przed aresztowaniem, zbiegł na emigrację, gdzie kontynuował swoją działalność antyżydowską.

[73] Abaja, aba – abaya, płaszcz, rodzaj wierzchniego okrycia noszonego w krajach muzułmańskich.

[74] Burka – rodzaj nieprzezroczystego przykrycia głowy, noszonego dodatkowo oprócz chusty przez muzułmanki przestrzegające purdah. Zdejmowana jest tylko wtedy, kiedy kobieta jest w domu lub wchodzi do meczetu na modlitwy. Tradycyjnie noszona przez muzułmańskie kobiety w Afganistanie, północnych Indiach i Pakistanie.

[75] Szisza – rodzaj fajki. Jest to fajka wodna, służąca do palenia specjalnie spreparowanego tytoniu. Pochodzi z Indii, a zyskała popularność zwłaszcza w krajach arabskich

[76] Siedzący Byk, w języku dakota Tatanka Yotanka, ang. Sitting Bull (ur. ok. 1831, zm. 15 grudnia 1890) – szaman Indian i wódz plemienia Hunkpapa grupy Teton Dakotów (Siuksów). Jeden z przywódców Indian, który przyczynił się do wielkiego zwycięstwa połączonych sił Dakotów i Czejenów w bitwie nad Little Bighorn w 1876 r.

[77] Czador – zewnętrzna szata zakładana przez kobiety; jest to jedna z form przestrzegania hidżabu, czyli muzułmańskich zasad ubierania się, wywodzących się z Koranu. W odróżnieniu od tradycyjnych ubrań część górna składa się z kawałka muślinu do zakrywania twarzy. Obejmuje również część głowy.

[78] Khubz, khoubz lub khobz (arab. خُبْز), rodzaj arabskiego pieczywa wypiekanego tradycyjną metodą.

[79] Galabijalub jelabija – rodzaj tradycyjnego odzienia mężczyzn Bliskiego Wschodu. Za kraj jej pochodzenia uznaje się Egipt.

[80] Raqq, riqq – arabski tamburyn.

[81] Darbuka darbukah, również: durbakee, dumbec, doubek, doubec, dumbek, dumbelek, goblet drum. Jest to rodzaj bębna kielichowego,

używanego głównie w muzyce Bliskiego Wschodu.

[82]

Abu al-Hasan Ali ibn Nafi' (789–857), znany powszechnie pod pseudonimem Zirjab – ze względu na ciemną karnację. Był on wyzwolonym niewolnikiem abbasydzkiego kalifa Al-Mahdiego. Po przeprowadzce z Bagdadu do Kordoby Abu al-Hasan został uznanym śpiewakiem, lutniarzem i nauczycielem muzyki.

[83]

Liberia (Republika Liberii – Republic of Liberia) – państwo położone w Afryce Zachodniej. Sąsiaduje z Gwineą, Wybrzeżem Kości Słoniowej oraz Sierra Leone. Sytuacja gospodarcza i polityczna tego kraju jest nadal niestabilna, co jest skutkiem przewrotów wojskowych i dwóch wojen domowych (1989–1996 i 1999–2003).

[84]

Animizm (łac. anima – dusza) – opisuje zjawiska religijne i społeczne występujące w społeczeństwach, kulturach plemiennych. Polega na przypisaniu idei duszy i cech osobowych np. zwierzętom, zjawiskom atmosferycznym, roślinom i innym elementom fauny i flory. Koncepcję tę wprowadził do kanonu nauk humanistycznych w XIX w. brytyjski antropolog Edward Burnett.

[85]

Ludobójstwo w Rwandzie – masakra ludu Tutsi dokonana przez ekstremistów z plemienia Hutu w Rwandzie w ciągu około 100 dni, między kwietniem a lipcem 1994 r. Jej ofiarą padło, według szacunków, od 800 000 do 1 071 000 ludzi.

[86]

Sarin (fluorometylofosfonian izopropylu) – broń chemiczna w postaci silnie trującej bezwonnej cieczy o niskiej temperaturze parowania. Zaliczany do grupy środków paralityczno-drgawkowych. Jedne z pierwszych prób z sarinem przeprowadzali Niemcy podczas II wojny światowej w obozie koncentracyjnym Auschwitz.

[87]

Bomba składa się z ładunku lotnej cieczy lub stałego materiału wybuchowego w postaci bardzo drobnego proszku. Czasem również z rozdrobnionego metalu. Pierwszy zapalnik w postaci ładunku wybuchowego powoduje rozerwanie obudowy bomby i rozpylenie głównego ładunku w powietrzu. W czasie kilku milisekund potrzebnych do powstania chmury aerozolu drugi zapalnik powoduje eksplozję tak powstałej chmury. Najnowsze bomby typu paliwowo-powietrznego zawierają tylko jeden ładunek inicjujący, który jednocześnie rozpyla materiał wybuchowy

i detonuje go.

REDAKCJA: Katarzyna Kusoń
KOREKTA: Hubert Korczyk
OKŁADKA: Magdalena Zawadzka
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Marcin P. Zachariasz i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-771-0

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE al.
Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



